



fabryka



LIŻAĆ OSTRZE

JAKUB ĆWIEK

Jakub Ćwiek

LIZAC OSTRZE

fabryka słów

Lublin 2007

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

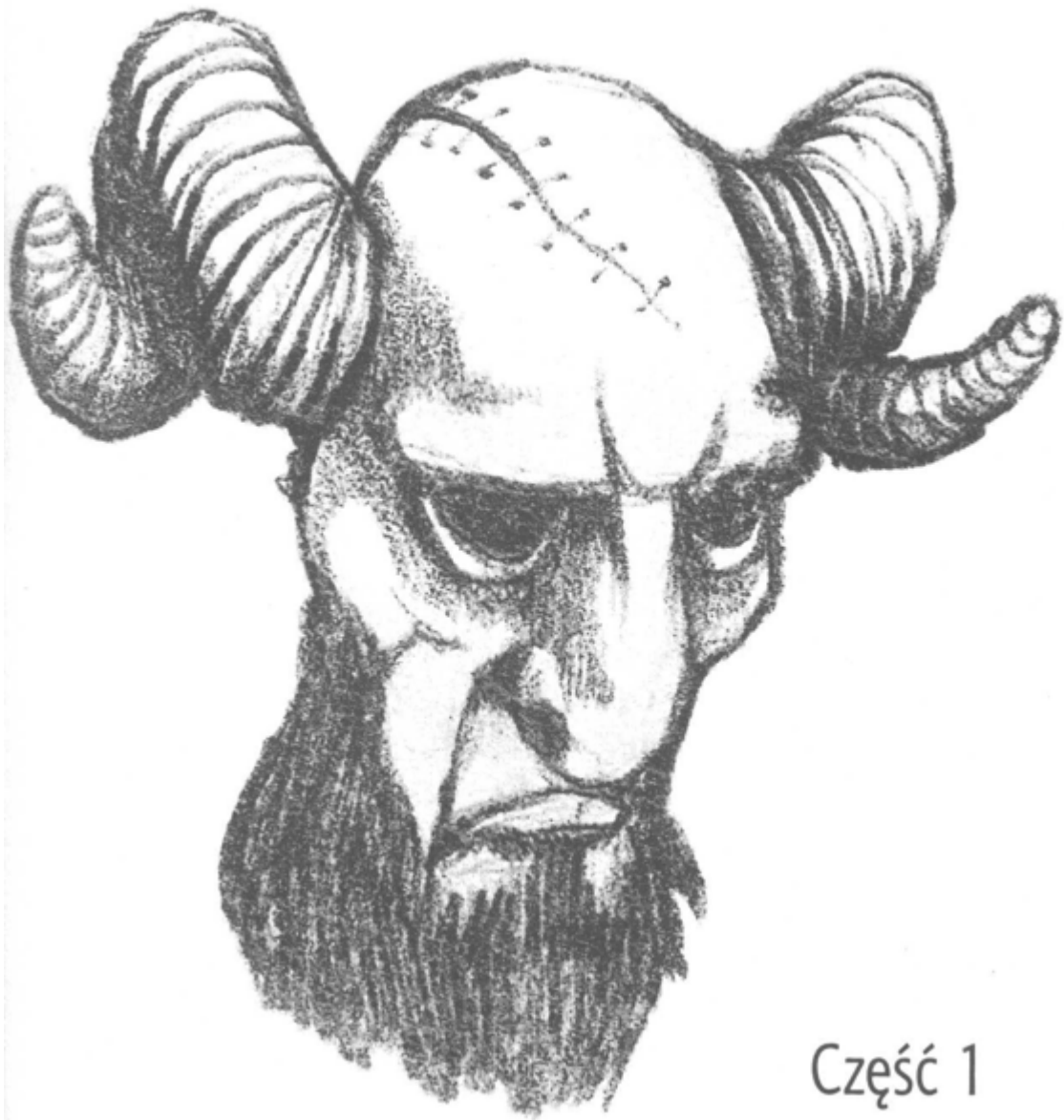
ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

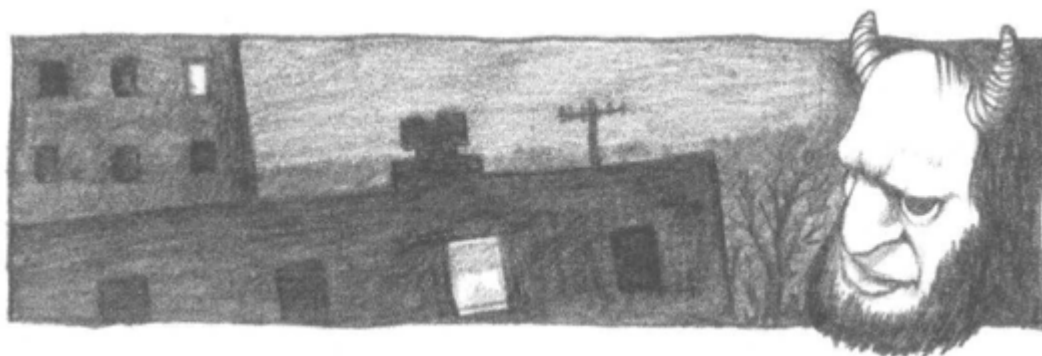
Epilog

Mojej Uli...
a także Eli, Ani i Alex
– które w swym kotle doprawiły tę historię.



Część 1

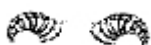
*Dreams of war, dreams of liars
Dreams of dragons fire And of things that will bite
Enter Sandman
Metallica*



ROZDZIAŁ 1

Każdy tonący ma swoją brzytwę. Większość nosi ją stale przy sobie, w tylnej kieszeni spodni, odruchowo przekładając przy każdym praniu jak klucze czy portfel. I tak naprawdę nie ma pojęcia o jej istnieniu. Gdyby zapytać któregoś, pewnie zareagowałby zdumieniem czy wręcz śmiechem. „Brzytwa – zapytałby – jaka znowu brzytwa? Nie mam żadnej brzytwy”.

Na potwierdzenie swych słów sięgnąłby do tylnej kieszeni, wyciągając z niej coś niegroźnego, grzebień czy telefon, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jego palce właśnie o milimetr minęły się z na wpół otwartym ostrzem. Bo brzytwa oczywiście cały czas jest na miejscu. Czeka, aż zaczniesz tonąć... Kacper Drelich też ją miał. Jego brzytwą była obietnica złożona synowi.



Kilka dni wcześniej, zanim jeszcze po nieudanej akcji ciężko pobity wylądował na krześle w bliżej nieokreślonym ciemnym pomieszczeniu, Kacper wybrał się z synem na plac zabaw. Jego żona miała akurat – jak zwykła wymownie określać – wychodne. To znaczyło mniej więcej: „Mam dość roli kucharki, niańki i sprzątaczk. Dziś miasto należy do mnie”. Ponieważ wychodne brała sobie nadzwyczaj rzadko, a dzieciak był już dość duży, żeby na głos wyrażać swoje potrzeby, mąż nie śmiał protestować. Zresztą był ostatnim, który mógłby rzucić kamieniem.

– Tylko nie zabieraj go znowu do kina – powiedziała, wychodząc.

Kacper, który właśnie wykręcił numer do pobliskiego multipleksu, aby zapytać, czy grają coś dla dzieci, błyskawicznie się rozłączył.

– Oczywiście, że nie, kochanie – odparł, uśmiechając się rozbrajająco i unosząc ręce w parodii obronnego gestu. – Myślisz, że nie potrafię być oryginalny?

I tak oto wraz z małym Gracjanem wylądował w miejskim parku. Był to swego rodzaju kompromis pomiędzy kinem a zoo, do którego za wszelką cenę chciał pójść czteroletni synek Drelicha. Kacprowi jednak na samą myśl o smrodzie wybiegu dla słońi czy małpiarni wywracało się w żołądku.

Po krótkiej kłótni obaj doszli do wniosku, że park i plac zabaw w jego centrum będą najlepszym rozwiązaniem. Stało tam kilka dmuchanych gumowych ślizgawek, oponowe huśtawki i, co chyba najważniejsze, wielka karuzela z kręcącymi się smokami. Drelicha kusiła ustawiona niedaleko budka z napojami i ukryta w cieniu ławeczka. Taka mała oaza spokoju.

Wybór okazał się trafny. Gracjan najpierw zaliczył wszystkie drobniejsze atrakcje (nie odpuścił nawet piaskownicy, choć lepienie babek znudziło mu się po niecałych pięciu minutach), a potem ruszył na podbój smoków. Stanęło na tym, że Kacper był zmuszony wykupić mu karnet na dziesięć przejazdów, a potem zapłacić za identyczny dla siebie. Po godzinie miał

absolutnie dość smoków i cieszył się, gdy nareszcie mógł zejść z karuzeli. Mimo to uśmiech na twarzy syna sprawiał mu nieliczną satysfakcję.

– Twój tatuś to świetny facet, nie, mały? – powiedział do chłopca operator karuzeli, siwy staruszek w koszulce pirata i z chustą na głowie. Opaska na oko musiała dać mu się we znaki, bo zdjął ją i włożył za szeroki pas.

– No! – odparł podekscytowany malec. – Fajnie było, prawda, tato? Wrócimy tu jeszcze?

– Jasne – westchnął Kacper. Jeżeli Gracjan opowie o wszystkim mamie i nadal będzie miał na twarzy takie wypieki jak teraz, to wróć tu już w następną niedzielę. Drelich mógł się założyć.

– O, skoro tata obiecał, to na pewno przyjdziecie – dorzucił staruszek, mrugając do chłopca. – Bo obietnic złożonych dziecku dotrzymuje sam Bóg i jego aniołowie.

– Nie jestem już dzieckiem – burknął oburzony Gracjan.

Kacper ubawił się wtedy tak z dzieciaka, jak i ze słów starego.

Gdy przypomniał je sobie kilka dni później, wcale nie było mu do śmiechu.



– Śpisz, glino? – rozległ się cichy głos gdzieś z przeciwnego końca pomieszczenia.

Kacper nie zareagował. Dalej siedział ze zwieszoną głową i liczył krople krwi kapiące mu z ust i nosa na spodnie. Trzydzieści sześć, odkąd oprzytomniał. Bóg jeden wie ile wcześniej.

Twarz i żebra paliły go żywym ogniem. Wykręcone do tyłu ręce skute kajdankami drżały z bólu i wysiłku. Do tego jeszcze ten wszechobecny mrok...

– Ja myślę, że jednak nie śpisz. Rozległy się ciche kroki.

Drelich odruchowo skulił ramiona, wodząc niewidzącymi oczami to w lewo, to w prawo. Wydawało mu się, że czuje oddech faceta stojącego tuż za nim. O krok. A może pół kroku. Z uzbrojoną w nóż ręką ukrytą za plecami i z szaleńczym uśmiechem na ustach.

Gdy Kacper znowu usłyszał jego głos, oprawca znajdował się dokładnie naprzeciw.

– Zróbmy mały teścik, brachu – zaproponował, nie kryjąc rozbawienia. – Tak by zobaczyć, jak pójdzie nam dalsza współpraca. Teraz podniesiesz główkę i spojrzysz na mnie albo znowu sięgnę po drastyczniejsze środki. Co ty na to?

Głupie pytanie. Retoryczne. Drelich był gotów zrobić niemal wszystko, byleby tylko nie zarobić następnego ciosu. Uderzenia, które z pewnością pozbawi go przytomności i tym samym odbierze wszelkie szanse. Wyobraźnia, cały czas na najwyższych obrotach, zrezygnowała z obrazu psychopaty z nożem na rzecz złamanego żebra przebijającego opłucną. I wielu innych podobnych widoków.

Sycząc z bólu, uniósł głowę.

– Brawo – ucieszył się oprawca. – O to właśnie chodziło. Teraz sobie porozmawiamy. Ale najpierw...

Coś pstryknęło i tuż przed oczami Kacpra rozbłysło światło. Wrzasnął. Oślepiający blask uderzył w jego rozszerzone źrenice niczym milion rozgrzanych igieł. W ciągu ułamka sekundy ból w żebrach przestał się liczyć. W porównaniu z tym, co czuł, mimowolnie chłonąc światło, tamto było jedynie nieudolną grą wstępną, źle zagranym preludium. A teraz zaczął się właściwy koncert.

Zamknięcie oczu pomogło odrobinę, ale nie tak, jak na to liczył. Przestał jednak krzyżeć. Czuł, że drży na całym ciele i zalewają go na przemian

fale zimna i gorąca. Po policzkach płynęły mu łzy.

– Niezłe, nie? – zapytał ze śmiechem oprawca. – Gdybyś mógł się teraz zobaczyć, glino, ciekawe, jak byś się określił. Ja stawiałbym osobiście na żalostnego sukinsyna.

Drelich milczał. Ból w głowie zelżał na tyle, że poprzednie obrażenia na powrót mogły z nim konkurować. Dołączyło do nich ochoczo drapanie w wycieńczonym przeraźliwym krzykiem gardle.

Gościowi po przeciwnej stronie lampy milczenie ofiary zdawało się w ogóle nie przeszkadzać. Po krótkiej pauzie zaczął mówić dalej, wyraźnie delektując się swoim głosem.

– Widziałem taką lampę w jednym ze starych filmów – wyjaśnił. – Tyle że tam używały jej gliny. Ci dobrzy, rozumiesz? W białych garniturach.

Przerwał na moment. Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki i po chwili pomieszczenie wypełniła woń mentolowych papierosów.

– Pomyślałem wtedy: „To niesprawiedliwe, że zabiera się nam, czarnym, taką frajdę. To przecież my powinniśmy stać w cieniu. Wy wybraliście jasność”.

Kacper ostrożnie poruszył się na krześle. Jeżeli do tej pory miał jeszcze złudzenia, że to wszystko jest jedynie grą, że chodzi tylko o wyciągnięcie z niego jak najwięcej informacji (a był gotów wyśpiewać wszystko na dowolny temat), teraz stracił wszelką nadzieję. Człowiek po przeciwnej stronie lampy nie potrzebował żadnych wieści. Jego szefowie czy też współpracownicy – może tak, ale temu tutaj wiedza gliny była zupełnie obojętna. Dało się to usłyszeć z głosu oprawcy, wyłowić z potoku słów. Niezależnie, co Kacper Drelich postanowiłby powiedzieć na swoją obronę, wyrok zapadł. Apelacji nie przewidziano.

„Tyle że to nie może się tak skończyć – usłyszał cichy szept gdzieś w swojej głowie. Nie wiedzieć czemu Kacper był pewien, że gdyby ów głos

miał kolor, byłaby to stonowana zieleń. – Zawsze jest wyjście z sytuacji. A ty musisz przeżyć, przecież obiecałeś”.

Ta myśl była tak absurdalna, że mimo bólu uśmiechnął się lekko. Zaraz jednak spoważniał w obawie, że grymas rozbawienia mógłby zostać zauważony przez jego kata.

Jednak raz wyciągniętą brzytwę trudno już schować z powrotem. Unosiła się delikatnie na falach oceanu beznadziei, czekając, aż pochwyci ją topielec. Bo przecież „obietnic złożonych dziecku”...

Szaleniec od dłuższej chwili milczał. Kacprowi przyszło do głowy, że może na kogoś czeka. „Może czeka – podpowiedział zielony głos – bo sam nie może cię tknąć. Myślisz, że dlaczego użył akurat światła, zamiast po prostu cię zastrzelić? Pewnie rzeczywiście jest świrem, ale nadal pozostaje tylko pionkiem. A pionki nie poruszają się same”.

Brzmiało to nawet prawdopodobnie, tyle że okrutna wyobraźnia, nie dająca łatwo za wygraną, miała własny pogląd na sprawę.

Według niej siedzący po przeciwnej stronie stołu wariat (Drelich był niemal pewien, że ma on na oczach sklezione plastrem okulary w rogowych oprawkach) trzymał w ręku rewolwer i od czasu do czasu celował sobie dla próby w przykutego do krzesła glinę. Za każdym razem palec coraz bardziej zaciskał się na spuście...

Zaszurało krzesło. Kacper przyjął ten dźwięk z mieszaniną niepokoju i ulgi. Podobnie jak kolejne słowa oprawcy.

– Już poznałeś, czym jest ból – powiedział ten, wkraczając w półkole światła. Nadal oślepiony blaskiem lampy Drelich był w stanie dojrzeć jedynie zarys jego sylwetki. – Myślę, że powinniśmy przejść do kolejnego etapu naszego spotkania. Pytań mianowicie. Masz coś przeciwko temu, czy też kryjesz w rękawie jakiegoś asa?

– Nie – wyszeptał Kacper.

– Co „nie”? – zapytał z rozbawieniem oprawca. Przesunął lekko lampę po blacie i usiadł na krawędzi stołu. Założył nogę na nogę.

– Nie mam nic przeciwko pytaniom – sprecyzował Drelich. – i nie chowam żadnego asa.

Kłamał w obu przypadkach. Choć o ile co do pytań skłamał z premedytacją, świadomość, że jednak ma w rękawie asa, spłynęła na niego dopiero po chwili. Przez moment nawet zastanawiał się, jak mógł nie pomyśleć o tym wcześniej, jak mógł zapomnieć, skoro ów as tyle go kiedyś kosztował.

Ale od tamtej pory, a zwłaszcza od zeszłej nocy w doku numer dziewięć, wiele nowego nauczył się o cierpieniu. Palcem wskazującym lewej ręki pogładził kciuk prawej.

Siedem, a może osiem lat temu podczas szkolenia zorganizowanego dla słuchaczy szkoły policji dowiedział się ciekawej rzeczy o uwalnianiu dłoni z kajdanek. „Kosztuje to zawsze trochę bólu – mówił prowadzący zajęcia, były włamywacz, krzywiąc się w szelmowskim uśmiechu, który nadawał jego nieogolonej, pobrużdżonej twarzy piracki wygląd. – Ale wierzcie mi, panowie... przepraszam, panie i panowie, że się opłaca”.

Poprosił któregoś z chłopaków, żeby zapiął mu kajdanki. Potem dziewczynę, by sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. A później po prostu ścisnął lewą ręką prawą dłoń i... zsunął bransoletkę. Przez chwilę wyraźnie karmił się zdziwieniem na twarzach słuchaczy, zanim wyjaśnił, na czym polegała sztuczka.

Tydzień po tych zajęciach pijany w sztok Kacper Drelich, oblewający właśnie zakończenie kolejnego roku szkoły, przywiązał kciuk prawej ręki do stojącego na szafce wielkiego kamienia. Głaz mógł ważyć ze czterdzieści kilo i Drelich nieźle się namęczył (i naklął przy okazji), taszcząc go z ogródka do pokoju. Wtedy jednak nie miał ani grama

wątpliwości, że to dobry pomysł. Podobnie jak chwilę potem, gdy opierał kciuk na krawędzi blatu szafki, sprawdzając przy okazji, czy sznurek nie jest aby za długi. Wreszcie lewą ręką szarpnął za kamień i strącił go w dół.

Zanim jeszcze głaz uderzył o podłogę, rozległ się cichy trzask pękającej kości, a do oczu Kacpra napłynęły łzy. Mimo solidnej dawki znieczulenia procentami ból był tak wielki, że Drelich zemdłał.

Wspominał tamto wydarzenie, ilekroć ktoś zapraszał go na popijawę. Zdanie „Alkohol twój wróg” nabrało dla Kacpra zupełnie innego znaczenia. A gdy po latach zobaczył, ilu jego kumpli przez pociąg do wódki stoczyło się do rynsztoka, był już przekonany, że tamten włamywacz, kamień i ból uratowały mu życie. Teraz liczył po cichu, że zrobią to ponownie.

– Nie mam nic przeciwko pytaniom – powtórzył. – Odpowiem na wszystkie, tylko proszę mnie więcej nie bić.

Głos drżał mu przy każdym słowie, tym razem jednak bardziej z podniecenia niż ze strachu. Miał nadzieję, że tamten świr nie dostrzeże różnicy. Lewą dłoń zacisnął na prawej i zgniatając ją, powoli zaczął zsuwać bransoletę.

– Zaczynamy więc – powiedział oprawca. Rozległ się odgłos zacieranych rąk. – Czy możesz mi powiedzieć, co robiłeś wtedy w porcie, glino?

Na ostatnie słowo położył mocny akcent. Zupełnie jakby chciał ostrzec: „Tylko nie próbuj mi wmówić, że znalazłeś się tam przypadkiem”. Kacper ani myślał kłamać. Grał w końcu na zwłokę. Do tego prawda nadawała się wręcz znakomicie.

– Dostałem cynk, że będziecie tam mieli przerzut. Chciałem zobaczyć, jak duży i dokąd to wszystko wywozicie.

Ponownie rozległ się trzask zapalanej zapalniczki. Tym razem Drelich dostrzegł nawet jej światełko. Albo tak mu się zdawało. Prawą bransoletę

miał już na palcach. Wystarczyło tylko puścić... i modlić się o siłę w omdlałych rękach.

Oprawca odchylił głowę do tyłu.

– Brawo – pochwalił ze śmiechem. – Bardzo ładnie. Może więc powiesz mi jeszcze...

Nie skończył, bo w tym właśnie momencie Kacper rzucił się do ataku. Błyskawicznie wyciągnął ręce zza siebie i złapał przeciwnika za nogi. Zanim tamten zaskoczony zdążył zareagować, Drelich szarpnął się gwałtownie do tyłu. Wiedział, że nawet wliczając element zaskoczenia, jest zbyt słaby, by po prostu ściągnąć mężczyznę ze stołu. Liczył jednak, że uda mu się dokonać tego, lecąc na plecy wraz z krzesłem i wykorzystując tym samym swój własny ciężar.

Udało się. Oprawca próbował jeszcze przez moment uchwycić rękami blat, ale stracił równowagę i rąbnął tyłem głowy najpierw o kant stołu, potem o betonową podłogę. Aż zadudniło.

Kacper poderwał się. Ból przeszywał mu lewy bok, a mrowienie w rękach przypominało, że nie może im za bardzo ufać. Mimo to jednym susem doskoczył do leżącego przeciwnika gotów skrócić mu kark przy najmniejszym ruchu. Przewrócona lampa, która jakimś cudem utrzymała się na stole, oświetlała teraz twarz oprawcy. Drelich, trzymając w pogotowiu wzniesioną pięść i z całej siły wyteżając obolałe oczy, przyjrzał się uważnie gębie świra.

Mężczyzna nie nosił okularów z rogowymi oprawkami i przypominał bardziej wymuskanego modela niż cyngla mafii. Twarz miał pociągłą, przystojną, z idealnie prostym, wąskim nosem i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Blond włosy spinał w krótki kucyk. Z kącika ust, drobnych, delikatnych, niemal kobiecych, wypływała cienka strużka krwi.

Drelich opuścił rękę i ostrożnie sprawdził leżącemu tętno. Nie wyczuł go, wstał więc powoli i podniósł lampę. Dzięki niej bez problemu znalazł drzwi i po kilkuminutowych zmaganiach z zamkiem i klamką wyszedł na zewnątrz.



Skąpany w półmroku korytarz ciągnął się jakieś pięćdziesiąt metrów w obie strony, a z obu jego końców prowadziły w górę metalowe schody. Kacper nie był tego jednak całkiem pewien, wciąż jeszcze migają mu przed oczami srebrzysto-cieniste kwadraciki, pozostałości „naświetlania”. Po krótkim namyśle ruszył w prawo.

Drelichowi wpadło do głowy, że przecież mógł sprawdzić, czy tamten miał broń. Ot tak, na wypadek gdyby jego oprawca rzeczywiście zamierzał z kimś się spotkać. Przez chwilę rozważał, czy nie zawrócić.

„Tyle że nawet jeśli tamten ma broń – myślał – jesteś pewien, że zdołasz się nią posłużyć? Raz ci się udało, bracie, więc teraz wiedz co sił. Nie nadwerężaj szczęścia”.

Dopadł schodów i zaciskając rękę na poręczy, począł pięć się w górę. Dokładnie dziewiętnaście stopni dzieliło go od pomalowanych na zielono drewnianych drzwi, wrót do wolności. Kacper poczuł, że jeśli teraz ktoś je otworzy albo okażą się zamknięte, to chyba zacznie wyc z rozpacz.

Na szczęście po naciśnięciu klamki usłyszał ciche skrzypnięcie i drzwi stanęły otworem. Drelich rozejrzał się po budynku.

Była to jakaś stara hala fabryczna przeznaczona do rozbiórki. Ściany pokrywał grzyb, po podłodze walały się kamienie i kawałki szkła. Gdzieniedzie widniały jeszcze świeże ślady moczu, a usypane to tu, to tam stosy szmat, gazet i tektury świadczyły wyraźnie, że budynek służył za dziką noclegownię bezdomnym. Zdaniem Kacpra -świadczyły nawet

nazbyt wyraźnie. Jego umysł, latami szkolony w wypatrywaniu poszlak, bez trudu wyłapał drobne nieścisłości.

Po pierwsze, gazetowo-szmaciane kupki były ułożone stanowczo zbyt równo, kawałki szyb znajdowały się zbyt daleko od okien, a ślady moczu zbyt blisko miejsc do spania. Poza tym brakowało tu puszek, pustych opakowań i innych pozostałości po jedzeniu, nieodłącznych elementów takich koczowisk. Drelichowi nie chciało się również wierzyć, że żaden z bezdomnych nigdy nie zszedł do piwnicy. Przypomniwał sobie, że drzwi pomieszczenia na dole były wyjątkowo grube i miękkie. Jakby wytłumione.

– Sprytne – pochwalił, lekko kiwając głową, i ruszył w stronę wyjścia.

Przeszedł przez małe, zaniedbane podwórko. Po drodze podniósł z ziemi kawałek drutu i za jego pomocą szybko oswobodził z kajdanek lewą rękę.

Od ulicy dzielił go teraz jedynie wysoki płot z ciasno przylegających do siebie sztachet. Rozejrzał się, czy któraś nie jest aby obluźwana. Gdy w końcu taką znalazł, prześliznął się i wyszedł na ulicę. Mijający Kacpra ludzie patrzyli na niego z mieszaniną niepokoju i niesmaku na twarzach, ale nic sobie z tego nie robił. Był wolny.



– O Boże! – krzyknęła sklepikarka, wybiegając zza lady. – Co panu jest?

Drelich obejrzał swoje odbicie w szklanych drzwiach i aż się skrzywił. Spokojnie mógł uchodzić za ofiarę wypadku. Potwornie napuchnięty, czerwony nos, do tego pełno mniejszych i większych ran na brodzie i policzkach, a lewe oko zaczynało już sinieć. Włosy miał zmierzwione, pełne pyłu i maleńkich patyczków, a ubranie poszarpane i czerwone od krwi.

Sprzedawczyni złapała po drodze stojące przy ścianie krzesło. Gnając, uderzyła biodrem o regał, z którego posypały się szesnastokartkowe zeszyty

z Goofym.

– Proszę, niech pan usiądzie. Ja już dzwonię po karetkę.

Pokręcił głową, siląc się na swobodny uśmiech. Sądząc po minie sklepikarki, z miernym skutkiem.

– Nie potrzebuję karetki – wyjaśnił. – Muszę tylko zadzwonić.

– Ale...

– Jestem z policji – dodał pospiesznie i odruchowo sięgnął do tylnej kieszeni spodni po legitymację. Oczywiście nic tam nie było, nie używał legitymacji od tak dawna, że prawie nie pamiętał wypisanego na niej numeru, ale kobieta wcale nie potrzebowała żadnych poświadczeń. Podparła go ramieniem i doprowadziła do telefonu.

Kacper wystukał numer.

– Podinspektor Trolewski. Słucham – rozległo się po dwóch sygnałach.

– To ja, Kacper.

– Gdzieś ty był?! Szukamy cię całą noc. Miałeś być przy...

– Uspokój się. – Drelich przełożył słuchawkę do lewej ręki. – Złapali mnie, ale właśnie się wyrwałem. Cudem. Jestem teraz w sklepie papierniczym na ulicy...

Spojrzał pytająco na sklepikarkę.

– Kwiatowa czternaście – odpowiedziała kobieta.

– Na Kwiatowej czternaście – powtórzył. – Byłbym wdzięczny, gdybyś podesłał tu kogoś z samochodem i jakimiś świeżymi ciuchami. Cały jestem we krwi. A, i jeszcze jedno, czy mógłbyś...

Nagle świat zawirował mu przed oczami. Srebrzyste kwadratowe błyski stały się różowe, a potem czerwone i okrągłe. Poczł, że kolana ma z waty, ręce dziwnie wiotkie, a szarka z telefonem stała zbyt daleko, by mógł się jej złapać. Później widział już tylko ciemność.



– Pan ma chyba szkielet z gumy. – Lekarz, gruby mężczyzna o gładkiej, pogodnej twarzy i z niewielkim plackiem łysiny pośród jasnobrązowych włosów, wyłączył tablicę do podświetlania zdjęć rentgenowskich. Gdy się odwrócił, wydał pulchne policzki w grymasie rozbawienia z małą domieszką podziwu. – Ani jednego złamanego żebra. A sądząc po siniakach, obstawiałbym co najmniej dwa.

– Może ma pan rację, doktorze – odparł siedzący na kozetce Kacper, mimowolnie przykładając rękę do obitego boku. – Czuję się, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł.

Lekarz parsknął śmiechem.

– Dobrze, że poczucie humoru ma pan całe. O to czasami najtrudniej.

Przeszedł przez gabinet i usiadł za biurkiem. Podniósł z blatu stetoskop, przewiesił go sobie przez szyję. Na ten widok Kacprowi przypomniała się zgryźliwa uwaga Agnieszki, którą rzuciła kiedyś, oglądając jeden ze szpitalnych seriali: „Wiesz, czym się różni prawdziwy doktor od takiego z telewizji? Ten drugi zawsze ma na szyi stetoskop. Nawet pieprzony ginekolog”.

Drelich uśmiechnął się mimowolnie.

– Co pana tak bawi? – spytał zaintrygowany lekarz.

– Nie, ja tylko... – machnął ręką Kacper. – Coś sobie przypomniałem. Mogę się już ubrać?

– Jasne, ale może woli pan zadzwonić do kogoś, żeby przywiózł coś świeższego? – Doktor wskazał głową na skrwawione szmaty obok kozetki. Jeszcze niedawno były to całkiem dobre spodnie i koszula. – Sami byśmy to zrobili, ale nie podał nam pan numeru.

– Skoro można, to chętnie – odparł Drelich. – Właściwie prosiłem już o to kolegę, zanim straciłem przytomność, ale może nie wie, gdzie mnie przywieźli.

Wstał ostrożnie i podszedł do biurka. Usiadł na krześle naprzeciwko lekarza, a ten odwrócił telefon w jego stronę.

– Mam nadzieję, że nie mieszka pan na drugim krańcu świata – rzucił. – Strasznie nas gonią za zamiejscowe. Wie pan, szpital w długach.

Kacper skinął głową z uśmiechem i podniósł słuchawkę. Jeśli nawet zdziwił się, że telefon zamiast przycisków miał tarczę, nie dał tego po sobie poznać. Zdążył się jednak odzwyczaić i ledwie trafił palcem w otwór.

– Przez zero-zero – doradził lekarz. – Mamy tu centralkę.

Ktoś zapukał cicho i do gabinetu weszła prześliczna młoda pielęgniarka z żółto-niebieską reklamówką w ręku. Drelich poznał ją, bo była to ta sama, która pomagała mu zdjąć koszulę niecałe pół godziny wcześniej. Opuścił słuchawkę i uśmiechnął się do dziewczyny. Jej kąciki ust same powędrowały do góry.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedziała – ale ktoś czeka na zewnątrz. Przedstawił się jako Franciszek Trolewski.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że będzie mu... – zaczął, ale Kacper wszedł mu w zdanie.

– To do mnie – mówił, nie odrywając wzroku od dziewczyny. – To ten kolega, do którego dzwoniłem.

Na jego twarzy nie było już jednak nawet śladu po uśmiechu. Wyrażała raczej zdumienie, a nawet lęk. Potrząsnął głową i mrugnął kilkakrotnie, jakby właśnie się przebudził.

– Jednak mnie znalazł.

Pielęgniarka zrobiła krok do przodu i położyła reklamówkę na kozetce.

– Przywiózł świeże ubrania. Mówił, że zaczeka na zewnątrz.

Doktor skinął głową.

– Dziękujemy bardzo. Proszę mu powiedzieć, że to już długo nie potrwa.

Przeniósł wzrok na przyglądającego się dziewczynie Kacpra.

W ręce Drelicha nadal tkwiła słuchawka telefonu, a on najwyraźniej zupełnie nie słyszał jej piszczenia. Lekarz uśmiechnął się szeroko.

– Niech pani lepiej już idzie – poprosił pielęgniarkę. – Pacjent ma na dziś dość wrażeń.

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz niezrozumienia, zaraz jednak wyłapała spojrzenie Drelicha błędzące w okolicy jej dekoltu i pojęła, o co chodziło. Lekko zaczerwieniona wybiegła z gabinetu, tylko skinąwszy głową.

– Ładnie tak peszyć pielęgniarki? – parsknął śmiechem doktor.

Kacper uśmiechnął się niepewnie i wzruszył ramionami. Odłożył słuchawkę na widełki.

– Śliczna dziewczyna – powiedział. – To dlatego tak... Lekarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Pełen wesołości uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

To utwierdziło Drelicha w przekonaniu, że musiało mu się coś przywidzieć.

„Jesteś zmęczony – tłumaczył sobie – a gdybyś rzeczywiście dostrzegł to, co ci się wydaje, on również musiałby coś zauważyć. Masz zwidy, chłopie!”

Żadne tłumaczenie jednak nie pomagało, a w jego głowie cały czas migał ten sam obraz niczym fragment filmu puszczany non stop do przetarcia taśmy: gładka szyja dziewczyny, na której znikąd pojawia się poziome rozcięcie niemal od ucha do ucha. Kilka kropel krwi skapuje na biały kołnierzyk jej fartucha, barwiąc go na różowo. A potem wszystko znika. Ot tak, po prostu.

Widok siedzącego w poczekalni Franka ubranego mimo upału w kraciatą wełnianą marynarkę i z trudem mieszczącego się na plastikowym krzeselku wywiał z jego głowy wszelkie złe myśli. W jednej chwili przestał myśleć o pielęgniarce. Niewiele brakowało, a zapomniałby również o poranku w piwnicy, w tej kwestii jednak ból piekących żeber i opuchniętego nosa dość skutecznie odświeżał mu pamięć. Mimo to Kacper nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Cześć, wielkoludzie! – zawołał.

Trolewski podniósł wzrok znad rozwiązywanej krzyżówki, a zaraz potem poderwał się na równe nogi. Przy swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrach wyglądał teraz jak bajkowy olbrzym. Rzucił gazetę na stolik i ruszył ku Kacprowi, a na porośniętej gęstą brodą twarzy pojawił się pełen niepokoju uśmiech. Choć szedł powoli, z każdego kroku dawało się wyczuć, że gotów jest rzucić się biegiem, gdyby tylko przyjaciel zasłabł. Uścisnęli się. Nie za mocno, ale mimo to Drelich o mało nie syknął.

– W porządku? – zapytał Franek, puszczając go.

– W miarę. W końcu żyję, nie?

– Żyjesz – zgodził się Trolewski. – Chodź, odwiozę cię do domu.

Kacper skinął głową i obaj powoli ruszyli ku wyjściu.



Komendant Franciszek Trolewski, jak przystało na pewnego swej pozycji oficera policji, nic sobie nie robił z przepisów drogowych. Jeździł zbyt szybko, wpychał się na trzeciego i trąbił, gdy tylko ktoś jego zdaniem zbyt wolno ruszał na skrzyżowaniu. Mimo to Kacper, choć sam był raczej spokojnym kierowcą, lubił z nim jeździć i nigdy, siedząc w niebieskim passacie swego przełożonego, nie czuł się naprawdę zagrożony.

– Twoja baza jest już spalona – powiedział Franek, gdy już opuścili miasto i wjechali na obwodnicę. – Zaraz po twoim zniknięciu posłałem paru chłopaków w kilka miejsc, w tym do ciebie, żeby oddalić podejrzenia. Zgarnęliśmy parę płotek, ściągnęliśmy do kupy może z pięć kilo proszku... Słowem, się spierdoliło.

– Przykro mi – to było jedyne, co przyszło Drelichowi do głowy. – Naprawdę miałem nadzieję...

– Wiem! – komendant przerwał mu ostro, po czym już łagodniej dodał: – Nie twoja wina. A właściwie twoja, ale nie tylko. Wszyscy daliśmy dupy. Byliśmy zbyt pazerni. Opowiadaj teraz, jak cię złapali. I co najważniejsze, czy wiedzą, kim jesteś?

– Myślę, że jedyne, co wiedzieli, to że jestem gliną. – Kacper przypomniał sobie, jak zwracał się do niego oprawca. – Poza tym nic, ale niewiele brakowało, aby wyciągnęli ze mnie wszystko słówko po słówku.

Niecałe dziesięć minut zajęło Drelichowi opowiedzenie całej historii. Oczywiście pominął w niej rolę brzytwy, zielonych głosów i studenckiego eksperymentu, który zgodnie z obietnicą instruktora okazał się świetną inwestycją na przyszłość. Gdy skończył, przez chwilę jechali w milczeniu.

– Swoją drogą, to postarali się o niezłe zadupie na tę swoją melinę – powiedział w końcu Franek. Trzymał kierownicę jedną ręką i niebezpiecznie często zerkał na pasażera. – A do tego, mówię ci, ludzie kompletnie nie mają pojęcia, na jakim świecie żyją. Pytasz się jednego czy drugiego o tę cholerną Kwiatową, a ten gapi się na ciebie jak ten baran i... No jedźże!

Kierowca czerwonego malucha przed nimi nie mógł usłyszeć polecenia, mimo to grzecznie usunął się na bok. Trolewski przyspieszył.

– Ja znam każdą ulicę w swojej dzielnicy – westchnął.

Kacper parsknął śmiechem.

– Za twoim biurkiem wisi wielka mapa rewiru z czasów, gdy byłeś tam dzielnicowym. I widzisz ją codziennie od ilu lat? Nawet matoł by się nauczył.

– Wielkie dzięki – burknął komendant i zahamował gwałtownie, by nie uderzyć w zmieniającą pas ciężarówkę. Zatrąbił przeciągle. – Kierunkowskaz, kretynie!

– Skąd wzięłeś moje ciuchy? – zapytał Drelich. Trolewski wzruszył ramionami.

– Z twojego domu, rzecz jasna. – Musiał dostrzec niepokój na twarzy Kacpra, bo zaraz dodał: – Nie martw się, pamiętałem. Powiedziałem Agnieszce, że miałeś drobny wypadek. Potracił cię samochód. I tej wersji lepiej się trzymaj, jeśli nie chcesz, żebyśmy obaj wpadli w kłopoty. Chciała ze mną jechać, ale nie miała z kim zostawić małego, a ja zapewniłem ją, że odtransportuję cię prosto do domu.

– Żywego lub martwego – dodał Drelich z kwaśnym uśmiechem.

Franek zmienił pas i po kilkunastu metrach zjechał z obwodnicy. Z tego miejsca Kacper widział już swój blok, czteropiętrowy budynek z porośniętymi bluszczem ścianami i szklarnią na dachu. „Cholerny Babilon”, jak zwykł go nazywać.

– A propos martwych. – Trolewski sięgnął prawą ręką do kieszeni marynarki i wyjął z niej paczkę gum. Podsunął ją pod nos Drelicha, ale ten odmówił. – Muszę wysłać chłopaków, żeby zabezpieczyli tego gościa w piwniczce.

– Tylko niech zrobią to dyskretnie. Pamiętaj, że to najprawdopodobniej melina i można tam złapać jakąś grubszą rybkę.

– Tak, jasne, zwłaszcza po nocnej obławie – zadrwił Franek. Włączył kierunkowskaz i skręcił w osiedlową uliczkę. Przejechał około stu metrów,

potem zaparkował i wyłączył silnik. – Zresztą póki co to nie twoja sprawa. Od dziś masz wolne. I lepiej nigdzie się nie pokazuj przez jakiś czas.

Kacper z uśmiechem pokiwał głową i otworzył drzwi.

– Długo pan beze mnie nie wytrzyma, panie komendancie – powiedział.

Trolewski położył mu rękę na ramieniu.

– Masz rację. Chyba że znowu każesz mi pić tę swoją obrzydliwą kawę.



– Ale mnie wystraszyłeś – powiedziała z wyrzutem Agnieszka, otwierając im drzwi. Zaraz potem uśmiechnęła się, ale Kacper zdążył dostrzec, że miała lekko rozmyty makijaż, a oczy wciąż szklane od niedawnych łez. I na pewno nie był to tylko przelotny szloch.

Lekceważąc ból, przyciągnął ją do siebie i z całej siły przytulił.

– Wybacz, mała – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Koleś, który mnie trzepnął, zarobił już swój mandacik.

Przez chwilę trzymał Agnieszkę w objęciach, po czym odsunął ją na moment, żeby pocałować, i... aż cofnął się o krok. Twarz jego żony, zawsze nieskazitelnie gładką, w jednej chwili pokryły zmarszczki. Lekko zaróżowiona skóra stała się szarobrązowa i bardziej przypominała teraz nieudolną rzeźbę wykonaną z papier mache niż prawdziwe ludzkie oblicze. Pod oczami Agnieszki pojawiły się sinoczarne worki, a z lekko rozchylonych warg wystawały pożółkłe zęby. Czarne włosy posiwiały w ułamku sekundy, a w niektórych miejscach nawet pożółkły niczym trawa w upalne, suche lato. Wiedźma, która jeszcze przed chwilą była jego żoną, przechyliła głowę.

– Coś nie tak, kochanie? – zapytała.

I nagle wszystko powróciło do normy. Kacper zamknął oczy i wziął dwa głębokie oddechy. Stojący obok Franek posłał Agnieszce pełne niepokoju

spojrzenie.

– Może lepiej połóżmy go do łóżka – szepnął. Drelich pokręcił głową.

– Nie, już w porządku – stwierdził. – Jakieś zawroty... Uśmiechnął się nienaturalnie i minąwszy żonę, wszedł do mieszkania. Oparł rękę na szafce z butami, pochylony zaczął rozsypywać sznurowadła. Agnieszka i komendant wciąż stali w progu, przyglądając mu się uważnie.

Drelich pokręcił głową z dezaprobatą.

– Długo będziecie tam stać? – zapytał. – Kochanie, napiłbym się jakiejś herbaty.

– Jasne. – Jego żona odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów, odwróciła się i weszła do kuchni. – A ty, Franiu?

– Kawy – poprosił Trolewski, wchodząc do mieszkania i zamykając za sobą drzwi. – Bez śmietanki i cukru.

Kacper uporał się z drugim butem i oba włożył do dolnej szuflady.

– Gdzie jest mały? – zapytał.

Agnieszka wróciła z kuchni, zdejmując z ręki rękawicę do gotowania. Nie wiedzieć czemu, zawsze nakładała ją przed postawieniem czajnika na gazie.

– Gracjan jest na podwórku – odparła. – Przyszedł po niego ten mały Krzysio od... Kacper!

Rzuciła się ku mężowi. Niestety, po drodze wpadła na Franka, tak że oboje doskoczyli zbyt późno. Drelich zatrzepotał powiekami i po raz drugi tego dnia runął na ziemię.



Agnieszka cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni. Przez przedpokój przeszła na palcach, odetchnęła dopiero w salonie.

Siedzący na kanapie Franek tym razem nie rozwiązywał krzyżówki w swoim nieodłącznym teletygodniku, tylko rozmawiał przez komórkę.

– Talar, czyja ci muszę oczywistości tłumaczyć? No to zróbcie mi tę rudere i piwnicę, tylko żeby nikt nie widział, jasne? Tyle, meldować! – rzucił i zakończył połączenie, widząc wchodzącą do pokoju Agnieszkę.

– Organizujesz włamanie do piwnicy? – spróbowała zażartować. Usiadła w fotelu i podniosła filiżankę. Zdążyła już doprowadzić się do porządku zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak też częściowo nerwy, ale mimo to ręka drżała jej lekko.

– Tak, na banki robię się za stary – bez przekonania odpowiedział dowcipem Trolewski. – I co z nim? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, omal nie rozlewając swojej herbaty.

– W miarę w porządku. Śpi. Ale nadal uważam, że ktoś powinien go obejrzeć. Przez telefon to żadna diagnoza.

Franek uśmiechnął się i przejechał ręką po swej bujnej brodzie, jak zawsze gdy próbował kogoś uspokoić. „Czy można się bać wilków – mówił ten gest – w towarzystwie niedźwiedzia?”

– Sama słyszałaś, że powiedziałem temu lekarzowi wszystko w najdrobniejszych szczegółach – przypomniał. – A on stwierdził, że to nic niezwykłego, bo Kacper jest bardzo osłabiony. Ale nie miał żadnych poważnych urazów wewnętrznych. Wystarczy, jak wypocznie.

Było jeszcze coś, o czym wolał nie mówić. To nie było zwykłe zmęczenie. Trudno powiedzieć, co dokładnie podali Drelichowi porywacze i dlaczego lekarz kretyn nie zauważył objawów. Jednak Franek, który od śmierci żony większość czasu spędzał, pomagając w ośrodku dla uzależnionych, naćpanego potrafił wyczuć na kilometr. Rozpoznawał ich po zapachu, drobnej nucie słodczy w pocie.

W przypadku Kacpra dochodziły jeszcze rozszerzone źrenice, przyspieszone tętno i dziwne reakcje, zupełnie jakby nagle zauważył coś niepokojącego. Szkolne objawy przyćpania.

Trolewski widział to wszystko, podobnie jak dostrzegł małą czerwoną kropkę na przedramieniu przyjaciela, gdy pomagał go rozebrać. Ślad po igle niewiele większy niż po ukąszeniu komara.

Wiedział, że powinien powiedzieć o tym Agnieszce. Nie tylko dlatego, że jako żona Kacpra, a jego przyjaciółka, powinna o tym wiedzieć. Przede wszystkim by nie podała mu czegoś, co mogłoby kolidować z... No właśnie, z czym?

Nie sądził, aby było to coś twardego, podejrzewał raczej amfetaminę z jakąś domieszką halucynogenów. Tak, to nawet miałyby sens. Słyszał, że podobno używa się takiej mieszanki jako serum prawdy. Działała nawet lepiej niż podtlenek azotu.

– ...myślisz? – Agnieszka spoglądała na niego z niepokojem.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Przepraszam, nie słuchałem – wyjaśnił. – Mówiłaś coś?

– Pytałam, nad czym tak myślisz – powtórzyła. – Ty też nie wyglądasz za dobrze. Co wyście tam w nocy robili? Przesłuchiwaliście panienki z night baru?

Franek odchylił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. „I tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia – pomyślał, przypominając sobie całą skleconą dwa dni temu bajeczkę. - Bo jak wytłumaczyć, że Kacpra naszprycowali bandyci, skoro całą noc spędził na komendzie?” Z przedpokoju dobiegł ich dźwięk otwieranych drzwi, potem trzaśnięcie i przeciągłe: „Maamoo!”.

Agnieszka postawiła filiżankę na stoliku.

– To Gracjan – wyjaśniła, wstając. Poprawiła spódnicę i wyszła z pokoju.

Trolewski zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Ekipa powinna już od jakiegoś czasu działać na Kwiatowej, warto by ich pogonić. Dopił kawę.

Żona Kacpra wróciła do pokoju, prowadząc synka za rękę. Chłopiec był utyłany w trawie i błocie, a na twarzy miał zaschnięte ślady po łzach. Mimo to gdy zobaczył Franka, rzucił się ku niemu.

– Wujek! – krzyknął radośnie, wyciągając ręce.

– Cześć, szkrabie! – Trolewski wstał i rozłożył ramiona, a gdy chłopiec wpadł między nie, podniósł go na wysokość swojej twarzy i połaskotał brodą po policzku. – Co się stało?

– Niechcący zburzył piaskowy zamek kolegi – wyjaśniła Agnieszka. Franek odkrył z rozbawieniem, że w jej głosie słychać było prawdziwe oburzenie. – I tamten pacnął go łopatką.

Gracjan na wspomnienie tego ciosu zachlipał cicho. Trolewski wyprostował łokcie, tak że trzymał chłopca w wyciągniętych rękach. Udał, że wpatruje się w brzdąca z powagą.

– Oczywiście, młody człowieku. Ale oddałeś mu, jak przystało na małego Drelicha, co? – zapytał.

– Franek! – skarciła go Agnieszka, ale zaraz się roześmiała.

Komendant postawił chłopca na ziemi.

– Myślę, że powinnaś zabrać ich gdzieś w jakieś spokojne miejsce – rzucił, całując ją w policzek na pożegnanie. – Muszą odpocząć po kontuzjach. Obaj.

Skinęła głową.

– Jutro z rana pojedziemy do moich rodziców – zapewniła. – Obaj czują się tam świetnie, a i staruszkom dobrze robi towarzystwo.

– Świetnie. Posiedźcie tam sobie z tydzień i wypocznijcie.

Podszedł do drzwi wyjściowych. Już złapał za klamkę, ale odwrócił się gwałtownie, jakby coś sobie przypomniał.

– Jeszcze jedno – dodał. – Nie podawaj mu żadnych leków, nawet aspiryny. A gdyby coś się z nim, nie daj Boże, działo, zadzwoń najpierw do mnie, a dopiero potem na pogotowie, dobrze?

Już miała o coś zapytać, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i machnęła ręką.

– Na razie jest w porządku – odparła. – i miejmy nadzieję, że tak zostanie.

Franek pokiwał głową pewien, że jeśli przyjdzie co do czego, Agnieszka i tak zrobi po swojemu. Raz jeszcze pożegnał się krótkim „hej!” i wyszedł.

Satyr – preludium

Winda zatrzymała się na trzydziestym piętrze. Umieszczona nad rzędem cyferek mała biała lampka rozjaśniła na chwilę mrok korytarza. Zabrzęczał dzwonek, potem rozsunęły się drzwi. Korytarz zalała fala światła, a na ciemnobrązowy dywan z głuchym łoskotem runęły zwłoki windziarza.

Z wnętrza kabiny wyłonił się szczupły mężczyzna ubrany w szary, prążkowany garnitur. Wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat. Miał wąską, pociągłą twarz z nieco szpiczastym nosem, krótkie czarne włosy i starannie przystrzyżoną kocią bródkę. W prawej ręce trzymał aktówkę ze smolście ciemnej skóry. Lewą aż do przedramienia pokrywała krzepnąca krew.

Przestąpił zwłoki i odwrócił je nogą. Nie sprawiło mu to większych kłopotów. Windziarz, mężczyzna dobrze już po sześćdziesiątce, był przecież niski i szczupły.

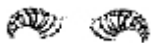
Mężczyzna z aktówką przez chwilę wpatrywał się w rosnącą wokół głowy starca czerwoną kałużę. Z odrętwienia wyrwał go dźwięk dzwonka i nagły ruch zwłok. Aż podskoczył, zaraz jednak zerknął ku windzie i powróciło poprzednie opanowanie. To tylko drzwi próbowały się zamknąć, w czym wyraźnie przeszkadzały im nogi trupa.

Kozią bródkę mężczyzny w garniturze rozszerzył uśmiech. Mógłby tak sobie stać i czekać, aż cierpliwie to otwierające się, to zamykające drzwi dokonają w końcu swego dzieła. Zamkną się ostatecznie i kabina zjedzie na dół lub pomknie w górę z obciętymi nogami martwego windziarza. Ile mogłoby to trwać? Dzień? Miesiąc? Rok? Był pewien, że dla takiego widoku warto by poświęcić kawałek życia. Tryumf uporu maszyny nad słabością ludzkiego ciała. To dopiero byłoby coś!

„Jasne – pomyślał – tyle że nie dziś. Dziś są ważniejsze sprawy”.

Postawił aktówkę, przykucnął i pochylił się nad twarzą windziarza. Z lewego oczodołu wyciągnął wieczne pióro. Wysunęło się bez większych przeszkód, z cichym „plop”. Wytarł je starannie w czerwony uniform martwego staruszka, sięgnął do kieszeni po skuwkę, po czym rozpiął teczkę, by schować pióro do środka. Stanął nad trupem, chwycił go za ramiona i pociągnął. Drzwi raz jeszcze rozsunęły się, wreszcie zamknęły do końca. Korytarz na powrót zalała ciemność.

Szczupły mężczyzna podniósł aktówkę, a lewą ręką strzepnął z marynarki niewidzialne pyłki, zostawiając przy okazji wyraźne smugi krwi. Ruszył wzdłuż korytarza.



Drzwi gabinetu oświetlonego jedynie stojącą na dębowym biurku niegustowną plastikową lampką skrzypnęły cicho. Pogrążony w papierach siwowłosa mężczyzna znany światu jako Grzegorz Wierny – wybitny

prawnik, wesoły filantrop i założyciel największej kancelarii adwokackiej w kraju – gwałtownie uniósł głowę. Jego ręka odruchowo powędrowała w stronę środkowej szuflady biurka. Wytężył wzrok.

– To ty? – zapytał, mimo mroku rozpoznając stojącego przy drzwiach mężczyznę z teczką. – Już cię wyp... już przyjechałeś?

Przybysz wzruszył ramionami. Uśmiechał się.

– Jak widać – odparł, ruszając w stronę biurka. – Myślałeś, że będą mnie tam trzymać wiecznie? Poczułem się lepiej, to mnie wypuścili. Fajne to twoje nowe biuro. Nie majak stolica, co? Ego musiało ci napęcznić jak deski na deszczu.

Roześmiał się zadowolony z żartu i ostentacyjnie obejrzał sobie gabinet.

Nie licząc ustawionego pod oknem biurka, całe wyposażenie stanowił stoliczek z wieżą stereo, dwa obite skórą krzesła, mała biblioteczka pełna książek prawniczych, barek (jak zawsze o tej porze uchylony) i puszysty dywan.

No i oczywiście maski. Było ich grubo ponad dwieście. Wisiały na każdej ścianie, w różnych rozmiarach, pochodzące z różnych krajów i kultur. Nie brakowało tam zarówno tych papierowych z ostatnich wyborów prezydenckich, jak i rzeźbionych w kości słoniowej wizerunków afrykańskich bóstw. Jeżeli Wierny rozmieścił je według jakiegoś klucza, musiał on być wyjątkowo pokrętny. Porcelanowa twarz włoskiej kurtyzany sąsiadowała z pyskiem chińskiego smoka, a plastikowy kosmita wisiał obok gipsowego wampira. Pełna tolerancja.

Mężczyzna z aktówką pokręcił głową.

– No, no – szepnął z uznaniem. – Przyznam, że zrobiłeś na mnie wrażenie, tato.

Wierny wzdrygnął się.

– Mówiłem ci, żebyś tak do mnie nie... – zaczął, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

Syn wszedł właśnie w krąg światła i prawnik dostrzegł czerwone smugi na jego marynarce. Ręka adwokata, oparta wciąż na uchwycie środkowej szuflady, drgnęła lekko.

Tymczasem przybyły jakby nigdy nic usiadł na krześle i położył sobie teczkę na kolanach, zasłaniając krwawe ślady. Uśmiechnął się przy tym tak ciepło i niewinnie, że niewiele brakowało, a Wierny uznałby te czerwone smugi za wytwór własnej wyobraźni. Kolejna myśl przywołała jednak prawnika do porządku.

„Już raz mu uwierzyłeś – drwił jego umysł głosem zmarłej żony, z którą Wierny, nie wiedzieć czemu, spędził aż trzydzieści dwa lata. – Pamiętasz? Wtedy też się tak uśmiechał, a ty uznałeś, że choć głupi, jest nieszkodliwy. Tak wtedy pomyślałeś, prawda? Oboje tak myśleliśmy”.

Istotnie tak właśnie wtedy uważał, toteż gdy jego trzynastoletni syn został oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci sekretarki prawnika, ten z miejsca zabrał się za obronę. Nie, nie z miłości, wierzył po prostu, że to poprawi medialny wizerunek firmy, a kto wie, może i uczyni znośniejszym własne małżeństwo. Podobała mu się wizja ojca Iwa walczącego z bandą szakali o dobre imię niewinnego syna. Bo on musiał być niewinny. W końcu to, co uznał za pewne pierwszy adwokat w tym kraju, przed sądem też zawsze okazywało się prawdą.

Proces nie przyniósł niespodzianek. Świadkowie tak naprawdę niewiele widzieli, a pełna łez i urywanych zdań opowieść chłopca na wszystkich wywarła odpowiednie wrażenie.

„Jak bowiem, wysoki sędzie – przemawiał potem z żarem obrońca – winny ma być trzynastolatek, który miał nieszczęście wejść do biura dwudziestosześcioletniej kobiety dokładnie w chwili, gdy ta właśnie

malowała paznokcie. Uściślijmy, malowała je, siedząc na parapecie i mając za sobą otwarte okno. Czego był winny? Że nie zapukał głośniej? Zostawiam to pod rozwagę wysokiego sądu...”

Werdykt mógł być tylko jeden. I właśnie podczas jego ogłaszania, gdy padło słowo „niewinny”, kąciki ust Gerarda nagle powędrowały do góry. Z początku mogło to uchodzić za wyraz szczęścia, zaraz jednak uśmiech zmienił się w nieprzyjemny grymas człowieka, który zakpił sobie ze wszystkich. Przekonany, że nikt nie patrzy, bezgłośnie wyszeptał kilka słów, z których przyglądający mu się ojciec odczytał tylko jedno: „suka”.

Dostrzegł też, że ręka wciąż siedzącego na ławie oskarżonych chłopca wędruje nagle pod stolik, ku kroczu. Była to jedna z niewielu chwil w życiu Wienera, gdy odezwały się w nim wyrzuty sumienia... i strach.

Niecały miesiąc później adwokat umieścił syna w szwajcarskim zakładzie dla nadpobudliwych z wyraźnym poleceniem, by niczego mu nie brakowało. Bał się, że jeśli czegoś będzie potrzebował, może zechcieć wrócić. I zostać.

Nie wrócił, a przynajmniej nie na stałe. Przez lata na polecenie różnych lekarzy przenosił się z zakładu do zakładu z krótkimi przerwami, podczas których przyjeżdżał do domu i zaraz robił jakieś głupstwo. Czasem coś ukradł, czasem kogoś pobił. Nigdy jednak nie spróbował już niczego podobnego do akcji z sekretarką. Na swoje szczęście, bo wówczas lew z całą pewnością sprzymierzyłby się z szakalami. I wsadziliby gnojka. Na wieki.

– Coś ci przyniosłem – oznajmił Gerard, rozpinając teczkę. Jego uśmiech nadal był ciepły i niewinny, Grzegorz jednak wiedział, że to tylko kwestia czasu.

„Pewnie zmieni się, gdy pokaże mi swój prezent – pomyślał. – Najpewniej rękę swojej nowej ofiary. Albo głowę”.

Wbrew obawom ojca trzydziestolatek włożył rękę do teczki i wydobył z niej spięty gumką plik zdjęć. Ale co do jednego starszy Wierny miał absolutną rację – na twarzy syna pojawił się grymas złośliwego tryumfu.

– Wiesz, tato – zaczął, zdejmując ze zdjęć gumkę – kiedyś myślałem, że robisz to wszystko dla mojego dobra. Te wszystkie pieniądze, firmy, ciągle nowe zakłady, do których mnie posyłałeś przekonany o mojej chorobie. Byłem pewien, że to wszystko po to, bym mógł kiedyś przybyć tu w glorii i chwale i stać koło twojego boku, kiedy budujesz imperium. A potem, gdy odejdziesz, dalej kontynuować tve dzieło.

Uporał się z gumką i rozłożył zdjęcia w wachlarzyk jak pokerzysta swoje karty – nic nieznaczącymi grzbietami do przeciwnika, obrazkami ku sobie. Przez chwilę sycił się ich widokiem, jakby dostał co najmniej karekę z ręki.

– Dopiero niedawno ktoś uświadomił mi, że to bzdura. Że trzymasz mnie z dala od siebie, bym nie poznał twojej tajemnicy. Tego, że to ty jesteś chory.

Rzucił zdjęcia na biurko. Niektóre z nich upadły na podłogę, większość jednak wylądowała na blacie. Ukazywały Grzegorza Wiernego w uduziwnionych seksualnych pozach. W skrajnie różnych miejscach i z różnymi partnerkami. Najstarsza mogła mieć czternaście lat.

Prawnik przyglądał się fotografiom z przerażeniem, ale – co z całej siły starał się zwalczyć – także z rosnącym podnieceniem. Nie miał pojęcia, kto i jakim cudem mógł je wykonać, był przecież, kurwa, taki ostrożny! Nikt go nigdy nie widział.

Zerknął na wciąż uśmiechniętego syna i wiedziony nagłym odruchem rzucił się na biurko, zagarniając zdjęcia pod siebie. Pogniótł przy okazji całą stertę dokumentów, ale nie zważał na to. Widok tych fotek, świadomość, że co najmniej dwie osoby (w tym jego głupi syn, GŁUPI I

SZKODLIWY SKURWIEL!!!) poznały jego tajemnice, zaćmiła mu resztki zdrowego rozsądku. Chciał krzyknąć, skoczyć gówniarzowi do gardła i zetrzeć z jego twarzy ten głupi uśmiech. Wydrzeć z niego nazwisko tego cholernego paparazzi, a potem wyrzucić Gerarda przez to pieprzone okno za plecami, tak jak on zrobił kiedyś z tamtą sekretarką...

Tymczasem syn adwokata ponownie sięgnął do aktówki i wydobył z niej lśniący, chromowany pistolet. Przez moment przyglądał się, jak ojciec wodzi spojrzeniem od jednego do drugiego zdjęcia, po czym niespiesznie odbezpieczył broń i wycelował.

– Czas, byś oddał mi, ojcze, co do mnie należy – szepnął.

Siła strzału prawie zdmuchnęła pochylonego nad biurkiem prawnika z krzesła. Jego głowa wgniotła się niczym gliniany dzbanek uderzony młotem, a zaraz potem spomiędzy przypominających wypiętrzoną krę kawałków kości wypłynął płyn barwy herbacianej. Dłonie o rozczapierzonych palcach drgały jeszcze przez moment, jakby usiłowały zagarnąć leżące w ich zasięgu fotografie, po czym nagle znieruchomiały. Podobnie jak błyskające białkami oczy.

Gerard siedział przez chwilę, wpatrując się w trupa. Trochę mało wyglądało to wszystko na samobójstwo, jak początkowo sobie zaplanował, ale co mu tam! Pewnie równie mało przekonująco wyglądał ten pieprzony portier i facet od monitorów. No i oczywiście windziarz. ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO W FIRMIE PRAWNICZEJ – wyobraził sobie nagłówki w gazetach i parsknął śmiechem.

Włożył pistolet do aktówki, zapiął ją i nie przestając się śmiać, wstał, by ruszyć ku wyjściu.

Był już przy drzwiach, gdy nagle usłyszał za plecami głośny huk. Ktoś z impetem zasunął szufladę. Gerard odwrócił się... i zamarł. Za biurkiem stał trup jego ojca i mierzył do niego z rewolweru. Oczy Grzegorza Wiernego –

zmarłego śmiercią tragiczną wybitnego prawnika, wesołego filantropa i założyciela największej kancelarii adwokackiej w kraju – płonęły czerwienią. Całe.

– Muszę ci chyba podziękować – szepnął trup głosem kogoś, kto właśnie przełknął rozgrzaną dawkę ołowiu. – Choć podróż z piekła nie należy do najprzyjemniejszych.

Zerknął w stronę leżącej w rogu biurka paczki papierosów.

– Mentolowe – rzucił z uśmiechem. – Super! Chcesz jednego? W filmach skazani zawsze chcą.

Wsparty o framugę drzwi Gerard próbował coś powiedzieć, ale słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

– T...tato? – wydusił w końcu. Trup spojrział na niego ze zdumieniem.

– Tato? – powtórzył, lewą ręką odgarniając opadający mu na twarz płat skóry porośnięty cienkimi siwymi włosami. Wyszczrzył wesoło zęby. – A co tam! Może być i „tato”.

Lekko opuścił broń, jakby się zastanawiał, a potem gwałtownie uniósł ją i władował cały magazynek w pierś Gerarda.



Trup Grzegorza Wiernego zapalił papierosa i pilotem włączył wieżę stereo. Biuro wypełnił głos wielkoustego Stevena Tylera z Aerosmith. Śpiewał „*Janie's Got a Gun*” jak zwykle z charakterystyczną dla siebie ekspresją, ale ożywieniec miał dobre ucho i znał ten kawałek doskonale. Mógłby się założyć, że to nowa wersja, nagrana specjalnie na jakąś okazję. Coś było nie tak z solówkami, gitarzysta wyraźnie gubił dźwięki. Ale i tak dawał radę.

– *Now the Janie's got a gun. She's never gone to be the same* – zanucił wraz z wokalistą, podchodząc do leżących przy drzwiach zwłok i zdejmując

z nich koszulę. Urwał kawałek i zawiązał ją głowie jak chustę. Zachręściły pokruszone kości czaszki, ale nawet się nie skrzywił. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nic nie poczuł. Zaciągnął się papierosem i zerknął w stronę masek. Jedna z nich przykuła jego uwagę – skrzywiona w obleśnym uśmiechu zarośnięta twarz z kozłimi rogami i bródką.

Podszedł do niej i przeczytał widniejącą pod spodem tabliczkę. SATYR, MATERIAŁ: SKÓRA, POCHODZENIE: GRECJA.

– Super! – zawołał, kolejny raz zaciągając się papierosem, i zdjął maskę ze ściany. Założył. Pasowała jak ulał.



ROZDZIAŁ 2

Kacpra obudził potworny ból głowy. Ostrożnie podniósł się na łokciach i mrużąc oczy, zerknął na drugą połowę łóżka. Zamiast Agnieszki zobaczył starannie pościeloną kołdrę i równo ułożone poduszki. Właściwie zdziwiłby się, gdyby było inaczej. Obrócił głowę i zerknął na budzik stojący na szafeczce przy łóżku. Było dziesięć po jedenastej.

– Brawo, twardzielu – westchnął i odrzucił na bok kołdrę. Nie miał na sobie piżamy, tylko slipy. Widać siły żony wyczerpały się, kiedy go rozbierała.

Powoli, przyciskając lewą rękę do obitych żeber, opuścił nogi na podłogę, próbując stopami namierzyć kapcie. Nie udało się, więc ostrożnie wstał, przyklęknął i zerknął pod łóżko.

Od czasu gdy Gracjan dorósł na tyle, że bawił się sam, miejsce pod materacem rodziców było jego ulubioną kryjówką. Kacper spodziewał się znaleźć tam mnóstwo zabawek chłopca, a może nawet resztek po jego

deserze. Teraz jednak pod łóżkiem były tylko wsunięte nieco za mocno na środek kapcie i zwinięta w rulon gazeta.

Kacper wydobył jedno i drugie, podniósł się i z powrotem usiadł na łóżku. Zajrzał do szuflady w poszukiwaniu czegoś przeciwbólowego. Wydobył małą buteleczkę, wysypał na rękę garść tabletek i połknął trzy. Nie miał nic do popicia, więc kilka razy głośno przełknął ślinę. Resztę pastylek wysypał z powrotem do buteleczki i wrzucił do szuflady. Potem rozwinął gazetę.

Był to wczorajszy numer lokalnego dziennika. Większą część okładki zajmowało kolorowe zdjęcie zrobione na jednej z alejek miejskiego parku, przedstawiające kilku rozebranych do pasa mężczyzn w różnym wieku. Wsparci na szpadlach, miotłach bądź grabiach wykrzywiali się w radosnych uśmiechach. Szczerzyli poczerwiałe zęby, twarze mieli czerwone ze zmęczenia, lata alkoholowej praktyki też pewnie zrobiły swoje. Przekrwione oczy błyskały radością. W tle, przy drzewach, stały związane niebieskimi wstążkami ogromne worki na śmieci. PATROLE EKOLOGICZNE RUSZYŁY – głosił napis pod zdjęciem. – SZANSA DLA NAJBIEDNIEJSZYCH CZY WALKA z WIATRAKAMI?

Kacper otworzył gazetę na pierwszym lepszym artykule, ale ból głowy był tak silny, że drobne litery rozmywały mu się i łączyły w niezrozumiałe szlaczki. Przycisnął ręce do skroni. Przez ułamek sekundy myślał, że może wypił coś wczoraj przed snem, ale zaraz przypomniał sobie, jak wyglądały jego ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Zdał sobie sprawę, że na picie raczej nie miałby czasu.

Raz jeszcze zerknął na zdjęcie na okładce gazety. „Ciekawe – pomyślał – czy gdybyśmy zrobili akcję w doku dziewiątym, reportaż z niej wyparłby wiadomość o patrolach?”

Był pewien, że tak.

„Przykro mi, panowie żule, ale wasza szansa na lepsze życie schodzi na drugi plan wobec największego przemytu broni w historii kraju. Przemytu udaremnionego przez naszą dzielną policję. Oklaski!”

Już widział zdjęcie Franka na okładce, jego zarośniętą gębę wyszczerzoną w radosnym uśmiechu.

„Z pewnością lepiej dba o zęby – przemknęło Kacprowi przez głowę – i nie pije”.

Wszystko pięknie, tyle że transakcja w doku dziewiątym wcale nie miała być największa. Informacja o niej dotarła do Drelicha przypadkiem, a w sprawę zamieszani byli nie bossowie, na których policja już od dawna szukała haka, a okoliczny gang. Fakt, że gang z ambicjami, ale wciąż jeszcze na dorobku. To, co kupili, było jedynie próbką towaru, który tajemniczy dostawca miał przywieźć już niedługo, tym razem dla naprawdę dużych chłopców. I dlatego policjanci nie zrobili akcji, połakomili się na coś większego. A teraz wszystko i tak szlag trafił.

Kacper zwinął gazetę i rzucił na poduszkę. Raz jeszcze sięgnął po pastylki, ale się rozmyślił. To był mocny środek, a i tak wziął już dużo. Wstał i powłócząc nogami, wyszedł z sypialni.



Agnieszkę zastał w salonie. Była ubrana w zawiązaną na karku i odsłaniającą całe niemal plecy pasiastą bluzeczkę i stare, sięgające pół uda spodni khaki. Drelich przez całe zamieszanie z dukiem dziewiątym (i nie tylko dlatego – wiedział dobrze, że tak naprawdę dok był tylko marną protezą wytłumaczenia...) od ponad miesiąca nie kochał się z żoną. Teraz poczuł przyjemne łaskotanie w podbrzuszu.

Nie dostrzegła go. Stała tyłem do drzwi pochylona nad otwartą walizką na sofie i wkładała do środka ułożone w równą kostkę ubrania Gracjana.

Obok na krzesła leżały podobnie przygotowane sukienki i koszulki Agnieszki, a pod stołem wyglądająca już na pełną torba podróżna.

Kacper oparty o framugę przez chwilę przyglądał się pakowaniu z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia, po czym wszedł cichutko do pokoju i głośno odchrząknął.

Tak jak przewidział, Agnieszka podskoczyła, głośno wciągając powietrze w płuca. Odwróciła się gwałtownie. Gdy zobaczyła męża, odetchnęła z ulgą.

– Ale mnie wystraszyłeś – powiedziała z wyrzutem. – Mało serca nie wyplułam.

Na twarzy Kacpra pojawił się wyraz złośliwej satysfakcji. Głową wskazał walizkę.

– Należało ci się, paniusiu – wyszeptał chrapliwie niczym Marlon Brando w „Ojcu chrzestnym”. – Za to, że chciałaś uciec ode mnie. I do tego z moim synem. Myślę, że odrobina strachu to nawet za mała kara za taki wybryk.

Agnieszka odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów i oparła ręce na biodrach. Zrobiła oburzoną minę.

– Tak?! – wybuchnęła. – A jak się szanownemu panu wydaje, jak długo będziemy znosić takie spanie do południa i latanie po mieszkaniu w samych slipkach?! To porządny dom, panie Drelich, a nie jakiś tam komisariat. Przez chwilę patrzyli na siebie, oboje z bojowymi minami, aż w końcu niemal równocześnie parsknęli śmiechem. Kacper podszedł do żony i przytulił ją, odruchowo ustawiając się tak, żeby nacisk na stłuczone żebra był jak najmniejszy.

– Już w porządku? – zapytała Agnieszka. – Lepiej się czujesz?

– Nie zamierzam mdleć, jeśli o to chodzi – odparł. Wyśliznął się z jej objęć i podszedł do fotela. Usiadł. – Trochę boli mnie głowa. A tak w ogóle

to przepraszam, że napędziłem ci wczoraj stracha, ale...

Machnęła ręką.

– Najważniejsze, że już ci lepiej. A co do tego – wskazała walizkę – Franek prosił, żebym ci przekazała, że jeśli pojawisz się w pracy przez najbliższe kilka dni, to on cię żywcem wykastruje. Nie mogłam do tego dopuścić, więc zadzwoniłam do rodziców i wprosiłam się do nich na tydzień.

Wiedziała, że to go ucieszy, w końcu bardzo lubił swoich teściów. To było niespotykane zjawisko wśród wszystkich znajomych, ale Kacper teściami rekompensował sobie niedostatki z własnego życia. Nigdy nie poznał swoich prawdziwych rodziców, czy może inaczej – zupełnie ich sobie nie przypominał, podobnie jak całego dzieciństwa. Najlepsze lata, zarówno te, gdy mógł bez przeszkód robić w pieluchy i biegać beztrudnie po mieszkaniu, jak i te, które większość ludzi poświęca na pierwsze pocałunki, uciekły mu gdzieś, nie zostawiając adresu. Jakby urodził się osiemnastolatkiem.

Czasami Agnieszce wydawało się, że podczas zabaw z jej dwunastoletnim bratem Tomkiem i małym Gracjanem w te wszystkie ganianki po stodole po prostu nadrabia dzieciństwo. Dopiero z czasem, obserwując Kacpra podczas dojenia krowy i karmienia kur, zobaczyła w nim kogoś, kto robiąc to wszystko, podświadomie dzieli się własnym doświadczeniem, daje coś, co było częścią jego młodości. Czy to jednak możliwe, żeby pochodził ze wsi? „Jeśli nawet, to nie napracował się szczególnie” – myślała. Jego ręce, z wyjątkiem małej blizny po starym oparzeniu i zgrubienia w okolicy jednego z kciuków, wyglądały na nieskazitelne.

– Tomek kazał mi zapytać – przypomniała sobie – czy masz dla niego te łuski, które mu obiecałeś.

– Zupełnie wyleciało mi to z głowy. – Drelich zerknął na stojący na telewizorze zegarek elektroniczny. – O której chcesz jechać?

– Właściwie to już nas spakowałam. Myślę, że zjemy jakiś obiad i...

– Zjemy coś na mieście – wszedł jej w zdanie. – O tej porze na strzelnicy powinien być Darek. Obiecał mi pilnować tych łusek. Myślę, że jeszcze coś się wykombinuje.

Agnieszka przesunęła w walizce ubrania Gracjana i dołożyła swoje. Przez chwilę przyglądała się krytycznie całości, poprawiła leżącą na uboczu kosmetyczkę i zamknęła wieko.

– Tak właściwie to na co mu to? – zapytała, ściągając paski. – Słyszałam, że... Siedź, dam sobie radę... Że chce sobie zrobić naszyjnik.

– Raczej pasy na pierś – poprawił Kacper. – Takie krzyżujące się. Jak w „Dzikiej bandzie”. Ojciec wystrugał mu drewniany rewolwer i zrobił spodnie ze skórzanymi osłonami do jazdy konnej. Buty już miał, więc teraz brak mu jeszcze tylko kapelusza i pasów z amunicją. Na kapelusz zbiera, chce mieć oryginalny.

– Czyli jaki? – zapytała. Sięgnęła po leżącą na stole gumkę i związała włosy w kucyk.

Jej mąż wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie znam się. Ale myślę, że taki amerykański, jak... – przerwał, widząc, że Agnieszka siada na walizce. – Na pewno nie chcesz, żebym ci pomógł?

– I zemdłał mi po drodze? Nie, dziękuję. Franek powiedział co prawda, że wszystko jest w porządku, ale dopóki mama cię nie obejrzy i tego nie potwierdzi, nawet nie kiwniesz palcem.

Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Na Boga, dziewczyno! Twoja matka jest pediatrą.

– No i? – Żona Kacpra uśmiechnęła się złośliwie. – Właśnie dlatego cię zbada.

– Chyba jednak wezmę jeszcze jedną pastylkę – rzucił Drelich, zmieniając temat. Ostrożnie wstał. – Głowa mi pęka. Gdzie Gracjan?

– Na podwórku. I może daruj sobie tę tabletkę. Franek mówił, żebyś nic nie brał.

– Już wzią... – zaczął, ale przerwał. Znał Trolewskiego dobrze i wiedział, dlaczego przyjaciel mógłby mu zabraniać medykamentów. – Muszę zadzwonić.

– Nie zważając na zaskoczenie żony, wyszedł do przedpokoju.

W tym samym momencie rozdzwonił się telefon. Kacper odebrał, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Drelich, słucham.

– Cześć, bohaterze – dobiegł go głęboki głos Trolewskiego. – Wyspałeś się?

– Tak – odparł Kacper. – Ale rano bolała mnie głowa i łyknąłem sobie procha. Dopiero potem Aga powiedziała mi o twoim poleceniu.

– Nie martw się. Przez taki kawał czasu to świństwo na pewno już z ciebie wylazło. Jeżeli nie przypominasz sobie zastrzyku, znaczy, że minęły już dwadzieścia cztery godziny i nic ci nie grozi. Miałeś halucynacje?

Drelich przypomniał sobie pielęgniarkę z podejrzanym gardłem i stuletnią wersję Agnieszki. Aż się wzdrygnął.

– Tak – mruknął.

– W takim razie chyba wiem, co ci dali. Nazywają to zmiękcaczem i... zresztą nieważne. Pogadamy, jak wrócisz z wolnego. Słyszałem, że jedziecie na wieś?

– Wyczuwam spisek – rzucił Kacper z rozbawieniem. – Dlaczego wiedzieli o tym wszyscy z wyjątkiem mnie?

– Bo ty spałeś, gamoniu. Słuchaj, masz tam dostęp do mejla?

– Teściowa ma w gabinecie. – Drelich odruchowo skinął głową, choć przecież Franek nie mógł zobaczyć tego gestu. – A czemu?

– Chcę ci podesłać kilka zdjęć – wyjaśnił komendant. – Żebyś zidentyfikował gościa, który tak cię ładnie urządził. Wspominałeś, że mu się przyjrzałeś.

– Tak, jasne, ale... – Kacper zniżył głos, zerkając w stronę salonu. Agnieszka dalej mocowała się z walizką i nie zwracała na niego uwagi. Mimo to wolał zachować ostrożność. – Macie przecież trupa. Sami go sobie zidenty... Macie trupa, prawda?

– W tym właśnie problem – odparł smutno Franek. – Wszystko jest dokładnie tak, jak opisałeś, tylko ciała brak.

„No jasne – pomyślał Drelich. – Rzeczywiście na kogoś czekał. I ten ktoś zabrał ciało. A to znaczy, że jeszcze przynajmniej jedna osoba wie, że uciekłem”.

Mógł mieć tylko nadzieję (nikłą, to prawda, ale zawsze lepsze to niż nic), że gangsterzy nie poznali jego tożsamości. W końcu oprawca mówił mu „glino”, a nie po nazwisku.

– Co dziwne – kontynuował Trolewski – na betonie nie ma ani śladu krwi. Ani kropelki. Chłopaki łożą wkoło obrysu i...

– Zaraz – nie zrozumiał Kacper. – Jakiego obrysu? Mówiłeś, że nie ma ciała.

– Ciała nie – zgodził się podinspektor. – Ale, i to jest chyba najlepsze w całej tej historii, mamy na ziemi piękny wypalony ślad w kształcie człowieka. Zupełnie jakby koleś zapalił się nagle i zamienił w proch. Tyle że prochu też nie ma.

– Nie rozumiem. – Drelich okręcił kabel słuchawki wokół palca. Drugą dłonią oparł się o szafkę. Ból wyraźnie zelżał, ale za to powróciły zawroty

głowy.

– Ja też nie mam pojęcia – przyznał Franek. – Ale wygląda to cokolwiek dziwnie. Zerkniesz na te fotki po przyjeździe? Podesłałbym ci je teraz, ale nie są jeszcze gotowe. Wykluczamy niemożliwych.

– Jasne. Zerknę.

Potem przez chwilę rozmawiali o głupotach. Trolewski wspomniał między innymi, że wracając wczoraj do domu, zaliczył drobną stłuczkę. Kacper stwierdził tylko, że Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Potem umówili się na tenisa, Drelich raz jeszcze zapewnił, że zerknie na e-maila, jak tylko zajadą na miejsce, i pożegnał się krótkim „cześć”. Odłożył słuchawkę.

– Na nasz koszt czy jego? – usłyszał za plecami. Odwrócił się.

Agnieszka stała przy framudze drzwi i patrzyła na męża z rozbawieniem.

– Jego – odparł. – Dzwonił ze służbowego. Zaliczył wczoraj stłuczkę, wracając od nas. Jakiś facet władował mu się w kuper na skrzyżowaniu.

Skinęła głową.

– Słyszałam. Idź do łazienki i zrób z sobą porządek. Ostatni raz wpuściłam cię do łóżka bez kąpieli. Nie mogłam spać od tego smrodu.

– Ja jakoś znoszę twój przez te wszystkie lata – odgryzł się. Podszedł do niej i pocałował ją w ucho. – Poza tym tak jest bardziej zwierzęco, nie?

Klepnął ją w udo i ruszył w stronę łazienki, zastanawiając się, ile tak naprawdę słyszała. I jak dobrze potrafiła pokoiarzyć fakty.



Strumień ciepłej wody jak zawsze podziałał na niego kojąco. Zamknął oczy, uniósł głowę i delektował się uderzającymi go w twarz ciepłymi kroplami. Spokojnie mógłby teraz zasnąć.

Stał tak przez dobre pięć minut, w międzyczasie dwa razy odpowiadając żonie, że wszystko z nim w porządku, potem zakręcił wodę i namydlił się starannie. Pamiętał z filmów, że ten akurat sposób mycia jest niezwykle ryzykowny, bo zawsze może się zdarzyć przerwa w dostawie wody, ale jakoś nie potrafił zmienić swojego nawyku wyniesionego jeszcze ze szkoły policyjnej.

Sięgnął po szampon, nabrał odrobinę na rękę i wtarł w głowę. Dopiero wtedy odkręcił kurek, żeby spłukać mydło i pianę. Raz jeszcze zapewnił Agnieszkę, że wszystko z nim w porządku, wytarł się wiszącym na kabynie ręcznikiem i wyszedł spod prysznica. Na przeciwnej ścianie wisiało sięgające podłogi lustro, więc chcąc nie chcąc przyjrzał się sobie.

Wypoczęty i wykąpany nie wyglądał wcale źle. A dzięki krótkim, postawionym teraz na języka włosom – nawet z pięć lat młodziej. Opuchlizna z nosa nie zeszła całkowicie, ale nie rzucała się już tak w oczy. Nieco gorzej było z okiem – pod nim zamiast wczorajszego zaczerwienienia i niewielkiego obrzęku pojawił się całkiem solidny bordowy krwiak.

Potarł szczecinę dwudniowego zarostu tak bardzo lubianego przez Agnieszkę. Uważała, że po każdym goleniu zakończonym postanowieniem zapuszczenia brody przez dwa dni wygląda normalnie, potem bosko, a od tygodnia wzwyż jakby ktoś w gówno zapalek nawtykał.

Pomijając fioletowe ślady na ciele, w tym największy w okolicy żeber, nie mógłby sobie wiele zarzucić. Starał się regularnie chodzić na siłownię, często grywał w tenisa i choć nigdy nie miał postury atlety, utrzymywał brzuch i spólkę w ryzach.

– Hej, przystojniaku – szepnęła bez przekonania w stronę lustra. Włożył ustawione obok kabiny klapki, owinął się ręcznikiem i stanął przed

umywalką. Zza drzwi dobiegł go głos żony. – Wszystko w porządku, kochanie – odparł po raz kolejny, nakładając pastę na szczoteczkę.

Uśmiechnął się, szczerząc zęby, i zaczął je szczotkować. Próbował uciec myślami od parceli przy Kwiatowej, ale w żaden sposób nie potrafił.

O ileż prościej wyglądałoby to wszystko, gdyby nie ten wypalony ślad. Ot, pojawił się drugi bandzior, zwinął pierwszego i zameldował szefom. Ci uznali melinę za spaloną i wkrótce pusta parcela zaroi się od prawdziwych bezdomnych. Takich, co nie sikają tam, gdzie śpią, i nie układają gazet w równe kupki. Takich, którzy jedzą i śmieją.

Wypalony ślad zmieniał wszystko. Raczej nie był tylko mylnym tropem, a przynajmniej Kacprowi nie przychodziło do głowy, po co ktoś miałby wkładać tyle wysiłku w kierowanie policji na zły tor. Wystarczyło zabrać ciało, a glinom już by zabrakło głównego elementu łamigłówki. Nie wiedział też, jak w ogóle można sfabrykować coś takiego. Był jednak pewien, że skoro Franek uznał to za ślad po wypalonym człowieku, to ktoś musiał się naprawdę przyłożyć.

No chyba że nie był sztuczką. Drelich czytał kiedyś o ludziach pochodniach. Nie żeby interesował się tym jakoś szczególnie, po prostu zajrzał raz czy dwa do jednej z tych gazet, których redaktorzy wszędzie tropią UFO bądź yeti. Kacper przypomniał sobie okładkę takiego pisma, a na niej zwęglone zwłoki mężczyzny w męskiej toalecie na jakiejś stacji benzynowej. Z treści artykułu (co tam artykułu! – hitu numeru zamieszczonego na jedynej stronie bez reklam horoskopów i kryształów szczęścia) wynikało, że facet po prostu wszedł do kibla, a chwilę potem buchnęły z niej płomienie. Przy szczątkach nie znaleziono zapalek, zapalniczki ani śladów po jakiegokolwiek łatwopalnej substancji. Facet po prostu się zapalił, jak Humań Torch, ten gość z komiksu o Fantastycznej Czwórce. Tyle że tamten potrafił się jeszcze ugasić.

Drelich wypluł pianę i przepłukał usta.

Jeżeli gość z piwnicy był człowiekiem pochodnią, mogłoby to tłumaczyć ślady. Nadal jednak nie tłumaczyło braku popiołu. Policjanci roznieśli na butach? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Prędzej Franek rozniósłby ich. Drugi facet przyszedł i pozamiatał? A krew? Mogła się zagotować, ale rdzawe ślady i tak powinny zostać.

Kacper pokręcił głową, wytarł twarz w wiszący przy umywalce ręcznik i wyszedł z łazienki.



O zniesienie walizek poprosili sąsiada. Był to prawdziwy małżeński kompromis. Agnieszka nie chciała się zgodzić, aby znosił je Kacper, a jemu nie chciało nawet przejść przez myśl, że ona miałaby to zrobić za niego. Propozycja podekscytowanego podróżą Gracjana, że sam zajmie się bagażami, całkiem ich rozbroiła.

W końcu władowali wszystko do samochodu i mogli wyruszyć. Prowadziła Agnieszka. W tej kwestii Kacper nawet nie zamierzał dyskutować. Co innego, gdy stawką jest jego omdlenie, ale nie chciał ryzykować postojem na drzewie i życia ich wszystkich tylko z powodu własnych męskich ambicji. Po drodze wstąpili na strzelnicę, gdzie dostali dwie garście łusek pistoletowych i jedną karabinowych, potem do pizzerii, wreszcie około piętnastej wyjechali z miasta.

– No i jesteśmy – ogłosiła Agnieszka, zatrzymując samochód na podwórku. Kacper, który od połowy drogi drzemał, teraz otworzył oczy i rozejrzał się wokoło.

Od zeszłego roku, gdy byli tu ostatnio, w gospodarstwie państwa Markiewiczów, rodziców Agnieszki, niewiele się zmieniło. Nad werandą małego domku nadal wisiał korzeń przypominający poroże (wyszukiwanie

podobnych drewnianych ciekawostek było prawdziwą pasją pana domu), a obok stała wciąż ta sama huśtawka obszyta materiałem w kwiaty słonecznika. Naprzeciwko niej miał swoje miejsce stolik, na którym od lat w każdy ciepły wieczór ustawiano mały czarno-biały telewizor. Podłączony do niego kabel antenowy owijał się wokół poręczy, biegł do ściany, a stamtąd aż na dach, do wyróżniającego się na tle brązowych dachówek białego talerza z czarnym napisem STARTSAT.

W dolnej części prowadzących do domu siatkowych drzwi widniała niezalutana dziura, pamiątka po Tomkowych zabawach. O ile Agnieszka pamiętała, chłopiec miał wtedy pięć lat i pilnie potrzebował sieci na kijanki.

Jedyną nowość stanowiły przymocowane do kolumn, wyglądające trochę jak pochodnie lampy. Na razie zgaszone, jednak Kacper, który słyszał o nich przez telefon, wiedział, że za jakiś kwadrans powinny się automatycznie włączyć. Podobnie jak te nad odrapaną oborą, starą stodołą oraz nad małym domkiem służącym matce Agnieszki za gabinet. Jeżeli wierzyć telefonicznym relacjom teściowej Drelicha, pani Marii, jej mąż był dumny z lampek prawie tak bardzo jak ze swych korzeniowych zdobyczy. Dlatego każdego ranka słuchał w radiu, o której ma zajść słońce, i przestawiał zegar, żeby włączyły się już chwilę potem.

„Cały teściu! – pomyślał Kacper z uśmiechem. – Poświęca tygodnie na konstrukcję superoświetlenia, a brak mu czasu na zrobienie podjazdu czy pomalowanie stodoły”.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że w zeszłym roku obiecał pomóc zarówno przy jednym, jak i drugim. Teraz zawstydzony podrapał się za uchem. Jeżeli żebra pozwolą, spróbuje dotrzymać obietnicy.

Gospodyni, ubrana w różowy fartuszek z kieszonką w kształcie białego królika, pojawiła się na werandzie. Była drobną kobietą przed sześćdziesiątką, o sympatycznej, choć wysuszonej twarzy i niezwykłych

zielonych oczach. Zazwyczaj niezwykle miła i zgodna, gdy się uparła, potrafiła dokonywać cudów. Jak choćby urodzenie Tomka, od którego wszyscy, nawet koledzy lekarze, odwodzili ją z całych sił. Ale ona postawiła na swoim i w wieku lat czterdziestu trzech urodziła zdrowego, ważącego trzy kilogramy i osiemset gramów chłopca. Z jej energicznych ruchów dało się wyczytać, że wciąż ma w sobie cząstkę tamtej siły.

Na widok wysiadającej Agnieszki krzyknęła i rozłożyła ręce na powitanie. Córka pomachała jej i pomogła wysiąść Gracjanowi. Z drugiej strony samochodu powoli gramolił się Kacper.

– Cześć, mamó! – zawołał, dostrzegając teściową. Zamknął drzwi i obszedł wóz.

Agnieszka przejrzała jego zamiary. Postawiła Gracjana na ziemi i zgrabnie zastąpiła mężowi drogę, siadając na bagażniku.

– Mamó! – krzyknęła, uśmiechając się do niego wesoło. – Możesz zawołać Tomka, żeby nam pomógł? Kacper nie najlepiej się czuje i...

Drelich chciał zaprzeczyć, ale dostrzegł, że za pogodnym uśmiechem żony kryje się chłodne, pełne uporu spojrzenie.

„Prawdziwa córka mamusi” – przebiegło mu przez głowę. Wzruszył ramionami i wyszedł na spotkanie teściowej. Uściskał ją, dyskretnie zaciskając zęby, aby stłumić syknięcie.

– Tomek z Tadeuszem są w polu – oznajmiła gospodyni. – Powinni wrócić lada chwila. A co ci jest, Kacper?

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami. – Twoja córka jak zwykle przesadza.

Agnieszka, która właśnie pozamykała samochód, odwróciła głowę, spoglądając na niego z wyrzutem.

– Przesadzam? To może mnie potrafił samochód, co? Gospodyni przeżegnała się pospiesznie.

– Jezus-Maria-Kacper – wyszeptała jednym tchem. – To prawda?

Niechętnie skinął głową.

– W takim razie, młody człowieku, lądujesz na huśtawce i nie ruszasz się stąd. Bagaże mogą poczekać. Zaraz przyniosę ci ciasto i coś do picia. Kompot z czerwonej porzeczki może być?

– Jak najbardziej – stwierdził. Gdy kobiety zniknęły we wnętrzu domu, grzecznie usiadł na huśtawce i zawołał wpatrującego się w niemal wyschniętą kałużę Gracjana. Chłopiec uniósł głowę, pokręcił nią i ponownie wbił spojrzenie w bajorko.

– W kogo ty się wdałeś? – zapytał cicho rozbawiony Kacper.

Pstryknęło i ganek rozświetliły lampy.

Jeżeli istniał na świecie mężczyzna, w którym nie dałoby się zasiać niepewności, czy naprawdę jest ojcem swojego syna, to był nim Tadeusz Markiewicz. I nie chodziło tylko o to, że ufał swej żonie bezgranicznie przez trzydzieści lat wspólnego pożycia. Po prostu Tomek był jak skóra zdjęta z ojca. Jeszcze zanim Kacper miał okazję zobaczyć zdjęcia teścia z dzieciństwa, był pewien, że chłopiec i jego ojciec odmłodzony o pięćdziesiąt lat nie różniliby się niczym. Obaj mieli gęste, krótko obcięte czarne włosy, choć u Tadeusza przetkane teraz pasmami siwizny, szerokie, niemal kwadratowe szczęki i wydatne kości policzkowe. Byli dobrze zbudowani, no i jak zawsze uśmiechnięci. W ciągu tych wszystkich lat Drelich może dwa razy dostrzegł na twarzy teścia troskę. Z Tomkiem było podobnie. Prawdziwi wieczni szczęściarze.

– Jak się ma mój ulubiony zięć? – zawołał Tadeusz, wchodząc na werandę. Zadawał to pytanie za każdym razem, gdy przyjeżdżali, więc Kacper doskonale wiedział, co powinien odpowiedzieć.

– Twój jedyny zięć. – Uśmiechnął się. – Więc zarazem ulubiony i najgorszy. Cześć, tato.

Wstał i podał teściowi rękę. Tym razem uścisk był tak mocny, że nie zdołał powstrzymać syknięcia. Tadeusz odsunął się, przytrzymując Kacpra za ramiona.

– Co jest? – w jego głosie słychać było niepokój. – Stało ci się coś?

– Miałem wypadek – wyjaśnił Drelich, siadając. Nie miał ochoty ryzykować uścisku z Tomkiem, więc tylko skinął mu głową. – Potrącił mnie samochód. Na szczęście nic mi nie połamano, ale obtłukł solidnie.

Teść pokręcił głową.

– Musisz bardziej na siebie uważać – powiedział, przysiadając na huśtawce obok Kacpra. – Nie dość, że masz niebezpieczną pracę, to jeszcze na ulicy szukasz mocnych wrażeń. Ty niezły ryzykant jesteś.

– Wystarczy, że twoja córka dba o mnie jak kwoka o kurczęta. Nie pozwoliła mi wnieść bagaży i...

– To żaden problem – zadeklarował się Tomek. – Daj tylko kluczyki.

Drelich sprawdził kieszenie, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie on prowadził.

– Agnieszka ma – powiedział. – Są z mamą w kuchni. Chłopiec zaraz pobiegł do domu.

– I co tam słychać w wielkim mieście? – zapytał Markiewicz.

– Nic szczególnego. Ludzie chodzą po chodnikach, inni włączają na drogi i dają się potrącać, a jeszcze... Gracjan! – krzyknął nagle, widząc, że chłopiec podnosi z ziemi dżdżownicę i przygląda jej się z zainteresowaniem. – Zostaw to natychmiast.

Brzdąc popatrzył na ojca z niechęcią, ale posłusznie odłożył robaka na ziemię. Wstał, otrzepał spodenki i pobiegł w stronę kur.

– A jeszcze inni jak zwykle koszą szmal – dokończył Kacper.

– Mając na uwadze dobro mojej córki – zaczął Tadeusz ze sztucznie poważną miną – wolałbym, żebyś należał do tej trzeciej grupy, no,

względnie do pierwszej. Choć jakoś nie dziwi mnie, że znalazłeś się w tej najgorszej. Nigdy nie był pan dobrą partią, podkomisarzu.

– Masz pecha, staruszk. – Drelich wzruszył ramionami. – Ale nie miałeś i nie masz w tej kwestii wiele do powiedzenia. Jestem po prostu niezwykle przystojny i twoja córka dała się na to złapać.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Z domu wyszedł Tomek i posłał im zdziwione spojrzenie.

– Coś mnie minęło? – zapytał.

– Odkryłem słaby punkt twojego ojca – powiedział Kacper, nie przestając się śmiać. – Jak cię kiedyś wkurzy, nazwij go staruszk. Zobaczysz, jak się zaczerwieni.

Chłopiec machnął ręką.

– Odkryłeś to już cztery przyjazdy temu albo wcześniej – przypomniał i poszedł w stronę samochodu.

Wyciągnął walizki i torby z bagażnika, a potem obładowany skierował się w stronę domu.

Ojciec i szwagier patrzyli na niego z rozbawieniem, aż zniknął za drzwiami.

– Mówiłem ci już, że masz świetnego chłopaka? – zapytał Drelich, usadawiając się wygodniej.

– Z kilkanaście razy – stwierdził Tadeusz. – Dziwi mnie jednak, że coraz rzadziej chwalisz tak moją córkę.

Kacper wiedział, że to miał być żart, jednak uśmiech w jednej chwili zniknął z jego twarzy.

– Masz rację – westchnął. – Jakoś tak ostatnio... Markiewicz przyjrzał mu się badawczo.

– Coś nie tak? Macie jakieś kłopoty?

– Nie, raczej nie – odparł Drelich nie do końca zgodnie z prawdą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Dalej próbujesz przypomnieć sobie rodziców? – zapytał w końcu teść, zmieniając temat.

– Tak, ale na razie bez skutku. – Kacper pokiwał głową. Potem uniósł rękę i przejechał nią po włosach, ramieniem ukrywając ziewnięcie. Zaraz jednak podjął temat: – Swoją drogą, to zaskakujące, jak bardzo moja przeszłość pozacierała ślady. Nauczyciele ze szkół, które podobno ukończyłem, coś tam pamiętają, ale nie kojarzą ani twarzy moich rodziców, ani w ogóle za wiele z moich młodych lat. To samo dozorczyńni w naszym byłym domu. Ojciec Jan twierdzi, że musieliśmy być cholernie nudną rodziną. Ale obiecał, że będzie szukał, jak tylko wróci z tych rekolekcji, na które wysłał go zgromadzenie.

– Ojciec Jan to ten jezuita, co cię znalazł?

– Tak – potwierdził Kacper. W pierwszej chwili zdziwiło go, że teść musi o to pytać, zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież niewiele opowiadał o zakonniku. Właściwie ojca Jana znała tylko Agnieszka, a też tylko dlatego, że zawsze to właśnie on przychodził co roku na kolędę do Drelichów. Nawet żonie Kacper nie powiedział, jak to naprawdę było z jego odnalezieniem. Choć próbował.

Pamiętał, jak stał przed łóżkiem ubrany jedynie w slipy i patrzył na nią, tak pięknie wyglądającą nago na bawełnianej pościeli. Jej włosy lśniły jeszcze kroplami wody po niedawnym prysznicu, oczy wpatrywały się w niego z ciekawością, a on stał tam jak głupek, bojąc się, a może sam nie do końca wierząc w prawdę. Bo takie rzeczy nie pasują do życia, tylko do filmów.

– Tak – powtórzył. – To ten, który mnie znalazł. Głos w jego głowie, cichy, ale ostry i nieprzyjemny, uzupełnił: „Ten, który mnie znalazł i wyegzorcyzmował”.

Kacper dość sprawnie zszedł z drażliwego tematu. Napomknął, że zamierza wybrać się na seans hipnotyczny i liczy na to, że wtedy dostanie jakiejś odpowiedzi, a na razie wołałby o tym nie rozmawiać.

– Jasne – powiedział ze zrozumieniem Tadeusz i przeszedł do rozmowy na temat ligi żużlowej.

Po dłuższej chwili z domu wyłonił się najpierw Tomek, niosąc rozkładane krzeselka wędkarskie, a zaraz za nim pani Markiewicz ze szklanym, przezroczystym dzbankiem wypełnionym kompotem i Agnieszka z tacą, na której stały szklanki i dwa talerze. Jeden z kanapkami, drugi z sernikiem.

– Przepraszamy, że tyle to trwało – powiedziała gospodyni. Postawiła dzbanek na rozłożonym przez syna stoliku i zrobiła miejsce córce, by ta mogła postawić tacę. – Ale rozumiecie, babskie ploteczki.

– Gracjan! – zawołała Agnieszka. Powiodła wzrokiem po podwórku. – Gdzie ten chłopak polazł?

– Ostatnio bawił się z kurami. – Kacper rozejrzał się. Wskazał ręką na ciemny kształt koło obory. – Jest tam.

– Świetny wzrok – pochwalił Tadeusz. – Tomek, skocz po małego. Na jednej nodze.

Chłopiec kiwnął głową i pobiegł, nawołując Gracjana. Gospodarz popatrzył na kanapki, a potem na swoje ręce. Wstał.

– Wybaczcie na chwilę, ale muszę się umyć. Miejsce na huśtawce jest zajęte.

– Chyba śniesz – szepnęła Agnieszka i pocałowała ojca w nos. Zaraz usiadła obok męża.

Tadeusz zrobił wściekłą minę, wznosił ręce, jakby chciał udusić córkę, ale zaraz je opuścił.

– Przytulajcie się, przytulajcie – powiedział, wchodząc do domu. – Bo kto to pomyślał, taka ładna para i tylko jedno dziecko.

Cała trójka przy stole roześmiała się, Kacper też, choć nie był to śmiech do końca szczery.

– Jak długo zostanieie? – zapytała Markiewiczowa, nalewając im kompotu.

– To zależy, ile Kacper dostanie wolnego – odparła Agnieszka. – Na razie tydzień, ale...

– A właśnie! – przypomniał sobie Drelich. – Będę mógł później skorzystać z Sieci u ciebie w gabinecie? Mają mi przysłać ważnego mejla.

Żona spojrzała na niego surowo.

– Panie Drelich, pan wie, co znaczy urlop?

– Jak najbardziej. – Uśmiechnął się szeroko. – Tak sobie tylko powiedziałem o tej wiadomości. Po prostu nie mogę wytrzymać na tej zacofanej wsi. Potrzebuję dostępu do prawdziwego świata.

Na werandę wszedł tyłem Tomek, pokazując idącemu za nim Gracjanowi swój drewniany rewolwer. Czterolatek podązał za zabawką niczym szczur oczarowany muzyką fletu. Co dziwne, nawet nie próbował dotknąć colta. Tylko patrzył i słuchał. Tomek opowiadał mu właśnie o tym, jak kowboje bronili się przed skalpowaniem.

– Dobrze, że schowałem go koło stodoły – powiedział, przerywając opowiastkę i pokazując Kacprowi rewolwer. – Inaczej Gracek za nic by tu nie przyszedł.

Włożył broń za pasek i wsparł ręce na biodrach, czekając na pochwały.

– Kowboj byłby z ciebie świetny – stwierdziła Agnieszka. – Nadajesz się do zaganiania.

Drelich pokiwał głową.

– Tylko nie noś tak broni, bo coś sobie odstrzelisz.

Tomek zaczerwienił się i przełożył rewolwer do kieszeni na udzie. Usiadł, od razu sięgając po kanapkę. To samo zrobił Gracjan, ale Agnieszka złapała go za rękę.

– Ty, młody człowieku, najpierw wymyjesz łapki – poleciła. Wstała, przeciskając się koło stołu, i zniknęła z chłopcem wewnątrz domu.

Wrócili po chwili we trójkę, razem z Tadeuszem. Gospodarz chciał włączyć telewizor, ale żona pogroziła mu palcem.

– Mamy gości – przypomniała. – Nie musimy ciągle oglądać tego ogłupiacza.

– Zamierzałem obejrzeć mecz, a nie kolejną edycję „Rozmów o wszystkim”. – Przyłożył rękę do ust, jakby chciał powiedzieć to tylko Kacprowi na ucho, ale nie ściszył głosu. – Ostatnio zebrali w studiu ludzi, którzy pamiętali swoje poprzednie wcielenia. Aż dziw, że nie było wśród nich Elvisa.

Zięć roześmiał się bardziej z grzeczności niż autentycznego rozbawienia, a Markiewicz wykonał znak krzyża i zabrał się do jedzenia. Pozostali poszli za jego przykładem.



Zaraz po kolacji Kacper udał się do gabinetu teściowej. Tomek chciał mu towarzyszyć, ale Drelich nie zgodził się, tłumacząc, że i tak nie mógłby pokazać chłopcu, co robi.

– Idź lepiej pogadaj z Agnieszką – zaproponował. – Niech da ci kluczyki. W schowku w samochodzie jest dla ciebie niespodzianka.

Tomek, domyślając się, o co może chodzić, klasnął w ręce, podziękował i pognał w stronę domu.

Drelich przeszedł jeszcze kilka metrów. Zatrzymał się przed małym prostokątnym domkiem z brązowymi drzwiami i tabliczką: MARIA

MARKIEWICZ – LEKARZ PEDIATRA. Kacper myślał już nieraz, po co jej ten gabinet, skoro przy każdej rozmowie żali się, że jakoś nikt do niej nie przychodzi. Sprawa nie dawała mu spokoju na tyle, że kiedyś zapytał o to Tadeusza.

„Wiesz – wyjaśnił wtedy teść ze śmiechem – godząc się zamieszkać tu ze mną, świadomie zrezygnowała z medycyny. Stwierdziła, że pediatrów jest wielu i dzieci zawsze będą miały opiekę. Ja nie. Więc została, rezygnując z kariery w wielkim mieście. A ja powiedziałem, że nie potrzebuję łaski i poświęceń, i wybudowałem jej tę budkę, starając się, żeby miała w niej wszystko, co niezbędne. Nie jest to klinika w stolicy, ale zawsze coś, nie?”

Wtedy to wyjaśnienie naprawdę Kacpra wzruszyło. Teraz uśmiechnął się tylko i włożył klucz do zamka. Wchodząc do środka, włączył światło.

Wąski, wyłożony białymi kafkami korytarzyk służący za poczekalnię wyraźnie sugerował, że nikt raczej nie spodziewał się tłumów. Przy ścianie naprzeciw drzwi stały jedynie trzy krzeselka ustawione jedno obok drugiego. Tuż obok na niewielkim stoliku leżały dwa stosy starych gazet – jeden dla dzieci, drugi dla ich matek. Drelich dostrzegł okładkę pisma na samej górze z fotografią znanej aktorki, której nazwiska za nic nie mógł sobie przypomnieć. Kobieta uwieszona na ramieniu jakiegoś mężczyzny śmiała się radośnie i wyglądała na szczęśliwą.

„Ciekawe, czy dalej jest jej tak wesoło – pomyślał Kacper i uśmiechnął się złośliwie. – A jeśli tak, to czy z tym samym gościem”.

Nieco po lewej znajdowała się umywalka, nad którą wisiało owalne lustro. Widać było na nim smugi po niedawnym ścieraniu, a wokół śrub porobiły się czarne obwódki. Znający swoją teściową Drelich był pewien, że tym razem wydelegowała do sprzątania Tomka. A może Tadeusza?

Wzruszył ramionami, jakby dziwiąc się samemu sobie, że tak uważnie lustruje dobrze znane pomieszczenie. Ale zbyt niedawno na chwilę przestał uważać i nie skończyło się to dobrze.

Otworzył gabinet i nacisnął włącznik po prawej. Dalej było ciemno. Nacisnął raz jeszcze, tym razem mocniej. Nic.

„Pewnie żarówka poszła” – pomyślał i już miał zrobić krok do przodu, gdy dostrzegł, że zawieszona nad sufitem lampka kołysze się lekko.

Niemal odruchowo uniósł rękę, chcąc sięgnąć po broń, ale w połowie tego ruchu dotarło do niego, że przecież jest cywilem na urlopie. Trzeba to było rozegrać inaczej.

– Pieprzona żarówka! – westchnął.

Kątem oka dostrzegł, że firanka w oknie naprzeciwko drgnęła lekko, prawie niezauważalnie. Teraz Kacper był już pewien, że w gabinecie jest ktoś jeszcze. Wiedział też, którądy tamten wszedł. Tylko po co? Wzruszył ramionami i zamknął za sobą drzwi. Starał się, aby ten ruch wyglądał naturalnie. Przekręcił klucz i przeszedł przez poczekalnię. Wreszcie, wyłączwszy światło, wyszedł na zewnątrz. Wiedział, że ma czas. Tamten gość na pewno odczeka chwilę, zanim postanowi uciec. A jeżeli zamierzał wyjść niedomkniętym oknem, to czeka go ładny odcinek przez pole bez osłony choćby krzaka.

Drelich rozejrzał się za jakimś kawałkiem kija lub czymkolwiek, co mogłoby posłużyć mu za broń. Nie sądził, żeby napastnik był potężnym gościem, na którego trzeba strzelby Tadeusza.

„Może i nie jest potężny – odezwał się głos w jego głowie. Tym razem miał barwę czerwoną, ostrzegawczą. – Ale za to sprytny i zwinny. Pamiętaj, że zdążył wejść na biurko, przekręcić żarówkę i schować się, zanim przeszedłeś przez poczekalnię długości trzech metrów. A ty ledwo stoisz na nogach”.

Kacper rzeczywiście nie czuł się najlepiej, ale nie zamierzał odpuszczać. Kilka metrów na lewo dostrzegł drewniany wózek, którego teść używał do rozwożenia gnoju po ogródku warzywnym. Na wózku leżał jakiś trzonek. Drelich był niemal pewien, że to widły, ale podniósł tylko fragment szpadla. Zważył drąg w rękach i uznał, że nadaje się wręcz idealnie.

Cichutko przeszedł na tył budynku, przykucnął za rogiem i czekał. Nie trwało to długo. W kilka chwil później okno otworzyło się i niewielka czarna torba została ostrożnie opuszczona na ziemię. Zaraz potem Kacper zobaczył nogi obute w adidasy i ubrane w czarne dżinsy, a po nich wychynęła cała postać.

Powoli, bardzo powoli Drelich wstał, modląc się w duchu, by nie strzeliło mu w kolanach. Wyjrzał zza rogu. Mężczyzna zamykał właśnie okno. Był w tym niezły. Wykorzystując nieszczelność ram, majstrował chwilę wygiętym drutem, a potem dla próby lekko popchnął okno. Nie otworzyło się.

„Niezła sztuczka” – pokiwał głową Kacper. Chętnie by się jej nauczył, choć w dobie „plastikowej stolarki” (co zawsze brzmiało mu jak „masło ze smalcu” albo głupiej) niewiele miałyby okazji, żeby się nią posłużyć. Mocniej zacisnął rękę na trzonku szpadla i naraz poweselał.

„Co to jest urządzenie kinetyczne o napędzie trzonkowym?” – przypomniał sobie starą zagadkę. Gdy zadano mu ją na jakimś przyjęciu, odpowiedział, że właśnie szpadel. Ale dowcipniś zaprzeczył ze złośliwym uśmiechem i stwierdził, że to młotek.

„Ciekawe, kto teraz będzie miał rację, panie przemądrzały?” – pomyślał Drelich.

Mężczyzna w adidasach przez chwilę jeszcze patrzył w okno, jakby nie był pewien, czy wszystkiego dopilnował, po czym schylił się po torbę.

Kacper uznał, że to najwyższy czas, by działać. Wyłonił się zza rogu ze szpadlem gotowym do ciosu.

– Czego tu szukasz? – warknął.

Złodziej w pierwszej chwili nie zareagował. Zupełnie jakby nic nie usłyszał, potem nagle rzucił się w jego kierunku. Był szybki, niezwykle szybki i zupełnie zaskoczył Kacpra, który nie zdążył upuścić szpadla. Mężczyzna podciął go, łapiąc za zgięcia kolan, wbijając w nie kciuki, a potem szarpiąc do siebie. Wszystko sprawnie i szybko, jakby robił to wcześniej tysiące razy.

Gdy Drelich wylądował na plecach, złodziej skoczył na jego pierś i rozstawiając kolana, przycisnął Kacprowi ramiona do ziemi. Potem przyładował mu z pięści w twarz.

Cios, jak na kogoś tak szybkiego i sprawnego, był niespodziewanie słaby. A przynajmniej ból, jaki wywołał, w żadnym razie nie mógł równać się z tym, który Drelich czuł w tym momencie w żebrach. Wspólnie jednak radziły sobie doskonale.

Mimo to Kacper nie zamierzał się poddawać. Wierzgnął, podrzucając biodra do góry, a potem spróbował gwałtownego skrętu w bok. Nie udało mu się zrzucić mężczyzny, ale zmusił go do uniesienia kolana. Na jeden krótki moment, ale podczas walki taka chwila to niemal cała wieczność. Drelich uwolnił lewą rękę, uniósł ją i złapał napastnika za krocze. Zacisnął mu palce na jądrach, z całej siły pociągnął i przekręcił. Złodziej syknął z bólu i zaczął bić leżącego na oślep po twarzy, po uszach, szyi. Mnóstwo ciosów, jednak w żaden nie był w stanie włożyć choćby odrobiny siły.

Tymczasem Kacper raz jeszcze skręcił biodra, próbując przewrócić się na bok. Teraz przyszło mu to już bez trudu. Wyrwał się spod złodzieja, puszczając jego krocze. Odpełził kawałek, dysząc ciężko, i złapał za swój trzonek szpadla. Podniósł się na nim jak na lasce, a potem chwycił drąg jak

pałkę. Złodziej zdołał tylko uklęknąć i trwał w tej pozycji, kołysząc się i przyciskając ręce do krocza. Po jego policzkach ciurkiem ciekły łzy. Skapywały na rozwichrzoną rudą brodę, która cała już mokra wyglądała w blasku księżyca niczym skąpiana w rosie pomarańczowa trawa.

Drelich opuścił trzonek.

– Przykro mi, stary – powiedział – ale zmusiłeś mnie do tego.

Nie spuszczał ze złodzieja oka, podszedł i otworzył jego torbę. W środku dostrzegł igły, strzykawkę, plik podpieczetowanych recept i drugi ze zwolnieniami z zajęć szkolnych. Również z pieczętką i tak samo *in blanco*. Uśmiechnął się.

– Nie za duży jesteś na szkołę? – zapytał. Zobaczył, że mężczyzna gramoli się z kolan, więc ostrzegawczo podniósł trzonek. Tamten jednak przeszedł tylko z pozycji klęczącej na siedzącą.

– To dla znajomego dzieciaka – wysapał, opierając się o ścianę. – Ma trochę kłopotów.

– Tym mu raczej nie pomożesz – stwierdził Kacper. Sprawdził, czy w torbie kryje się coś jeszcze, ale nic nie znalazł.

– Czego szukałeś?

– W kieszeni mam listę. – Złodziej z trudem wyrównał oddech. – Od ćpunków i innych takich. Ale nic nie znalazłem, więc wziąłem tylko drobiazgi, co zawsze schodzą.

– Masz jakieś dokumenty? – zapytał Drelich z uśmiechem.

Tamten pokiwał głową i ostrożnie sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej portfel i rzucił Kacprowi. Ten zabrał go, nie otwierając.

– Zgłosisz się jutro – powiedział jak do dziecka, choć złodziej mógł być jego rówieśnikiem. – Wtedy pomyślimy, jak zrewanżujesz się gospodarzom za to włamanie. A teraz znikaj. Masz minutę, zanim się rozmyślę.

Patrzył, jak mężczyzna powoli wstaje, a potem rusza niezgrabnie w stronę pół. Nie obejrzał się ani razu.

Dopiero wtedy Drelich podniósł torbę. Otrzeptał ją z pyłu i zarzucił na ramię. Na drugim ramieniu oparł trzonek od szpadla i nie mogąc powstrzymać uśmiechu, skierował się w stronę wejścia do gabinetu Marii.

Kacper nacisnął włącznik i tak jak się spodziewał, tym razem pomieszczenie zalało światło. Pokręcił głową z uznaniem.

– Dobry jest – szepnął. Zdjął z ramienia torbę, podszedł do szafki i porozkładał wszystkie strzykawki i igły. Blankiety włożył do szuflady. Potem włączył komputer na biurku. Przez chwilę czekał, bębniąc palcami o blat, aż uruchomią się wszystkie programy. Gdy wreszcie strzałka zajęła miejsce klepsydry, najechał na ikonę łączenia z Internetem i kliknął. Modem przez jakiś czas piszczał przeraźliwie, potem uspokoił się i Drelich zobaczył na ekranie witrynę ze smutnym pajacykiem. Odruchowo nacisnął mu na brzusek, poczekał na podziękowania i zalogował się na swoim serwerze.

Przyszło do niego z dziesięć nowych wiadomości, z czego tylko dwie od znajomych. Resztę stanowiły jak zwykle śmieci, reklamy i najprawdopodobniej wirusy. Drelich powyrzucał je, dopiero potem sprawdził wiadomość od kumpla ze szkoły policyjnej.

Odezwałbyś się czasem :-) Pozdrowienia. Janek

E-mail od Franka zostawił sobie na koniec. Zerknął na załączniki. Pięć plików, każdy nieco ponad sto kilobajtów – rzeczywiście komendant musiał nieźle okroić bazę danych i zostawił jedynie tych najbardziej zgadzających się z opisem. Kacper miał tylko nadzieję, że rzeczywiście wystarczająco dobrze przyjrzał się swemu oprawcy. I że go teraz rozpozna.

Otworzył wiadomość.

Hej, Kacper! Tu masz parę fotek wesołych dżentelmenów. Mam nadzieję, że to któryś z nich. Jeśli nie, podeślę ci kilku innych. Może gość od niedawna wygląda tak, jak go opisałeś. Trzymaj się i pozdrów Agnieszkę i rodziców. Franek

Drelich zrzucił zdjęcia na dysk i przejrzał. Wszyscy mężczyźni wyglądali podobnie, zarówno do siebie nawzajem, jak i do tego, którego opisał podinspektorowi. Jednak to nie był ten, na pewno. To właśnie napisał Trolewskiemu. Po namyśle wyciągnął z kieszeni portfel złodzieja, otworzył i wyjął dowód osobisty.

PS. Czy mógłbyś mi też sprawdzić niejakiego Jakuba Ślęczkiewicza, lat trzydzieści?

Po namyśle dodał dokładną datę urodzenia, jego adres i wysłał wiadomość.



Gdy wrócił do domu, wszyscy z wyjątkiem jego żony już spali. Zerknął na zegarek i zdziwił się, bo dochodziło wpół do jedenastej, zaraz jednak zdał sobie sprawę, że na wsi życie płynie zupełnie inaczej. Wstąpił na chwilę do kuchni, łyknął trochę mleka i wszedł na górę.

Agneszka krzątała się po sypialni, rozkładając ich rzeczy do szuflad.

– Co tak długo? – zapytała. Kacper podszedł do niej.

– No co? – Wzruszyła ramionami.

Pocałował ją i delikatnie pchnął na łóżko. Położył się na Agnieszce, rękami błądząc po jej piersiach. Seria krótkich pocałunków przeszła w jeden długi, głęboki. Żona objęła go nogami, a rękami złapała za kark.

„Nie możesz – huczał głos w głowie Drelicha. Głos, którego słuchał mimowolnie przez ostatnie półtora miesiąca. – Nie powinienes, przecież...”

Tym razem nie usłuchał. I choć obolały, po raz pierwszy od bardzo dawna był naprawdę szczęśliwy.

Satyr – wejście drugie

– Przepraszam pana najmocniej – zagadnął uprzejmie Rafał.

Klient, ubrany dość dziwnie jak na tę porę roku, w szary prochowiec i kapelusz niczym z gangsterskiego filmu, nie zareagował. W rękach trzymał dwa pudełka – jedno z jakiejś nowej komedii, a drugie z któregoś thrillera z wczesnych lat osiemdziesiątych. Było ich tu sporo – wszystkie podobnie zatytułowane i o niemal identycznych fabułach. Facet wyraźnie nie był pewny, który film wybrać.

Rafał podrapał się po nosie i zerknął w stronę stojącej przy kasie Gosi. Ta uniosła lewą rękę i palcami prawej dłoni postukała w nadgarstek, przypominając mu, że zaraz kończy pracę i ani myśli zostać choć chwilę dłużej.

„Jak zwykle” – pomyślał Rafał, uśmiechając się do niej i bezradnie rozkładając ręce.

Gosia, gdyby mogła, wychodziłaby już rano, gdy tylko szef zniknął im z oczu. Nienawidziła tego miejsca z całego serca i co rusz dawała temu wyraz. Siedzenie w wypożyczalni kaset robotą dla przyszłej topowej modelki?! Biała koszulka z nazwą sieci zamiast kreacji warty tysiące

dolarów?! Dla Gosi był to namacalny dowód, że Bóg istnieje... i jest cholernie złośliwy.

– Proszę pana – raz jeszcze zaczął Rafał – bardzo mi przykro, ale jest godzina dwudziesta czwarta i...

– Już zamykacie? – w głosie kucającego przy półce mężczyzny słyhać było nutkę zawodu. Odłożył oba pudełka na półkę i podniósł się powoli. Strzeliło mu w kolanach.

– Tak właśnie – szepnął Rafał nagle onieśmielony głosem klienta, niskim, gardłowym, jakby... grobowym. – Zapraszamy jutro. Mamy czynne od dziewiątej rano i...

– Jutro nie będę miał czasu – odparł mężczyzna, odwracając się.

Rafał odruchowo zrobił krok w tył.

Facet miał poźółkłą twarz pełną ropnych wyprysków. W miejscu nosa widniała zaklejona plastrem dziura, a gdy się uśmiechnął, chłopak dojrzał, że brak mu również większości zębów. Te, które zostały, były niemal czarne.

– Nie bój się – szepnął klient z rozbawieniem. Jego oddech niewyobrażalnie cuchnął. – To podobno nie jest zaraźliwe. A przynajmniej nie tak. Do tego potrzebna jest jakaś porządna kurewka. Jak choćby ta twoja tam.

Głową wskazał Gosię, która siedziała przy biurku, zasłaniając się gazetą. „MICHAEL JACKSON TO HOLOGRAM” – głosił tytuł okraszonego dwoma zdjęciami artykułu na pierwszej stronie. Pod spodem Rafał dostrzegł krótkie rozwinięcie: „*Chciałam dotknąć jego kurtki, ale moje palce przeniknęły przez nią – żali się fanka gwiazdora*”.

– Niezła z niej sztuka, nie? – zapytał mężczyzna i roześmiał się, widząc po równi zaskoczoną i wykrzywioną wstrętem twarz chłopaka. Uchylił przed Rafałem kapelusza i ruszył do wyjścia. Przechodząc koło biurka,

powiedział coś do Gosi, ale ta ledwie skinęła głową, nie odrywając wzroku od czytanego brukowca. Jeżeli coś powiedziała, to tak cicho, że do Rafała nie dotarł żaden dźwięk. Zaraz jednak, gdy tylko mężczyzna wyszedł, poderwała się z krzesła, podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz.

Chłopak poprawił poprzesuwane pudełka na kasety.

– Już myślałam, że nigdy nie pójdzie – powiedziała głośno Gosia. – Czuleś, jak śmierdział?

To nie był temat, który Rafał miał ochotę teraz drażnić. Ale z drugiej strony nocna wizyta w wypożyczalni tego obrzydliwego gościa podsunęła mu pewien pomysł.

„Gosia i tak pewnie się nie zgodzi – pomyślał. – Jednak z drugiej strony...”

Już dawno przestał ukrywać przed samym sobą, że zadurzył się w dziewczynie po uszy. Wiedział też, że nie ma u niej szans. Był w końcu tylko chudym osiemnastolatkiem w okularach, od pół roku próbującym hodować swą pierwszą kozią bródkę. W filmach, które pasjami oglądał (i z tego właśnie powodu zatrudnił się w wypożyczalni), jedyną szansą takich jak on było udzielanie swej bogini korepetycji i zainteresowanie jej swym niecodziennym hobby. Tyle że Gosia była od niego starsza, a poza tym Rafał całe życie ledwie prządlł na trójkach i nie za bardzo mógł kogokolwiek uczyć. Zainteresowań też nie miał oryginalnych. Ot, filmy i gry, czasem jakaś dobra książka. Jakkolwiek by patrzeć, był przegrany.

Mimo to próbował. Dwa razy zapraszał ją do kina, raz do kawiarni i co dzień chciał odprowadzać ją po pracy. Nie przynosiło to żadnego skutku, ale dziewczyna za każdym razem posługiwała się bardzo wiarygodnymi wymówkami. Może więc nie miał racji – ona go lubiła, tylko jakoś tak samo nie wychodziło?

– Ten facet był chory. – Rafał oparł się o biurko, dociskając kostki do blatu gestem podejrzanym u Roberta Mitchuma. – I to nie tylko fizycznie. I zerkał na ciebie.

Wiedział, że użył taniego chwytu, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Jak to mawiają? „Tonący brzytwy się chwyta”.

Gosia posłała mu rozdrażnione spojrzenie.

– Co znaczy zerkał? Chłopak wzruszył ramionami.

– Chyba wpadłaś mu w oko. Nie powinnaś dziś wracać sama. On...

Niepokój na twarzy dziewczyny ustąpił miejsca rozbawieniu. Podeszła do Rafała i przysunęła twarz do jego ucha. Jej słodki, delikatny oddech sprawił, że chłopak poczuł przyjemne mrowienie w okolicy podbrzusza.

– Dzięki, że się o mnie troszczysz – szepnęła. – Ale nie wracam sama.

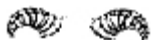
Pogładziła go po policzku i ruszyła w stronę zaplecza.

Rafał chciał ją zatrzymać, zapytać, z kim wraca, a może jeszcze bardziej nastraszyć. Sam nie wiedział. I może dlatego nie zrobił nic, nawet nie drgnął, aż dziewczyna już przebrana wyszła z zaplecza. Zamiast firmowej koszulki miała teraz na sobie czarną, opinającą ją ciasno bluzeczkę na ramiączkach. Uśmiechnęła się wesoło.

– Pozamykasz? – zapytała. Skinął głową.

– Jasne.

„Jak zwykle” – dodał w myślach. Patrzył, jak przekręca klucz i wychodzi w noc. Potem poszedł po wiadro, mopa i zabrał się za mycie podłogi.



Dział dziecięcy szef ulokował w osobnym pomieszczeniu. Rafała z początku śmieszyło, że aby do niego wejść z głównej sali, trzeba było minąć ustawiony w kącie i zasłonięty kurtynką dział porno.

Po pierwszym miesiącu jednak, gdy dostrzegł, jak wiele osób wypożycza razem z bajkami filmy dla dorosłych, przestał podśmiewać się z właściciela i jego nietypowej koncepcji rozstawienia pudełek. Nawet spisał sobie układ działów, na wypadek gdyby przyszło mu kiedyś, o czym marzył, założyć własną wypożyczalnię.

Dokładnie na wprost wejścia do działu dziecięcego znajdował się stand z królikiem Bugsem i jego szajką. Pochodził z jednego z tych filmów, w których animki występowały do spółki z żywymi aktorami. Choć ta reklama była dosyć stara, szef powiedział, że dobrze się prezentuje i powinna zostać na swoim miejscu. Oprócz niej w pomieszczeniu był jeszcze tylko jeden stand, dla odmiany nowiutki, bo rozłożony ledwie dwa dni wcześniej.

Reklamował „Orfeusza”, wielką superprodukcję amerykańskiej kinematografii, która szturmem zdobyła kina i właśnie doczekała się swej wersji na wideo i DVD. Na pierwszym planie ogromnej tekturowej konstrukcji stał dumnie wyprostowany młodzian z harfą, a obok wsparta na jego ramieniu prześliczna dziewczyna o hebanowoczarnych włosach i brązowych oczach. Na drugim planie tańczyły lubieżnie czerwone od krwi Bachantki. Wszystkiemu zaś przyglądali się Hades z małżonką zasiadający na kamiennych tronach władców podziemi. Trzeci plan stanowiło drzewo, zza którego z obu stron wychylały się satyry. Pożądliwe spojrzenie jednego z nich niemal przewiercało na wylot czarnowłosą piękność. Drugi z koziołowych miał zamknięte oczy.

Rafał przejechał szmatą koło obutych w sandały stóp Orfeusza.

– Przepraszam – powiedział i wybuchnął wymuszonym śmiechem. Zawsze gdy zostawał w wypożyczalni sam, jego głos wydawał mu się jakiś inny. Nienaturalny i... złowrogi.

Nagle przypomniał sobie, że nie zamknął po Gosi. A co, jeśli ktoś już z tego skorzystał? Przed oczy wróciła mu obrzydliwa twarz ostatniego klienta.

– Bzdura! – skarcił się na głos. – Przecież słyszałbym, jak ktoś wchodzi.

Nie zabrzmiało to dość przekonująco, więc położył mopa na ziemi i wybiegł z działu dziecięcego. Dopadł drzwi i przekręcił klucz. Potem dokładnie rozejrzał się po sali, sprawdził za biurkiem i na zapleczu. Nikogo nie było.

Wyraźnie uspokojony wrócił do mniejszego pomieszczenia i... stanął jak wryty.

Na środku stał jeden ze standowych satyrów. Ubrany był w ubrudzony krwią garnitur, miał przerażająco czerwone oczy i celował do Rafała z rewolweru. Koźła twarz rozciągała się w uśmiechu.

– Ani drgnij, przyjacielu – rozkazał. – I odpowiadaj grzecznie i krótko. Macie tu magnetowid?

Chłopak skinął głową. Czuł, że drżą mu nogi i chyba tylko siłą woli utrzymywał się w pionie.

– Nie odtwarzacz, tylko magnetowid – podkreślił satyr. – Muszę nagrać niespodziankę dla znajomego.

– Mamy dwa – wydusił z siebie Rafał. – Można je ze sobą połączyć. I ja potrafię to zrobić.

Ostatnie zdanie pojawiło się w jego głowie samo. Miał nadzieję, że powiedział je na tyle pewnie, aby być przydatny, niezbędny i przez to zasługujący na jeszcze kilka chwil życia. Wtedy może zdołałby uciec i...

– Bardzo się cieszę, że jesteś tak chętny do współpracy – stwierdził satyr wesoło. – Myślę, że potrafię ci się za to należycie odwdziaczyć. Lubisz zdjęcia?

Przerażony chłopak pokiwał głową. Nie wiedział, o co chodzi, ale wolał nie denerwować świra ze spluwą.

– Ja od niedawna wprost uwielbiam. – Satyr przełożył rewolwer do lewej ręki, a prawą sięgnął do wewnętrznej kieszeni. – Można powiedzieć, że żyję dzięki nim. Oczywiście nie dosłownie, ale nauczyłem się je doceniać.

Roześmiał się, lekko odchylając głowę. Rafał dostrzegł w tym swoją szansę. Wystarczyło, by rzucił się w bok, i już będzie poza zasięgiem strzału, a potem pędem do drzwi, a potem... Przypomniał sobie, że właśnie przed chwilą zamknął wypożyczalnię na klucz.

Zaklął w duchu. Być może zdołałby dopaść drzwi, zanim tamten zdąży wystrzelić, ale nie miał wątpliwości, że klucza już nie przekreśli. Stał więc grzecznie, patrząc na rozbawionego przebierańca i czekając, jak rozwinie się sytuacja.

Tymczasem satyr opanował śmiech. Podeszedł do chłopaka i wcisnął mu w dłoń trzymany w prawej ręce plik zdjęć.

– Płatne z góry – powiedział. – Za udostępnienie sprzętu. Z konfiguracją sam sobie poradzę. Zwłaszcza że, no cóż, będę zgrywał z głowy. Wiesz, jak mawiają fachowcy, to ten film, który czai się pod zamkniętymi powiekami i czeka, by go opowiedzieć.

Znów śmiejąc się z własnego żartu, minął Rafała i ruszył na zaplecze.

Nie spojrzął za siebie ani razu.

„Widać historia Orfeusza czegoś go nauczyła” – przemknęło chłopakowi przez głowę.

Zaraz jednak Rafał zdusił w sobie ten nagły przyływ wisielczego humoru. Nakazał sobie myśleć o ucieczce.

Wtedy jego wzrok ześliznął się na fotki. Gdyby chciał, bez problemu mógłby teraz zaatakować gościa od tyłu, może uderzyć czymś ciężkim... ale

nie chciał. Z poszarzałą twarzą wpatrywał się w pierwsze zdjęcie.

W pewnym sensie było ono spełnieniem jego największego marzenia. Wreszcie udało mu się zobaczyć Gosię nago. Może nie do końca, bo wciąż miała na sobie resztki koszulki zwisające jej z ramion, podarte pończochy i buty na wysokich koturnach. Jednak wszystko, co wyobrażał sobie co noc, ściskając pod kołdrą swego małego, miała odsłonięte. Tylko że teraz Rafał... ledwie ją poznał.

Dziewczyna miała opuchnięte, prawie sine od ciosów policzki, brakowało jej kilku zębów, a włosy pozlepiane w strąki opadały na twarz. Leżała z rozrzuconymi nogami, a resztki koronkowej bielizny były ubabrane we krwi.

„To niemożliwe – myślał wstrząśnięty chłopak. – To nie może być prawda. Przed chwilą ją widziałem i wszystko było w porządku, a ten facet chował się tu cały czas i...”

To jednak nie mógł być fotomontaż. Rafał widział kiedyś, jak jego kumpel bawił się w obróbkę zdjęć i choć był dobry, nigdy nie dałby rady tak podbarwić i zmasakrować twarzy. Poza tym dziewczyna na fotografii miała na prawej piersi znamię. Dokładnie takie samo jak to, które chłopak dojrzał kiedyś na piersi Gosi, gdy bez ostrzeżenia wszedł na zaplecze. Coś jakby strzałka.

Gdzieś z oddali dobiegła go najpierw muzyka z radia, a potem zawodzenie satyra, który usiłował śpiewać. Widać całkiem nieźle się bawił.

Rafał na chwilę zamknął oczy, a gdy po chwili zerknął na zdjęcie, starał się nie patrzeć na Gosię. Może gdyby rozpoznał miejsce, to... Sam do końca nie wiedział, co mógłby zrobić. Ale to nie było teraz ważne. Nie mógł oderwać oczu od fotografii, a za wszelką cenę nie chciał patrzeć na zmltretowaną dziewczynę swych snów.

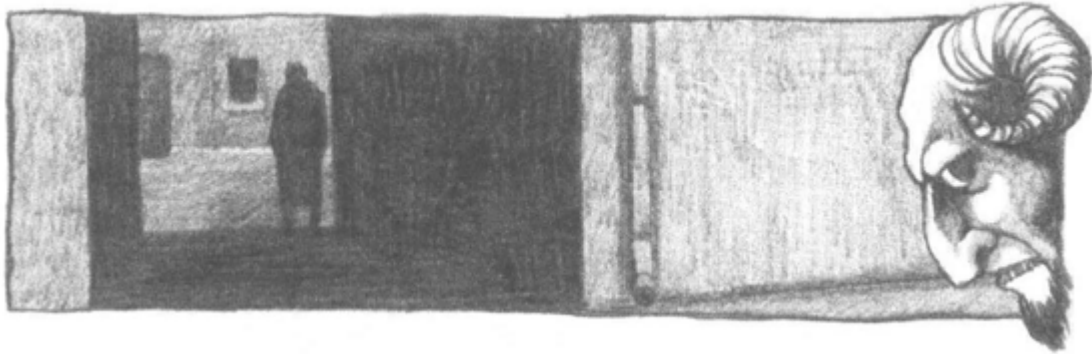
Drżącymi rękami przełożył zdjęcie na spód i omal nie zemdlął. Nagle poczuł, jakby cała krew w jednej chwili odpłynęła mu z twarzy. Chciał krzyknąć, ale nie był w stanie. Nie mógł zrobić zupełnie nic.

Drugą fotografię zrobiono już z większej odległości, pewnie z dwóch – trzech metrów. Dzięki temu zobaczył, że nad Gosią stał uśmiechnięty, ubrany w dres i ogolony na łyso chłopak. Gapił się na pobitą dziewczynę z opuszczonymi spodniami, a jego penis, wciąż jeszcze nabrzmiął, lśnił od krwi i spermy.

To nie może być prawda! Rafał raz jeszcze zamknął oczy, licząc, że tylko mu się przywidziało, że to jakaś cholerna gierka jego umysłu. Gdy jednak je otworzył, nic się nie zmieniło. Ubrany w dres oprawca nadal miał jego twarz.



Następnego dnia Gosia przyszła do pracy pierwsza. I to właśnie ona znalazła szlochającego przez sen Rafała leżącego na podłodze w dziale dziecięcym i przyciskającego do piersi czyste kartki papieru fotograficznego. Zadzwoiła po pogotowie.



ROZDZIAŁ 3

Kacper obudził się koło dziewiątej. Choćby nawet chciał, nie dałby rady spać dłużej, bo wpadające przez okno promienie słońca ogniskowały się dokładnie na jego poduszce, bezlitośnie grzejąc go w ucho. Odruchowo przesunął głowę na pustą już poduszkę Agnieszki, ale i tak wiedział, że już nie zaśnie. Było zdecydowanie za gorąco. Jak to zwykle latem na poddaszu.

Podniósł się powoli na łokciach i rozejrzał po pokoju. Ubrania, które wczoraj w przypływie namiętności rozrzucili po całej podłodze, leżały teraz na stojącym przy komódce krześle. Jego wisały na poręczy, siedzenie zajmowały rzeczy żony włożone do reklamówki na pranie. Uśmiechnął się i odrzucił służące mu za przykrycie bawełniane prześcieradło. Wstał, podszedł do szafy. Wyszukał w niej świeże slipy, krótkie, sięgające kolan spodni w kolorze khaki oraz pomarańczową koszulkę z przyczajonym w trawie rysunkowym tygrysem. Już ubrany zszedł do kuchni.

Teściowa, jak mógł się domyślić, stała przy kuchence i szykowała obiad. Podała mu owinięty folią głęboki talerz z biszkoptowymi naleśnikami.

– Syrop malinowy jest w lodówce – dodała z uśmiechem. – Myśleliśmy już, że nie wstaniesz.

Odwzajemnił jej się równie radosną miną, odwijając folię.

– Gdzie Agnieszka? – zapytał.

– Gracjan koniecznie chciał pojeździć traktorem, więc zabrali się razem z Tadeuszem i Tomkiem w pole. Mieli też skorzystać z okazji i zahaczyć o jezioro. To tak, jakbyś chciał do nich dołączyć.

– Pomyślę o tym – odparł Kacper. Polał naleśniki wyjętym z lodówki syropem i odkroił kawałek. Włożył do ust.

– Aha – przypomniała sobie gospodyni. – Na ganku czeka na ciebie jakiś człowiek. Siedzi tam już od ponad godziny, ale bardzo prosił, żeby cię nie budzić. Powiedział, że ma czas i może poczekać.

– Taki rudy? Z brodą? Pokiwała głową.

– I straszny łasuch na naleśniki. Kacper uśmiechnął się.

„Poczęstowała go naleśnikami – pomyślał. – Ciekawe, czy zrobiłaby to, gdyby poznała okoliczności, w jakich się poznaliśmy?”

Wcale nie miała część jego umysłu była przekonana, że owszem. Może poprzedziłaby wówczas poczęstunek jakimś moralizatorskim kazaniem. A może nie... Bez zbędnego pośpiechu zjadł wszystkie naleśniki, popił mlekiem, podziękował i wyszedł na ganek.

Rudy wciąż tam był. Siedział na huśtawce ubrany w postrzępione, ale czyste dżinsy i flanelową koszulę z odprutymi rękawami. Na nosie miał lennonki z niebieskimi szklami. Gdy usłyszał skrzypnięcie siatkowych drzwi, odwrócił głowę i spojrzał na Kacpra, szczerząc się w uśmiechu.

– Jestem – rzucił wesoło.

– Widzę – odparł Drelich, wbrew sobie również się uśmiechając. Facet zupełnie nie przypominał wystraszonego i szybkiego jak osaczone zwierzę

złodzieja. Zupełnie jakby przyszedł tu zaproszony na deser przez miłych sąsiadów.

W pewnym sensie rzeczywiście tak było. Kacper pomyślał o zjedzonych przez rudego naleśnikach.

– Wiesz, że będziesz musiał odpracować wczorajszą akcję? – zapytał. – A także dzisiejsze śniadanie?

Złodziej roześmiał się. Pokiwał głową.

– Jasne, że wiem, szefie – odparł, wstając i wyciągając rękę do Drelicha. – Dlatego tu jestem. Ślęczkiewicz. Jakub.

Kacper też odruchowo się przedstawił. Dopiero potem pomyślał, czy miało to sens. Rudy był przecież włamywaczem, i do tego całkiem sprytnym.

– Ale rzeczywiście możesz mówić mi „szefie” – dodał. – Będę nim przez jakiś czas.

– Jasne. Co mam robić?

Na to pytanie Drelich nie był przygotowany, ale nie zastanawiał się długo. Ręką wskazał stodołę.

– Umiesz malować? – zapytał. Rudy wzruszył ramionami.

– To zależy. Michał Anioł ze mnie żaden, ale jeśli masz na myśli machanie wałkiem w górę i w dół po deskach, to myślę, że umiem.

– Dokładnie to mam na myśli – kiwnął głową Kacper. – Poczekaj tu.

Zniknął na chwilę wewnątrz domu, a gdy się pojawił, trzymał w ręku portfel rudego i kluczyki do samochodu.

– Nie mamy farb, więc musimy skoczyć do miasteczka – powiedział. – Widziałem, że masz prawo jazdy, więc w razie czego ty prowadziłeś, jasne?

– Znaczy jakby się kto pytał? – upewnił się rudy.

– Dokładnie.



Trasa do najbliższego miasteczka, trzydzieści dwa kilometry, w tym blisko jedna czwarta niemal polnymi drogami, zajęła im około czterdziestu minut.

Przez cały ten czas rudy nadawał. Opowiadał o swoim życiu w akademikach (Kacper wywnioskował, że Ślęczkiewicz musiał mieszkać w co najmniej pięciu na czterech różnych uczelniach), o przekrętach, jakie robił jako akwizytor, sprzątac, kierowca, a potem między innymi „wywiadówkowy wujek” do wynajęcia.

Wszystkie te historie przedstawiał z uśmiechem jak anegdoty i tak zresztą brzmiały. Kacper śmiał się z każdej i ani razu nie zrobił tego tylko z grzeczności. Rudy miał po prostu dar mówienia. Drelich zresztą powiedział mu to wprost.

– Dzięki – odparł Ślęczkiewicz. – Nie ty pierwszy mnie chwalisz. Miałem nawet kumpla, który stwierdził, że byłbym doskonałym politykiem. Ale to nieprawda, nie nadawałbym się. Czuję obrzydzenie do polityków, bo ciągle paplają się w gównie. Łapiesz? Te wszystkie korupcje i inne...

– Nieuczciwości? – podpowiedział Kacper i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Słuchaj – zaczął rudy, gdy już się opanowali – ja wiem, że brzmi to zabawnie, ale mam swoje zasady. Podstawowa brzmi: „Jak musisz kogoś okraść, to kradnij, tylko nie wmawiaj mu, że to dla jego dobra”. Bo taka zagrywka to już nawet nie bezczelność. To skurwysyństwo.

Drelich uśmiechnął się i skinął głową. Zdanie o politykach mieli dość podobne. Czuł, że mimo wczorajszego wieczoru zaczyna lubić tego faceta.

Dotarli do miasteczka. Przejechali kilkaset metrów główną ulicą i Ślęczkiewicz kazał Kacprowi skrócić. Zaraz za rogiem znajdował się sklep z farbami o banalnej nazwie „Świat Farb”.



Pół godziny zajęło, zanim Drelich krążący bezradnie wokół farb do drewna zdecydował się wreszcie na ciemny, dębowy brąz. Zapytał, czy istnieje możliwość zamówienia większej ilości niż dwa dziesięciolitrowe pojemniki stojące na zapleczu. Sprzedawca ożywił się natychmiast i zapewnił, że owszem, w każdej chwili sklep może złożyć zamówienie, a farba jest popularna, na pewno będzie. Kacper wziął więc oba wiaderka, dobrał do tego kilka szerokich wałków, tak na wszelki wypadek kratkę do wycierania farby i trochę szmatek. Raz jeszcze zapytał, czy aby na pewno to wszystko nada się do malowania drewnianej stodoły od zewnątrz. Ponownie zapewniony, że jak najbardziej, zapłacił. Rudy cierpliwie snujący się za nim, by od czasu do czasu rzucić jakąś fachową uwagę, teraz pochwycił oba wiaderka i wyniósł je przed sklep. Drelich zabrał reklamówkę z resztą zakupów.

Po chwili obaj siedzieli już w samochodzie. Kacper zerknął na zegarek. Za piętnaście dwunasta, najwyższa pora zabrać się do pracy. Jednak zdał sobie właśnie sprawę, że wcale nie było mu do tego spieszno. Słońce grzało niemiłosiernie, pot lał się z niego strumieniami, a i pół godziny wdychania oparów z farb zrobiło swoje.

„Zacniemy po obiedzie – pomyślał. – Wtedy będzie chłodniej. A jak Tadeuszowi nie spodoba się kolor, zawsze będzie to mniej do poprawy”.

Spojrzał na rudego.

– Mam ochotę się czegoś napić. Gdzie tu dają coś z lodówki i mają ogródek z parasolami? Jeśli wiesz, możesz liczyć na darmową kolejkę. Bez alkoholu.

Ślęczkiewicz skinął głową.

Wrócili do skrzyżowania i skręcili w lewo, w głąb miasta. Jechali przez chwilę główną ulicą, mijając szereg różnych sklepików, obskurny błękitny budynek miejskiego domu kultury, kościół i sporych rozmiarów market. Tuż przy następnym skrzyżowaniu rudy kazał Kacprowi skręcić w prawo.

Teraz po ich lewej pojawił się miejski park bliźniaczo podobny do tego, gdzie Kacper zabrał ostatnio Gracjana i gdzie spędzili całe popołudnie. Na umiejscowionej pośrodku karuzeli nie było co prawda smoków, tylko różnobarwne koniki, ale poza tym wszystko wyglądało niemal identycznie.

„Pewnie ten sam projektant” – pomyślał Kacper, zastanawiając się, czy nie skoczyć tu przy okazji z synem i tym samym nie spełnić obietnicy. Zupełnie podświadomie w jednej chwili przeniósł się myślami do parceli na Kwiatowej. Do chwil, gdy wspomnienie o przyrzeczeniu złożonym Gracjanowi było nie wiedzieć czemu tym, co trzymało go przy życiu. „Obietnic złożonych dziecku dotrzymuje sam Bóg i jego aniołowie...” czy jakoś tak.

– Może byś tak uważał – zaproponował Ślęczkiewicz całkiem spokojnie.

Drelich wyrwał się z zamyślenia i zauważył, że jedzie środkiem drogi. Skręcił, chcąc skorygować, zrobił to jednak zbyt gwałtownie i wyrzuciło go z drogi – wprost na parking.

– Brawo – pogratulował mu rudy. – „Raj”, najlepszy lokal w mieście. Dokładnie tu chcieliśmy dotrzeć. Skąd wiedziałeś? Podobno nie znasz miasta.

Kacper uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Jakoś mnie chyba ciągnie do nieba – powiedział i wysiadł z samochodu.

– Pochodzisz stąd? – zapytał Drelich. Sącył właśnie tonik z wysokiej szklanki z logiem coca-coli. Rudy zamówił sobie sok pomarańczowy i wciąż na niego czekał.

– Nie – odparł. – Ale mieszkam tu od dwóch lat. Przyjechałem kiedyś z pewnym Japońcem, który prowadził gabinet akupunktury. Spiknęliśmy się jeszcze w stolicy i wpadliśmy na pomysł, że fajnie byłoby założyć spółkę i zahaczyć się gdzieś w małym miasteczku. Potem on zniknął, a do mnie samego jakoś nikt nie przychodził.

– No jasne. – Kacper pokiwał głową. – Jak na specja od akupunktury wyglądasz za mało egzotycznie.

Do ich stolika podeszła młoda kelnerka. Ubrana była w błękitną plisowaną spódniczkę i białą bluzeczkę. Na wysokości piersi miała identyfikator w kształcie chmurki z napisem „Kasia”. Postawiła szklanę przed Ślęczkiewiczem, uśmiechnęła się do niego, posłała niechętnie spojrzenie Drelichowi i odeszła, kręcąc tyłkiem. Kacper posłał jej krzywy uśmiech. A już zaczęło mu się wydawać, że skoro sam zaczął przywykać do swojej obitej twarzy, inni też z pewnością nie będą zwracać na nią szczególnej uwagi. No cóż, nie po raz pierwszy się mylił.

Rudy upił łyk soku.

– Na czym to my... – Zastanowił się. – Aha! Nie jestem akupunkturzystą. Nie znam się na wbijaniu igieł w ludzi. Od tego był właśnie ten Japonec. Ja zajmowałem się hipnozą.

– Wyglupiasz się. – Kacper spojrzał na Ślęczkiewicza z niedowierzaniem. Ale zielony głos w jego głębi, milczący od akcji w piwnicy, czujniej nadstawił uszu. Ojciec Jan co prawda odradzał mu, a wręcz zabraniał wizyt u hipnotyzerów, ale nigdy nie powiedział, czym to może mu grozić. Kto wie, może wcale nie chodziło tu o jakieś niebezpieczeństwo, a tylko o niechętny stosunek starego kapłana do nowomodnych czy raczej odrestaurowanych zabiegów. Może po prostu nie przepadał za szarlatanami.

No ale to nie Kacper poszedł do hipnotyzera...

– Ja się wygłupiam? W żadnym wypadku – zaprzeczył rudy ze śmiechem. – To akurat jest wyjątkowo proste zajęcie. Wystarczy odrobinka chęci z drugiej strony, jakiś przedmiot i parę minut, a już gość posyła ci tępe, niewidzące spojrzenia i recytuje mechanicznym głosem, gdzie zostawił zgubione klucze. Bo wszystko, czego człowiek doświadczył, odkłada się w jego pamięci, czy ktoś tego chce czy nie. Po to jest ten nieużywany kawałek mózgu. Nie patrz tak na mnie! Czuję się jak cycata blondynka w koszarach.

– Naprawdę potrafisz hipnotyzować? I zmuszać do przypomnienia sobie rzeczy zapomnianych?

– Tak – potwierdził Ślęczkiewicz. – Potrafię także nakłonić ludzi do szczekania i kopulowania w miejscach publicznych. Jesteś chętny spróbować?

Znowu się roześmiał, ale widząc, że Kacper wciąż patrzy na niego z tą samą miną, spoważniał.

– Chcesz, żebym cię zahipnotyzował?

Drelich nie odpowiedział. Z jednej strony chciał, i to tak bardzo, że pomimo zakazów nosił się z tym już jakiś czas. Z drugiej jednak strony cały czas się bał, że zakaz ojca Jana mógł dotyczyć jego obaw odnośnie... tamtej sprawy. Że przez grzebanie w psychice tamto może wrócić. No i sam rudy! Z pewnością nie zaliczał się do pierwszej dziesiątki ludzi, którym Kacper mógł ufać. Właściwie to nawet wręcz przeciwnie. Mimo to ciekawość zwyciężyła – powoli, z rozmysłem pokiwał głową.

– Tutaj? Teraz?

Ponowne skinienie, tym razem pewne i niemal natychmiast. Ślęczkiewicz przejechał ręką po twarzy, niechcący zsuwając okulary na czubek nosa. Zaraz jednak je poprawił.

– Słuchaj – powiedział. – Wczoraj złapałeś mnie na kradzieży i walnąłeś w jaja, a dzisiaj dajesz mi spluwę do ręki i mówisz „strzelaj”? Hipnoza to broń, stary. Mogę sprawić, byś w nocy otworzył mi drzwi i siedział grzecznie na huśtawce, czekając, aż zwinę wam telewizor. Naprawdę mogę to zrobić. Do końca życia możesz czekać na kłaśnięcie.

Kacper wzruszył ramionami, zupełnie nie dając po sobie poznać, że chwilę wcześniej właśnie myślał o tym samym.

– Gdybyś rzeczywiście chciał zrobić coś takiego, nie mówiłbyś mi o tym. Po prostu byś to zrobił. Poza tym przyszedłeś do mnie rano, nie? To stawia cię w dobrym świetle.

– Ten gość, który ci zeszpecił facjatę, musiał też przy okazji uszkodzić ci mózg – stwierdził rudy, kręcąc głową z rozbawieniem, ale i niedowierzaniem. – Przyszedłem, bo miałeś moje dokumenty. Mógłbyś je zanieść na gliny i...

– ...I dowiedzieć się, że od lat nie byłeś w miejscu zamieszkania, i po tygodniu dostać kwit o umorzeniu dochodzenia? – zakpił Drelich. – Pytam raz jeszcze, więc jak będzie?

Na to Ślęczkiewicz tylko machnął ręką zrezygnowany i wydobył z kieszeni coś, co przypominało aztecką monetę owiniętą rzemieniem. Złapał za końcówkę skórzanego paska, zakołysał. Następnie ze stojaka wyciągnął serwetki i sięgnął po długopis.

– Może tu być trochę za głośno, ale jeśli skupisz się wystarczająco... Czego mam się dowiedzieć?

– Czegoś o moich rodzicach – powiedział Kacper. Chciał dodać: „I czegokolwiek o mnie przed dziewiętnastym rokiem życia”, ale powstrzymał się. Co za dużo, to niezdrowo.

– W porządku. Ty będziesz mówił, a ja to wszystko ładnie zapiszę – wyjaśnił rudy, przekładając rzemień do lewej ręki, a długopis do prawej. –

Patrz na monetę.

Zaczął nią kołysać. Najpierw powoli, delikatnie, później coraz mocniej i szybciej, a potem znów powoli. Nie mówił nic, żadnego „stajesz się senny” i tym podobnych bzdur. Mimo to Drelich czuł, że z każdą chwilą jest coraz słabszy, jakby kołysząca się moneta wysysała z niego wszystkie siły.

Kasia albo jakaś inna ubrana dokładnie tak samo kelnerka – Kacper nie potrafił już tego stwierdzić, bo wszystko oprócz monety widział rozmyte – pojawiła się za plecami Ślęczkiewicza i stała przez chwilę wpatrzona w nich obu. Potem wzruszyła ramionami i przyjęła zamówienie od pary siedzącej przy dwuosobowym stoliku.

Oczy posłusznie wodzące za monetą zaczęły boleć. Drelich słyszał coś jak tykanie taktometru, a nosem wyczuwał zapach pomarańczy. Zdołał jeszcze z trudem pomyśleć, że to pewnie sok rudego, a potem nagle coś pstryknęło i zapadł w ciemność.

Mrok, w jakim się znalazł, był równie głęboki co ten w piwnicy, zanim oprawca włączył światło. Tyle że tam słyszał tylko jeden głos. Tu były ich setki całkowicie różnych – kobiecych, męskich, dziecięcych. Były głosy spokojne, słodkie, ale były też wściekłe i histeryczne. Tych ostatnich Kacper bał się najbardziej. Miał wrażenie, jakby nagle zaczęły zbliżać się ku niemu, by szepnąć mu coś do ucha, po czym zatrzymane przez niewidzialną ścianę podnosiły nagle potworny wrzask.

Drelich chciał podnieść ręce, zatkać nimi uszy, lecz wtedy nagle pojawiło się światło. W jego blasku dostrzegł, że jego dłonie są czerwone od krwi. Krzyknął. Darł się ile sił w płucach, a głosy, które podobnie jak ciemność wcale nie zniknęły, a tylko odsunęły się nieco, wybuchnęły nagle potwornym śmiechem...

A potem znów siedział pod parasolem w ogródku „Raju” naprzeciwko Ślęczkiewicza. Tyle że rudy nie wyglądał już tak samo. Nie było śladu po

jego niedawnym rozbawieniu czy luzie. Siedział z rozchylonymi ustami, w lewej ręce wciąż ściskając ramię z monetą. W drugiej dłoni, zanurzonej w stercie zapisanych serwetek, kurczowo ściskał długopis. Drżał na całym ciele i wyglądał na potwornie przerażonego.

Kacper rozejrzał się powoli. Siedzący przy okolicznych stolikach ludzie przyglądali im się w milczeniu. W progu lokalu stało dwóch pracujących jako ochrona osiłków, a pomiędzy nimi schludnie ubrany czterdziestolatek, który mógł być właścicielem „Raju”. „Czyli Bogiem” – pomyślał Kacper i zachichotał nerwowo.

– Niech się państwo nie martwią – powiedział głośno, nadal się uśmiechając. – Jestem aktorem, a to tylko taki test. Casting.

Ludzie przyjęli to wytłumaczenie i szepcząc coś między sobą, odwrócili się do swoich stolików. „Bóg” pokręcił głową z dezaprobatą, po czym wszedł do lokalu. Ochroniarze podążyli za nim.

Rudy nadal wyglądał na roztrzęsionego. Dopiero gdy Kacper sięgnął ręką po zapisane serwetki, Ślęczkiewicz zebrał się w sobie.

– Coś ty zrobił, chłopie? – zapytał drżącym głosem. Drelich wzruszył ramionami.

– Kiedy? – zapytał.

Wtedy rudy podniósł rękę i pozwolił, by Kacper podniósł notatki z tej zaimprovizowanej sesji. Z całą pewnością były pisane bardzo szybko – świadczyła o tym chociażby ich ilość. Wielu słów w ogóle nie dawało się odczytać, ale rozpoznawalne fragmenty i tak robiły wrażenie. Drelich przeczytał najdłuższy:

jej głowa pękła mogłem widzieć mózg wyglądał jak wyłaniający się z kokonu szary robal obrzydliwa larwa w pomarańczowej krwi leżała na skale powykręcana szmaciana lalka a ja mogłem już tylko płakać

Potem następował ciąg nagryzmoonych wyrazów, który ciągnął się prawie do końca. Nawet Ślęczkiewicz nie dałby już rady odszyfrować własnych zapisków.

Natomiast wyraźniejsza końcówka uderzyła Drelicha jak obuchem:

zabiłem zabiłem ją



Żaden z nich nie odezwał się słowem przez całą drogę powrotną. Kacper cały czas myślał o schowanych do kieszeni serwetkach. Czy nadal miał ochotę je czytać? A jeżeli rzeczywiście kogoś zabił? Czy wtedy niepamięć nie byłaby błogosławieństwem? Darem od Boga? I dlaczego tak naprawdę dziwił się, że kogoś zabił? Był przecież opętany. Nie robił niczego z własnej woli.

„Tylko czy w takim razie zapamiętałbyś to w ten sposób? – spytał samego siebie. – Czy opętani płaczą nad swymi ofiarami?”

Ta myśl była najbardziej przerażająca. A co, jeśli zabił tę dziewczynę, jeszcze zanim opętał go demon? Czy znaczyło to, że mógł być niebezpieczny?

Zerknął ukradkiem na rudego, ale ten siedział prosto i wyglądał na pochłoniętego widokiem za przednią szybą. W drodze do miasta kilka razy zdejmował i przecierał okulary. Teraz nawet ich nie dotknął.

Wjechali na podwórko dokładnie w chwili, gdy gospodyni kończyła rozstawiać talerze na obiad. Na huśtawce siedziała Agnieszka z Gracjanem. Widząc Kacpra za kierownicą, pogroziła mu placem, ale on zdawał się tego nie zauważać. Zatrzymał samochód w cieniu koło stodoły.

– Zjesz z nami? – zapytał Ślęczkiewicza. Ten pokręcił głową.

– Wolałbym od razu zabrać się do pracy – odparł. – Jeśli nie sprawi ci to różnicy.

Drelich przejechał ręką po głowie i westchnął.

– Właściwie to już nie musisz – powiedział po chwili. – Pojechałeś ze mną, a potem... Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

– Serio? – w głosie rudego dało się słyszeć ulgę. Kacper skinął głową.

– Jeśli tylko nie wygadasz się co do tych kartek, to sprawa między nami jest zamknięta.

Podał Ślęczkiewiczowi rękę.

– Na pewno nie zjesz z nami?

– Nie. Ale dzięki – odparł rudy. Po chwili dodał jeszcze: – Myślę, że tak naprawdę to równy z ciebie chłop... i w ogóle.

– To mogły być jakieś moje ukryte lęki, prawda? – zapytał Drelich. – Gdzieś słyszałem, że...

– No jasne! – zapewnił Ślęczkiewicz pospiesznie. – To może być to. Zdarza się czasami, nawet często. Tak, jestem pewien, że o to właśnie chodzi. – Uśmiechnął się nerwowo. – Czyli kwita? I mogę już iść?

– Pewnie.

Kacper poczekał, aż rudy wysiądzie i przejdzie kilka metrów. Dopiero potem otworzył swoje drzwi. Raz jeszcze zerknął na Ślęczkiewicza. Podobnie jak zeszłej nocy szedł szybkim tempem w stronę pól, nie oglądając się za siebie.

– Gdzie byłeś? – zapytała Agnieszka, gdy wszedł na ganek. – I co to był za facet?

Wzruszył ramionami.

– W raj, skarbie – odparł. – Ale przykrzyło mi się tam bez ciebie, więc wróciłem. A co do tego faceta, to przyszedł rano zapytać, czy nie ma tu dla niego jakiejś pracy. Ale gdy spędził ze mną godzinę, to się rozmyślił.

Agnieszka pokręciła głową, głośno wzdychając.

– Nauczysz ty się w końcu dbać o siebie?

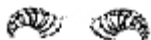
– Jasne – rzucił Drelich z uśmiechem. – Zacznę od wymycia rąk.

Obiad minął im na pogaduszkach o niczym. Kacper wtajemniczył teściową w swój plan odmalowania stodoły i obory, zaznaczając, że chciałby jak najdłużej utrzymać to w tajemnicy przed Tadeuszem. Pytania o samopoczucie i zdolność do pracy zbywał radosnymi komentarzami.

Po skończonym posiłku przeniósł farbę i wałki do komórki i starannie przykrył starymi, powycieranymi kocami. Teściowa stała przy drzwiach, rozglądając się nerwowo. Kacper wyobraził ją sobie jako postawionego na czatach rekruta w nieco za dużym hełmie i z kurczowo ściskanym w spoconych dłoniach karabinem. Uśmiechnął się do tej myśli. Raz jeszcze poprawił koc i dla pewności położył na wierzch połamaną drewnianą paletę. Zadowolony z siebie zamknął komórkę i wraz z teściową wrócił na ganek. W sam raz na deser.

Koło osiemnastej wrócili Tadeusz i Tomek. Wjechali ciągnikiem na podwórko, ile sił tłukąc w klakson i machając piracką flagą Tomka – mocno już powycieraną, ale nadal prezentującą się całkiem nieźle. Z pewnością zrobiliby jeszcze większe wrażenie, gdyby główni odbiorcy – rodzina Drelichów, a zwłaszcza czteroletni Gracjan – nie wybrali sobie tej właśnie pory na wizytę nad jeziorkiem. I choć po ich powrocie Tomek wykonał specjalną rundkę po podwórku, nie było to już jednak to samo.

Podczas kolacji Kacper wydawał się nieobecny. W końcu postanowił pójść na spacer, twierdząc, że musi sobie przemyśleć kilka spraw. Gdy wrócił, wszyscy już spali.



Wyłożona nierównym brukiem ulica pogrążona była w mroku. Gdzieś w oddali świeciły jakieś ocalałe latarnie, mdły blask przesączał się zza zaciągniętych zasłon kilku okien odrapanych kamienic. To wszystko.

Żadnych świateł przejeżdżających samochodów czy wystaw błyszczących od jarzeniówek. Nawet księżyc ukrył się tej nocy za czarnymi chmurami.

Padło. Deszcz lał się z nieba lodowatymi strumieniami, tak że cienka koszulka Kacpra w jednej chwili przemokła do nitki. Podobnie jak cała reszta.

Drelich wiedział, że śni. Pamiętał, jak kładł się do łóżka, jak przykładął głowę do poduszki. A teraz stał pomiędzy tramwajowymi torami, zastanawiając się, czy nie uciec przed deszczem do którejś z ciemnych i zapewne śmierdzących bram. Nie znał tej ulicy, miał jednak wrażenie, że to zlepek wszystkich ubogich dzielnic, w jakich musiał bywać w ostatnich latach. Jak to w snach.

Całkiem niedaleko rozległ się dźwięk dzwonu, ku zaskoczeniu Drelicha zwiastujący dopiero dziewiętnastą. Uniósł głowę, rozglądając się za źródłem dźwięku, i wtedy dostrzegł kościelną wieżę. Opuścił wzrok.

Przy drzwiach kościoła stał spory tłumek. Wszyscy próbowali wejść do środka, coś jednak wyraźnie im w tym przeszkadzało. Przepychali się więc i wciskali. Tylko niektórzy z nich, z pewnością bardziej zapobiegliwi, rozłożyli parasole i stali spokojnie z tyłu.

Już chciał ruszyć w tamtą stronę, gdy nagle usłyszał tuż za plecami najpierw krótki sygnał, a potem odgłos zamykanych drzwi tramwaju. Odwrócił się gwałtownie, ale nic nie dojrzał. Wzruszył ramionami i... Nagle poczuł ciepło. Przez chwilę miał wrażenie, że znajduje się w tłumie, gdzie z każdej strony ktoś go popycha i trąca. Słyszał przytłumione rozmowy, czuł zapach alkoholu i tanich hamburgerów. Trwało to raptem kilka sekund, a potem znów poczuł na plecach zimny deszcz. Dźwięki ucichły.

Kacper otrząsnął się i przypominając sobie, że to tylko sen, ruszył w stronę kościoła. Gdy był już zaledwie kilka metrów od drzwi, dostrzegł, że postaci stojące przy wejściu są niemal przezroczyste. Przez ich na wpol

materialne płaszcze i kurtki widział bruk i odrapane elewacje kamienic. Były lekko wykrzywione, jak w krzywym zwierciadle, ale wyraźne. Tylko oczy zjaw wyglądałyby na w pełni materialne, nawet zwyczajne, gdyby nie ich całkowicie czarne tęczęwki i płonące czerwienią źrenice.

Z umieszczonego nad drzwiami kościoła głośnika rozległ się głos kapłana.

– Módlmy się – polecił ksiądz, a stojący na zewnątrz tłumek pokornie pochylił głowy i złożył ręce.

Drelich podszedł jeszcze kilka kroków, chcąc wmieszać się w tłum. Zastanawiał się, jak widzą go ci ludzie. Czy dla nich również jest przezroczysty? A może taka eteryczność to tutaj norma i on, pełnokrwisty człowiek, wygląda w ich czarnych oczach jak jakiś odmieniec? I czy można mówić o pełnokrwistości podczas snu?

No właśnie, sen! Coś mu w nim nie pasowało. Jeszcze nigdy, śpiąc, nie mógł myśleć tak swobodnie. Dotychczas nawet wiedząc, że śni, czuł, iż tkwi uwięziony między przyczynami a skutkami. Tym razem było inaczej.

– Przepraszam – szepnął do starszego, wąsatego mężczyzny z parasolem.

Ten nie zareagował. Kacper chciał klepnąć go w rękę, ale jego dłoń po prostu wniknęła w ramię staruszka. Kolejny raz poczuł ciepło i tym razem wydało mu się, że słyszy bicie serca. Odskoczył jak oparzony.

Starszy mężczyzna wzdrygnął się i z niepokojem rozejrzał wkoło. Kilka zjaw posłało mu zaciekawione spojrzenia.

– Módlmy się w intencji tej mszy świętej za Monikę Kurczyk w piątą rocznicę śmierci – polecił kapłan – aby dobry Pan przyjął ją do swego królestwa. Ciebie prosimy...

– Wysłuchaj nas, Panie – dokończył gorliwie tłum zjaw. I nagle zrobiło się jasno.

– No wstawaj! – Agnieszka raz jeszcze szarpnęła go za ramię. Wyglądała na mocno podenerwowaną.

Kacper usiadł i mrugnął kilka razy, wypędzając z oczu resztki snu. Za oknem właśnie wstawało słońce.

– Co się stało? – zapytał zasnętym głosem. – Coś z małym?

Agnieszka pokręciła głową, odruchowo poprawiając ramiączko nocnej koszuli.

– Franek dzwoni – wyjaśniła. Mówiła szybko, z wyraźnym przejęciem. – Kazał mi za wszelką cenę zerwać cię z łóżka, bo musi z tobą pilnie rozmawiać. Mówi, że to sprawa życia i śmierci. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Skąd mam wiedzieć? – warknął Kacper. Odrzucił na bok kołdrę i spuścił nogi z łóżka. – Mówił, gdzie go łapać?

– Cały czas czeka przy telefonie – odparła.

Drelich poderwał się z łóżka, za chwilę był już w korytarzu. Zbiegł po schodach i podniósł odłożoną na bok słuchawkę telefonu.

– Tak?

– Kacper, kurwa! – rozległ się w słuchawce głos podinspektora. – Gdzie masz swój telefon?

– Zapomniałem go zabrać z domu – odparł Kacper. – Mów, co się stało.

– Jak szybko możesz tu być?

– Franek, do jasnej cholery, powiesz mi, co się stało? Bo właśnie, jeśli nie pamiętasz, wysłałeś mnie na urlop i Agnieszka...

– Josephine nie żyje – wyjaśnił krótko komendant.

Więcej nic nie musiał mówić, Kacpra niemal zamurowało. Odwrócił głowę i wtedy zobaczył, że jego żona usiadła u szczytu schodów. Kolana podciągnęła pod brodę, objęła je rękami, wpatrując się w męża z niepokojem. Wtedy na nowo poczuł wyrzuty sumienia. Był już niemal

pevien, że tamto nie wróci, że zakończyło się, a raczej on wszystko zakończył wraz ze sprawą w doku dziewiątym. A teraz...

– Drelich! Jesteś tam? – ponaglił go Franek.

– Jestem. Będę za jakieś dwie, może trzy godziny. Gdzie?



ROZDZIAŁ 4

Gdy Kacper spotkał Josephine po raz pierwszy, nie miał pojęcia, że jest ona prostytutką. Poznali się na przyjęciu. Oficjalnie – tak przynajmniej widniało na zaproszeniach – były to urodziny niejakiego Mieczysława Miedźwińskiego, legendy wśród maklerów i znanego powszechnie filantropa. W rzeczywistości jednak jubilat pojawił się tylko na moment, rzucił dwa – trzy słowa, po czym zniknął. I nikogo to chyba nawet nie obeszło. Wszyscy zebrani wiedzieli doskonale, że przyjęcie finansował miejski półświatek. Tu bawiły się władze, zarówno te oficjalne, jak i podziemne. Tych drugich zresztą dużo więcej. Prawdopodobieństwo trafienia liczącego się gangstera przy oddaniu jednego zaledwie losowego strzału było tak wielkie, że zakładu nie przyjąłby nawet najgłupszy bukmacher.

To tłumaczyło obecność Kacpra. Debiutujący jako *badguy*, ubrany w garnitur warty całą jego pensję, krążył niczym płotka wśród rekinów,

wypatrując, gdzie najlepiej się przyczepić, by szybko wyrobić sobie kontakty w przestępczych szeregach.

Tego wieczoru to ona dojrzała go pierwsza. Przez jakiś czas zerknęła w stronę Drelicha z drugiego końca sali, ale cały czas trwając przy swoim kliencie i uśmiechając się do jego przyjaciół. Gdy jednak pojawiła się pierwsza okazja, zaraz podeszła do Kacpra. Stała tuż za jego plecami, gdy sięgał po coś ze stołu, i zagadnęła...



– Przepraszam?

Kacper sięgający właśnie po chlebowe koreczki cofnął rękę i odwrócił się powoli.

Stała przed nim piękna, wysoka, na oko dwudziestopięcioletnia kobieta. Miała długie, falujące rude włosy i delikatną twarz z wyraźnymi kośćmi policzkowymi. Gdzieś na granicy pola widzenia mignęła mu w rozcięciu sukni zgrabna noga, ale starał się nie opuszczać wzroku. Nie ryzykował nawet spojrzenia w stronę głębokiego dekoltu, choć miał na to sporą ochotę.

Kobieta próbowała zachować powagę, ale zdradzały ją oczy. Rozbawienie w zielonych tęczówkach ani myślało się kryć.

– Czy mi się wydaje, czy jest pan tajniakiem? – zapytała.

Kacper uśmiechnął się, po czym ostentacyjnie powiódł wzrokiem wokół siebie.

– Tak właśnie – wyszeptał. – Przyszedłem rozliczyć się z bezprawiem. Jak pani na to wpadła?

– To proste. – Wzruszyła ramionami. – Jedyne przystojny facet na całej tej imprezie musi być tajniakiem.

– Ciekawe rozumowanie – pochwalił Drelich. – Ale to nie zawsze się sprawdza.

Ręką wskazał niskiego, chudego gościa około sześćdziesiątki, próbującego dwa stoliki dalej nalać sobie ponczu. Mężczyzna nazywał się Marek Wracz i był podobno głównym księgowym lokalnej mafii.

– To mój partner – powiedział Kacper.

Kobieta zerknęła we wskazanym kierunku i pokiwała głową. Uśmiechnęła się.

– Jest pan pierwszym, który miał tyle poczucia humoru, by podjąć tę zabawę. Gdyby pan zobaczył, jak reagują inni! Zupełnie jakby nazywając kogoś policjantem, przeklinało się jego matkę. Choć może tutaj, w tym gronie... Jestem piękna nieznajoma. – Wyciągnęła rękę do Drelicha.

– Przystojny detektyw – zrewanżował się. – Od niedawna w branży, więc nie znający jeszcze zasad. Za kilka dni też pewnie będę się na to oburzał.

– Oby nie – westchnęła. – Bo znowu będę musiała krążyć w poszukiwaniu rozmówcy. Proszę mi obiecać, że nie stanie się pan jak oni zgorzkniały i nudny. Szkoda by było.

Pogawędzili jeszcze przez chwilę na jakiś niezobowiązujący temat, potem jednak kobieta musiała oddać się, jak to określiła, smutnym obowiązkom. Kacper nie bez zdumienia stwierdził, że naprawdę jest mu przykro.

Spotykali się jeszcze kilka razy w trakcie przyjęcia. Josephine zapoznała go z kilkoma znaczącymi osobami – a także z całym tabunem nic nieznaczących – zawsze przedstawiając go jako przystojnego detektywa.

Wszystkich bawiło to niepomiernie. A najbardziej chyba jego samego.



Jak to się stało, że już na drugim spotkaniu wylądowali w łóżku, było dla Drelicha sprawą niepojętą. Może dlatego, że nie do końca miał wówczas świadomość, co właściwie robi.

Od miesiąca ubijał drobne interesy z mafią, jednak z każdym kolejnym spotkaniem coraz poważniejsze. Podczas którejś z takich biznesowych kolacji był świadkiem, jak jego kontrahenci ściągają haracz z właściciela pubu. Nie wiedział, dlaczego akurat wtedy, podejrzewał, że była to pokazówka. Spektakl dla jednego widza – dla niego właśnie. Z trudem zdobył się na utrzymanie pozy wyniosłej obojętności, bo wygląd twarzy okradanych ludzi, brak nadziei w ich oczach sprawiały, że czuł się podle. Do tego dochodziła jeszcze jego własna bezradność. Nie po to przecież został gliną, by teraz biernie się przyglądać... A jednak musiał.

Potem przyszedł czas na solidne opicie transakcji i długi spacer ulicami miasta, który dobrze po północy zaprowadził go prosto pod drzwi Josephine.

Wówczas wiedział już, czym ona się zajmuje. W półświatku trudno ukryć taki fakt, zwłaszcza że pracowała tylko dla najbogatszych i najbardziej wpływowych, toteż spędzanie z nią czasu było również wyznacznikiem prestiżu.

Nie wiedział, dlaczego przyszedł właśnie do niej. Może sprawił to alkohol, może świadomość, że nie może wyzalić się przed żoną. Bo jej i nie chciał, i nie mógł wtajemniczać w szczegóły nowej pracy. A może coś jeszcze innego – przyjemne uczucie, które zawładnęło nim, gdy ujrzał „piękną nieznajomą” po raz pierwszy. I wspomnienie słodkiego, aksamitnego głosu. Tego samego, który dobiegł go z głośnika domofonu.

– Kto tam? – zapytała nieco zdziwionym tonem.

– Arkadiusz Malicki – przedstawił się, używając swego „służbowego” nowego nazwiska. Zrobił to odruchowo, nie angażując nawet w części

wymęczonego alkoholem umysłu. Dobrze go wyszkolono.

– Bardzo mi przykro, ale nie znam pana – odpowiedziała Josephine. – i w związku z tym nie mogę pana wpu...

– Przystojny detektyw – wybąkał Kacper, przypominając sobie, jak przedstawił jej się wtedy, na przyjęciu. – To ja, przystojny detektyw.

Z głośnika dobiegł go śmiech kobiety, a zaraz potem rozległ się dźwięk otwieranych drzwi.

– Wejdz, proszę.



– Sama nie wiem, dlaczego cię wpuściłam – stwierdziła z uśmiechem, zamykając za nim drzwi. – Zwłaszcza że czuć ciebie wódką na kilometr.

Kacper wzruszył ramionami.

– Przez domofon nie czuć – odparł.

Zdjął kurtkę i powiesił ją na kołku wieszaka, ani na moment nie spuszczać wzroku z Josephine.

Ubrana była w długi, sięgający pół uda czarny sweter z golfem, a na nogach miała grube wełniane skarpety. Włosy związała w koński ogon. I zdaniem Drelicha, wyglądała jeszcze piękniej i seksowniej niż na przyjęciu.

Wskazała mu drogę do salonu.

– Rozgość się, a ja zaparzę ci kawy – poleciła.

Pokój gościnny urządzone był skromnie i zupełnie nie przypominał mieszkania Drelicha zarzuconego zabawkami, wczorajszymi gazetami i mnóstwem pamiątkowych drobiazków Agnieszki. Zupełnie jakby nikt tu nie mieszkał albo wprowadził się dopiero wczoraj.

Całe wyposażenie sprowadzało się do skórzanej kanapy, małego stoliczka ze stojącą na nim luksusową wieżą Yamahy, dwóch lampek w

przeciwległych rogach pokoju i rozciągniętego na białych kaflach podłogi dywanu o długim włosiu.

„Najlepsze produkty – przypomniał sobie reklamę jednej restauracji – starannie dobrane i przygotowane przez najznakomitszych kucharzy świata. Spróbuj, jak smakuje niebo”.

Zachichotał, choć właściwie skojarzenie było trafione. Ten pokój, to mieszkanie było niczym skrawek nieba. A anioł właśnie parzył mu kawę.

Ominął dywan w obawie, że zostawi na nim ślady, i rozwalił się na kanapie. Usiadł na czymś twardym, więc wsunął rękę pod pośladki.

Wydobył książkę. Miała twardą oprawę, z rodzaju tych, na które nakłada się jeszcze świecące, nikomu niepotrzebne okładki. Wybite dekoracyjną czcionką litery jakiś czas tańczyły przed jego zmęczonymi alkoholem oczami. Wreszcie ułożyły się w sensowny napis: ANGELA CARTER, „MAGICZNY SKLEPIK Z ZABAWKAMI”. Chwycił za sznurek zakładki i otworzył książkę na stronie sto siedemdziesiątej.

– Przemoc stała się w domu niemal namacalna – przeczytał na głos, z trudem składając rozbiegane litery. -Drżała na zimnych schodach i unosiła się niewidzialnymi chmurami z wytartych dywanów. Melanię nocami oblatywał strach, kiedy gasła jej błękitna latarnia, a łóżeczko Wiktorii majaczyło w ciemnościach niczym pułapka na szczury. Dygotała w pachnącej lawenda pościeli, błagając sama siebie, żeby spróbować wypocząć i nie myśleć o tej okropnej rzeczy, którą powiedział Finn. Że chce, żeby wuj go zabił, bo wtedy skazałby mordercę na potępienie. Pewnej nocy Melania wstała z łóżka, zapaliła światło i spojrzała na słodką, łagodną twarz Jezusa, Światłości Świata, wyobrażoną na obrazie nad kominkiem. Jezus uśmiechał się, choć skronie wieńczyła mu ciernista korona. „Słodki Jezu – powiedziała – pomóż mi. Pomóż nam wszystkim”.

– Piękne, nie?

Kacper podniósł wzrok i ujrzał Josephine stojącą w progu. W obu dłoniach trzymała granatowe kubki. Powoli ruszyła w jego stronę.

– Zostawił ją kiedyś któryś z klientów. Zajrzałam z ciekawości i zachwyciła mnie. Choć gdy przeczytałam później parę recenzji, okazało się, że kompletnie nic nie zrozumiałam – dodała ze śmiechem, stawiając kubki koło kanapy.

Gdy się pochyliła, Kacper mógł dostrzec skrawek jej bielizny. Poczuł, że przyjemne swędzenie w okolicy podbrzusza, które towarzyszyło mu od chwili, gdy znalazł się w mieszkaniu Josephine, teraz przybrało na sile. Nawet nie myślał już, jak zamaskować pęczniejące w kroku spodnie.

– Co prawda powieści są nieco słabsze – kontynuowała, prostując się. – Jakby nie do końca radziła sobie z natłokiem myśli, ale i tak każdą z nich pochłaniam z przyjemnością. Słodzisz?

Ostatnie słowo wypowiedziała, patrząc Kacprowi prosto w twarz. Uśmiechnęła się szeroko.

– Bo jeśli tak, zaraz...

Drelich nagle poderwał się z miejsca i złapał ją za rękę. Szarpnął i powalił na kanapę, niemal natychmiast przygniatając własnym ciałem. Przycisnął usta do jej ust. Prawą dłoń wciąż zaciskał na nadgarstku Josephine, lewą zaś wsunął jej między nogi. Mocnym, gwałtownym ruchem zdarł z kobiety bieliznę.

Nie szarpała się, ale i nie odwzajemniała brutalnych pocałunków. Zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie ud. Czekwała, aż skończy.

Kacper puścił jej nadgarstek, podniósł się lekko i podciągnął Josephine sweter pod szyję, odsłaniając piersi. Wziął jedną z nich do ust. Ssał łapczywie, równocześnie siłując się z zamkiem własnych spodni. Wreszcie

błyskawicznym ruchem zsunął slipy i wbił się w kobietę brutalnie i głęboko.

Alkohol i sięgające niemal zenitu podniecenie szybko zakończyły sprawę. Po kolejnych dwóch pchnięciach Drelich wyprężył się, odchylając głowę maksymalnie do tyłu. Jęknął cicho. Potem opadł, tuląc twarz w ramieniu kobiety i dysząc ciężko.

Josephine odczekała jeszcze chwilę, po czym wysliznęła się spod niego. Resztkami potarganej bielizny wytarła ściekające jej spomiędzy ud nasienie i wyszła z pokoju.

Gdy wróciła po kilku minutach przebrana w dzinsy i zapinany z przodu polar, Kacper siedział na kanapie ze wzrokiem wlepionym w podłogę.

Na jej widok poderwał się gwałtownie.

– Ja... to znaczy – jęknął się. – Ja naprawdę nie... znaczy nie chciałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie poprawiasz swojej sytuacji – stwierdziła. Usiadła na kanapie i podniosła kubek. Upiła łyk. – Będziesz tak stał?

Drelich pokręcił głową i usiadł.

– Przepraszam – wyszeptał. – Nie mam pojęcia, co... Josephine chwyciła go za podbródek i delikatnym ruchem zmusiła, by na nią spojrzał. Uśmiechnęła się lekko.

– Przyjmuję – powiedziała. – Ale tylko dlatego, że jesteś przystojnym detektywem. Za to następnym razem ma być jak w filmie. Kwiaty, muzyka i patrzenie sobie w oczy. Jak na pierwszej randce.

Nie czekając na odpowiedź, pochyliła się i sięgnęła po kawę.

– Pij, bo wystygnie.



Gdy przyjechał, Franka chwilowo nie było. Wydelegowany przez niego młody funkcjonariusz, równie świeży jak jego pachnący nowością mundur, najpierw wylegitymował Kacpra, a potem poprowadził go w głąb mieszkania. Prosto do sypialni.

– Muszę pana ostrzec, że to naprawdę makabryczny widok – powiedział, zatrzymując się w progu. Żeby wejść do środka, Kacper musiałby go popchnąć. I szczerze mówiąc, miał właśnie ochotę to zrobić. Jednak skrzywił się tylko.

– Widziałem już kiedyś faceta karmionego własnymi jelitami – odparł. – Jeśli to jest gorsze, to rzeczywiście nie chcę tam wchodzić.

Funkcjonariusz zrobił głupią minę, po czym błyskawicznie zszedł mu z drogi.

W sypialni pracowało intensywnie dwóch techników z dochodzeniówki. Pierwszy mazał pędzelkiem gdzie tylko mógł, drugi z aparatem przypominającym noktowizor na oczach i pęsetą w dłoni zbierał drobne ślady z kołdry.

Josephine leżała na środku łóżka.

Kacper przełknął ślinę i na moment zamknął oczy. Choć widok rzeczywiście był makabryczny, nie czuł obrzydzenia, a jedynie przejmujący smutek. Łzy same cisnęły mu się do oczu.

Ręce i nogi kobiety przykuto do poręczy łóżka kajdankami tak, by jej ciało rozciągnęło się w kształcie litery X. Kajdanki nie wyglądały zbyt solidnie, a na dodatek obręcze miały pokryte delikatnym czarnym futerkiem.

„Może niezbyt solidnie dla ciebie – skarcił się w myśli Drelich. – Dla niej, jak widać, wystarczyły”.

Trudno było zaprzeczyć, skoro pomimo tego wszystkiego, co zrobiono z nią później, nie zdołała się oswobodzić.

– Czy ktoś nagrał już raport? – Kacper zapytał technika z pędzelkiem, ocierając pot z czoła.

Policjant pokręcił głową.

– Zrobiliśmy zdjęcia, ale dyktafon się spieprzył i... – Bezradnie rozłożył ręce. – Będziemy musieli skorzystać z raportu chłopaków z kostnicy, oni i tak zawsze robią drugi.

Drelich włożył rękę do kieszeni i wydobyl z niej klucze wraz z brelokiem, małym cyfrowym dyktafonem. Włączył urządzenie.

– Raport z miejsca zbrodni. Zamordowana Jose... – Wyłączył urządzenie, ze zdumieniem odkrywając, że nie ma pojęcia, jak naprawdę nazywała się jego kochanka. Nawet na domofonie przyklejono tylko literkę „J”.

Drugi technik uniósł głowę znad szuflady.

– Tu są jej dokumenty, panie podkomisarzu – powiedział. – Nazywała się Monika Kurczyk.

Kacper miał wrażenie, że słyszał już to nazwisko, nie pamiętał tylko gdzie. A może jednak mu się przedstawiała, tylko nie pamiętał? Ponownie włączył dyktafon.

– Zamordowana Monika Kurczyk, zamieszkała...



...Ofierze wycięto język, który następnie przybito do łóżka nad jej głową. Nie znaleziono narzędzia, ale można przypuszczać, że były to nożyce, prawdopodobnie te same, którymi oprawca obciął ofierze włosy. Włosów nie znaleziono...

Kacper przycisnął STOP, potem PLAY i całe nagranie poleciało od początku.

Siedział właśnie w salonie na kanapie, po raz piąty słuchając swego sporządzonego beznamiętnym głosem raportu, i ostatkiem sił powstrzymywał łzy wściekłości. Oraz – choć ukrywał to przed samym sobą – poczucie winy.

...Na piersiach liczne rany cięte, prawy sutek obcięty...

Drelich przygryzł wargę.

„Choćby miało mi to zająć wieczność – przysięgał w myślach – znajdę cię, skurwielu. I będziesz zdychał przez tydzień”.

...Ofiara została zgwałcona. Posłużył do tego najprawdopodobniej leżący obok łóżka, zabrudzony krwią czarny wieszak ze znakiem...

Ktoś odchrząknął i Kacper błyskawicznie wyłączył dyktafon. Zerknął w stronę drzwi.

W progu stał wsparty o framugę Franek. Zupełnie jak wtedy Josephine. Tyle że nie miał kubka z kawą.

– I jak się czujesz? – zapytał. Kacper wzruszył ramionami.

Trolewski przeszedł przez pokój i usiadł koło niego. Gdy odezwał się kolejny raz, mówił cicho, prawie szeptał.

– Rozmawiałeś z nią przed akcją?

– Nie. – Drelich pokręcił głową. – Zerwaliśmy w zeszłym tygodniu. Powiedziałem jej, że jestem żonaty i nie mogę już dłużej oszukiwać, bo

czuję, że się spalam.

– A ona?

– Powiedziała, że rozumie. – Wbrew wysiłkom Kacper się rozpląkał. – Tak po prostu. Powiedziała, że rozumie i nie ma żalu, bo od początku wiedziała, że to się tak skończy. A potem poprosiła, abym wyszedł.

– Znaczący wyrzuciła cię?

– Nie, kurwa! – Drelich prawie wrzasnął. – Poprosiła, abym wyszedł! Zauważasz chyba tę subtelną różnicę?

Funkcjonariusz przechodzący właśnie przez przedpokój zajrzał do środka, ale odprawiony gestem komendanta zaraz się wycofał. Kacper nie przestawał mówić: – Poprosiła, żebym wyszedł, bo chciała zostać sama. Tylko tyle. Żadnej awantury, wyrzutów, wrzasków, żadnych gróźb i wyzwisk. Tylko mała, cicha prośba i pocałunek w policzek na pożegnanie.

– Rozumiem, że się wkurzasz, ale wyluzuj – powiedział Franek cicho, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie chcemy, żeby ktoś wiązał cię z tą sprawą, prawda?

Drelich odwrócił głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

– Ja już jestem z tym powiązany – powiedział. – To przeze mnie zginęła.

– Co ty bredzisz?

– Nie widzisz? Obcięto jej włosy jak kiedyś zdrajczyniom i wyrwano język. Zamordowali ją, bo uznali za kapusia. Bo udzieliła mi kilku informacji. Nieświadomie, przecież nawet nie miała pojęcia, kim jestem!

Podinspektor pokręcił głową.

– Równie dobrze to mógł być jakiś perwers, a ty poskładałeś to sobie, bo...

– A jak wytłumaczysz fakt – Kacper wszedł mu w zdanie – że ten perwers zaatakował właśnie wtedy, gdy zostałem złapany? Nie znali Kacpra Drelicha, ale kto wie ile mieli na Arkadiusza Malickiego. Potem to

przesłuchanie i... – przerwał na moment. – Mówiłeś, że w piwnicy nie było ciała.

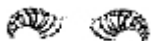
– Mówiłem też, że był tam ślad po wypalonym gościu, a ty mówiłeś, że koleś, który cię przesłuchiwał, na pewno nie żył.

– Tak wtedy myślałem – potwierdził Drelich. – Ale teraz nie jestem już wcale taki pewien. I jedyne, o czym myślę, to że powinienem być jej powiedzieć, kim jestem, że cała ta zabawa z przystojnym detektywem to nie gierka i że trafiła w samo sedno. Może wtedy postanowiłaby uciec. Może wciąż by żyła.

Kciukiem włączył odpięty od kluczy dyktafon, ale gdy znów usłyszał własny głos, cisnął brelok w kąt pokoju. Urządzenie uderzyło o ścianę i rozsypało się na kawałki.

– A wiesz co jeszcze? – powiedział, wstając. – Uśmiejesz się. Ja przewidziałem to wydarzenie. Śniła mi się modlitwa żałobna za nią, czytali tam jej nazwisko. Gdy chłopcy powiedzieli mi, jak się naprawdę nazywała, byłem przekonany, że kiedyś mi się przedstawiła i dlatego poznałem. Ale nie. Ja po prostu wyczułem jej śmierć, wyśniłem ją. Ktoś tam widać na górze również ma mnie za winnego.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z pokoju, zostawiając Franka sam na sam z leżącymi pod ścianą resztkami dyktafonu.



– ...Podobno to była jedna z tych, na które i roczna pensja by nie starczyła. Tysiąc za samo pokazanie cycków...

Z piątki policjantów w kuchni czterech wyraźnie świetnie się bawiło, popijając kawę.

– Co tu się dzieje?! – warknął Kacper na ich widok.

– Przecież kuchnia już zrobiona, panie podkomisarzu – zdziwił się jego wybuchem szpakowaty sierżant. – Komendant nie miał nic przeciw.

Tak, Drelich wiedział, że komendant nie miał nic przeciw. Sam też nie miałby nic przeciw klubokawiarni na miejscu zbrodni, gdyby nie chodziło o TO miejsce, o zbrodnię na NIEJ. Wymruczał coś o zmęczeniu i przerwany urlopie, a potem tylko stał przy blacie nad kubkiem parującej herbaty i w milczeniu wpatrywał się w wiszące na ścianie noże. Nie miał najmniejszej ochoty uczestniczyć, nawet biernie, w toczącej się za jego plecami rozmowie. Nie miał też jednak szczególnego wyboru. Ani myślał jechać do domu, a w mieszkaniu Josephine jedynie kuchnia pozostała dla niego względnie znośnym miejscem. Pozostałe budziły zbyt wiele wspomnień.

– Pewnie nawet prezydenta nie było stać na wszystko. Pomyślcie, ile musiałyby nachwytać łapówek, żeby zapakować jej w tyłek.

Zebrani w kuchni zarechotali, a Kacper mocniej ścisnął kubek z herbatą, obracając się na tyle, żeby posłać autorowi ostatniego komentarza nienawistne spojrzenie. Był to ten sam młody policjant, który go wcześniej legitymował, a potem wprowadzał. Teraz jednak nie wyglądał już tak wyniośle jak wtedy przy drzwiach. Rozpiął mundur i podwinął rękawy, a z jego twarzy ani na moment nie zniknął głupi, szeroki uśmiech. Jak u szympansa.

„To nie jedyne, co cię łączy z małpą, dupku” – pomyślał Drelich.

Młody policjant wyłapał jego spojrzenie i zdumiony uniósł brwi.

– Czy coś nie tak, panie komisarzu? – zapytał. Kacper nie odpowiedział. Odwrócił głowę i ponownie skupił wzrok na nożach.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Wszyscy w kuchni popatrzyli po sobie, nie kryjąc zdziwienia.

– Ślepy jakiś? – mruknął któryś. – Taśm nie widzi?

– Pewnie jakiś klient – stwierdził stojący najbliżej wejścia niski wąsacz o śniadej cerze. O ile Kacpra nie myliła pamięć, na imię miał Roman. – Założę się, że strasznie napalony i brałby ją nawet teraz.

Ruszył ku drzwiom odprowadzany kolejną salwą śmiechu.

Wrócił po chwili, wzruszając ramionami.

– Sąsiad – wyjaśnił pozostałym. – Dopiero wrócił i chciał wiedzieć, co się stało.

– Skąd wrócił? – zapytał nagle Kacper, odstawiając kubek i ponownie się odwracając. Jego głos, niewiele głośniejszy od szeptu, przypominał syk węża. – I jak długo go nie było?

– A skąd mam to niby wiedzieć? – odparł Roman pełnym zdziwienia głosem. Było w tym pytaniu coś jeszcze, coś bliźniaczo podobnego do lęku. Popatrzył po kolegach, jakby szukając w nich wsparcia. Milczeli, więc sam dodał: – Kazałem mu spadać i...

Drelich uderzył pięścią w kuchenny blat i niemal pobiegł w stronę drzwi wyjściowych.

Tak jak się spodziewał, na korytarzu nie było już nikogo. Odruchowo zerknął w stronę windy, chociaż wiedział, że jest nieczynna. Jeśli ów sąsiad chciał wyjść z budynku, pozostawały mu schody. A to znaczyło, że Kacper miał jeszcze szansę go złapać.

Może faktycznie był to tylko sąsiad, ale Drelichowi coś mówiło, że powinien z nim porozmawiać. Na przykład o tym, co robił dziś przez cały dzień.

Ta myśl, brzmiąca jak tandetna kwestia z podrzędnego kryminału, rozbawiła Kacpra. Pieprzony Philip Drelich Marlow! Brakowało mu tylko prochowca.

Dopał schodów i wyjrzał przez poręcz. Z początku nie widział nikogo. Przypomniał sobie, że ciekawski sąsiad właśnie skądś wrócił. Pewnie siedzi

teraz przed telewizorem, zastanawiając się przelotnie w reklamowej przerwie, co też spotkało tę ślicznotkę z jego piętra.

„Poza tym nawet nie zapytałeś, jak wyglądał. Po czym go poznasz, Sherlocku?” – zapytał jakiś głos w głowie Kacpra.

Jakieś dwa piętra niżej Drelich dostrzegł jakiś ruch. Ktoś schodził na dół. Mężczyzna. Kacper mocniej wychylił się przez barierkę.

– Proszę pana! – zawołał. – Czy mógłby się pan zatrzymać na chwilę?

Mężczyzna przystanął i zadarłszy głowę, spojrzał w górę. Tylko na chwilę, ale Drelich zdążył zauważyć śniadą twarz ozdobioną starannie przyciętą hiszpańską bródką. Twarz, która wyrażała zdumienie i... niepokój. Jakby właśnie nastąpiło coś, co wytrąciło go z równowagi.

– Jestem z policji. Chciałem tylko o coś zap...

I w tym momencie facet rzucił się do ucieczki. Kacper odbił się rękami od poręczy i najszybciej jak mógł pognał za nim. Pędził, zeskakując po trzy, czasem cztery stopnie, przeklinając własną głupotę i modląc się w duchu, by los nie podstawił mu teraz nogi.

Na szczęście nie podstawił. To mężczyzna z bródką zderzył się z kimś. Przez chwilę słychać było serię stłumionych przekleństw potwornie zasapanego człowieka.

– Policja! Stój, bo strzelam! – Drelich sięgnął po broń.

Ale tamten go nie słyszał, Kacper nie miał co do tego złudzeń. Najpewniej zanim okrzyk zdążył wybrzmieć, był już po drugiej stronie ulicy, a może nawet dobiegał właśnie do którejś z wielu okolicznych zabytkowych bram. Tam, wspierając się o zimną ścianę i dysząc ciężko, mógłby przeczekać pościg. A potem najpewniej ruszyć gdzieś przed siebie i zniknąć na zawsze.

Na to Kacper za nic nie chciał pozwolić, ale jego wymęczony organizm, jak i leżące na schodach jabłka z papierowej torby potraconego na schodach

krzykacza skutecznie go spowalniały. Właściwie był przekonany, że dalsza gonitwa nie ma najmniejszego sensu. Mimo to wcisnął pistolet z powrotem do kabury i pobiegł dalej.

Ciężko dysząc, wypadł na ulicę, lecz ta była niemal pusta. Na przeciwległym chodniku ktoś pochylał się do połowy zanurzony w samochodzie, a kilka metrów na lewo szła, mijając właśnie jedyny otwarty o tej porze sklep spożywczy, para młodych ludzi. On miał na sobie skórzaną imitację kurtki lotniczej i zupełnie nie przeszkadzało mu, że temperatura oscylowała wokół dwudziestu stopni. Ona, ubrana w letnią sukienkę w kwiaty, ani na moment nie przestawała szczebiotać. Choć Drelich nie słyszał słów, mógł się założyć, że są to babskie, szkolne plotki. Wyczytał to ze znudzonej miny chłopaka.

Po mężczyźnie ze schodów, tak jak podejrzewał, nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Mimo wszystko powiódł wzrokiem po ciemnych bramach i wnękach starych kamienic, uważnie przyjrzał się ozdobionemu żywopłotem murowi, przez który nie przeskoczyłby nawet mistrz skoków o tyczce. Wreszcie ruszył w stronę pary... i nagle przystanął na środku jezdni. Tylko na sekundę, ale to wystarczyło. Dostrzegł w jednej z bram drgający cień. Przypomniał sobie zdziwioną minę mężczyzny na schodach. Tamten sprawiał wrażenie zaskoczonego, że ktokolwiek czegoś od niego chce. Zupełnie jakby spodziewał się, że kretyńscy policjanci o nic nie będą go pytać. Jakby zgadł i jakby... wiedział.

– Hej, przepraszam! – zawołał Kacper, sięgając jednocześnie do kieszeni po dokumenty. Brama, w której czyhał uciekinier, znajdowała się jakieś dwadzieścia – trzydzieści metrów na lewo. Niby niedużo, ale w tej sytuacji, w jego stanie, uciekający miał potężną przewagę. Drelich musiał rozegrać to ostrożnie. Powoli podszedł do pary.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam – starał się mówić spokojnie, co utrudniał mu jednak przyspieszony oddech. – Jestem z policji. – Zamachał legitymacją. – Nie widzieliście tu przed chwilą kogoś szybko biegnącego? Mężczyzna ubrany na czarno.

Mówił głośno, licząc, że i odpowiedź słyhać będzie w bramie. Bo musieli coś widzieć. Jeśli na dodatek powiedzą prawdę, uciekinierowi nie pozostanie nic innego jak ucieczka, a wtedy, cóż... Kacper musnął ręką przypiętą do paska kaburę i rozejrzał się. Nie widział na ulicy zbyt licznych świadków, za to wciąż miał przed oczami zamęczoną Josephine. Tym razem nie będzie litości...

Chłopak w lotniczej kurtce wysunął się krok do przodu, delikatnie chowając za siebie dziewczynę.

„Jak prawdziwy bohater” – pomyślał Drelich z uśmiechem i kolejny raz dyskretnie zerknął w stronę bramy. Nic nie zauważył.

– Chwilę temu, tak? – zapytał chłopak, uważnie przyglądając się odznace. – Był taki jeden i pobiegł tam.

Kacper jak na zwolnionym filmie widział rękę chłopca wskazującą właściwą bramę i w tym samym niemal momencie wypadającą z niej czarną postać. Facet pędził co sił w stronę końca uliczki. Czując gęstość powietrza, które w tej jednej chwili nabrało konsystencji syropu, Drelich sięgnął do paska, wyszarpnął broń z kabury, wycelował i strzelił, pudłując.

„Strzał ostrzegawczy mam już z głowy – pomyślał. – Teraz może tu przyjechać nawet cała wycieczka świadków”.

Mężczyzna nieco zwolnił i obejrzał się przez ramię. Potem znowu przyspieszył.

Kacper pognał za nim. Zgodnie z procedurą powinien jeszcze raz krzyknąć za biegnącym, ostrzec go, że jest policjantem, zwłaszcza że w oknach pojawili się pierwsi gapie. Gdyby uciekinier postanowił po

wszystkim go zaskarżyć, miałby do tego pełne prawo. I kto wie, może zrobi to, jeśli przeżyje. Tylko tego Kacper wcale nie był taki pewien. Mocniej zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Prawie nie czuł już zmęczenia, adrenalina szumiąca mu w głowie skutecznie wypychała wszystkie myśli. Teraz pozostał już tylko pościg.

Mężczyzna skręcił w krótką, wąską przecznicę po lewej i zaraz potem wypadł na główną ulicę. Ktoś zatrąbił na niego, gdy nieomal wpadł mu na maskę, zaraz potem ktoś inny z piskiem opon zahamował i rozległo się głośnie stuknięcie. Gdy na ulicę wypadł także Drelich, uciekający był już pod drugiej stronie, a chór klaksonów rozspiewał się na dobre.

– Stój, policja! – wrzasnął Kacper, licząc, że może znajdzie się jakiś bohater, który zastąpi ściganemu drogę. Ale krzyk jak zwykle wywołał zupełnie odwrotny skutek, wszyscy rozstąpili się przed biegnącym niczym weselny szpaler. Drelich zaklął pod nosem i zbierając resztkę sił, przyspieszył.

Na szczęście i on nie musiał przepychać się między ludźmi. Nie było ich niby aż tak dużo, ale tu liczyła się każda sekunda, każdy jej ułamek.

„Niczym faraon goniący Mojżesza przez Morze Czerwone – pomyślał Kacper. – Bylebym tylko nie skończył jak on”.

Tymczasem uciekinier dopadł skrzyżowania. Zwolnił na moment, bo właśnie zmieniły się światła i sznur samochodów ruszył gwałtownym zrywem niczym spłoszone bydło.

To była szansa Kacpra, a przynajmniej tak pomyślał w pierwszej chwili, bo zaraz potem zobaczył coś, co wydało mu się absolutnie niemożliwe. Ścigany mężczyzna wskoczył na maskę pędzącego opla, odbił się od niej i złapał za sznur plandeki ciężarówki jadącej środkowym pasem. Przez moment wisiał z nogami tuż nad jezdnią, by zaraz podciągnąć się i wdrapać

na dach. Zrobił to wszystko tak wprawnie, jakby wcale nie miał za sobą wyczerpującego biegu i jakby resztkę sił zostawił sobie na koniec.

– Kurwa! – zaklął Drelich z wściekłości i ze zdumienia. Schował broń do kabury. Zaczął obmacywać kieszenie, ale komórki oczywiście nie było, więc szybkim krokiem ruszył w stronę domu Josephine. Zanim tam dotarł, zaczęło padać.



– Mocno leje? – zapytał Roman jakby nigdy nic. Kacper minął go bez słowa, mimowolnie zaciskając zęby i pięści. Podeszedł do swojego kubka z herbatą. Zdążyła już wystygnąć, więc wylał ją do zlewu. Dolał wody do elektrycznego czajnika i włączył. Zaszumiało.

– I co? – odezwał się młody funkcjonariusz. – Co to było?

Kacper zerknął na niego niechętnie.

– No ten strzał – uzupełnił mundurowy. – To był gaźnik, nie?

– Tak, gaźnik – wycedził Drelich przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się i otworzył szafkę z przyprawami. Wyciągnął z niej woreczek z herbatą. Przez moment zastanawiał się, czy nie sięgnąć nieco głębiej, gdzie tuż za pojemniczką z kandyzowanym cukrem stała mała piersióweczka brandy. Josephine trzymała ją tam, jak to powiedziała: „na chwile, gdy świat okazuje się podły... lub bardzo zabawny”. Jednak Kacper odrzucił ten pomysł. Przecież nikt tu nie powinien wiedzieć, że pracował jako tajniak i bywał w tym domu. „Dlaczego nikt nie zapytał o tego gościa? – myślał. – Dlaczego nikt nawet nie kpi ze mnie, że za nim pobiegłem. Nic, ani słowa, jakbym wyszedł tylko na moment sprawdzić ten strzał”.

Czajnik pstryknął, oznajmiając, że zrobił swoje. Kacper podniósł go i nalał wrzątku do kubka, potem wrzucił do środka torebkę herbaty.

– Mogłeś go przynajmniej zapytać, o której wychodził – powiedział do Romana, nie patrząc w jego stronę. – i kiedy ostatni raz ją widział.

Na chwilę zapanowała niezręczna cisza. Drelich spojrział na zebranych w kuchni policjantów. Wszyscy jak jeden gapili się na niego zdumieni.

– O kim ty mówisz? – zapytał grubas zwany przez niektórych Bumpo. Kacper wiedział o nim tylko tyle, że żre jak ostatnia świnia i śmieje się, jakby ktoś odrzynał mu jaja. – Kogo zapytać?

– Naszego wspaniałego sąsiada. – Drelich z całej siły starał się panować nad głosem, ale nie szło mu to najlepiej. – Czy też może powinienem powiedzieć: „naszego pierdolonego zabójcę”.

Wbił wzrok w Romana, który cofnął się lekko, patrząc po kolegach. Był niższy i nie miał wsparcia w postaci sporej dawki adrenaliny. Wolał nie ryzykować.

– Nie mogłeś mu zadać choćby najprostszego pytania?! – Kacper wykonał krok w jego stronę, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. – Na przykład pod którym mieszka numerem? I o której wychodził?! Cokolwiek, co sprawiłoby, że się zawaha. Albo zawołać kogoś, kto zna się na robocie lepiej niż ty, kretynie. Takie trudne, co?! Za bardzo chciałeś wracać, żeby porobić sobie jaja z dziewczyny, która nie dałaby ci nawet za milion dolców. Prawda, zboczony pojebie?!

Ostatnie słowa wyrzesał Romanowi w nos, ich twarze dzieliło raptem trzydzieści centymetrów. Pozostali przyłgnęli do ścian, nie chcąc się mieszać.

„I dobrze – pomyślał Drelich, zaciskając pięść i szykując się do ciosu. – Ich pieprzone szczęście”.

Czuł, że mógłby roznieść ich wszystkich na strzępy. Powpychać im te durne komentarze z powrotem do gardeł. Bo Josephine zasługiwała na

szacunek. Jedna martwa dziwka była warta więcej niż wszyscy oni razem wzięci.

I wtedy dostrzegł Franka. Stał w przedpokoju i patrzył. Nie zamierzał reagować, widać to było po postawie, jaką przyjął, ale miał w oczach coś, co zmusiło Kacpra do opuszczenia ręki i rozluźnienia dłoni. Cofnął się o krok.

– Won – powiedział tak cicho, że Roman chyba go nawet nie usłyszał.

Jednak mina podkomisarza w zupełności wystarczyła. Policjant wyciągnął przed siebie otwarte dłonie, odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Chwilę potem jeden po drugim wyszli niemal wszyscy, zgodnie uznając, że czas najwyższy wracać do pracy. W środku został tylko Drelich. Ręce zwiesił wzdłuż tułowia, opuścił głowę i dyszał ciężko. Zupełnie jakby w tym właśnie momencie opadło go zmęczenie po pościgu.

Trolewski wszedł do kuchni i położył mu rękę na ramieniu.

– To nie był najlepszy pomysł, żeby cię tu ściągać – powiedział. – Teraz jedziemy do domu. Daj kluczyki któremuś z chłopaków, niech odstawi twój wóz pod mój blok. Dziś nocujesz u mnie.

Otworzył lekko usta, na wypadek gdyby Kacper chciał zaproponować, ale ten skinął tylko głową. Nie miał już siły, żeby się sprzeciwić przyjacielowi. I za nic nie chciał zostać sam.

Satyr – wejście trzecie

Leżał na łóżku z rękami pod głową i z rozmarzonym uśmiechem na gnijącej powoli twarzy wpatrywał się w sufit. Maskę, którą traktował już prawie jak swe prawdziwe oblicze, powiesił na stojącym na szafce budziku. Jego fosforyzujące wskazówki rzucały nikłe zielone światło na leżącą obok

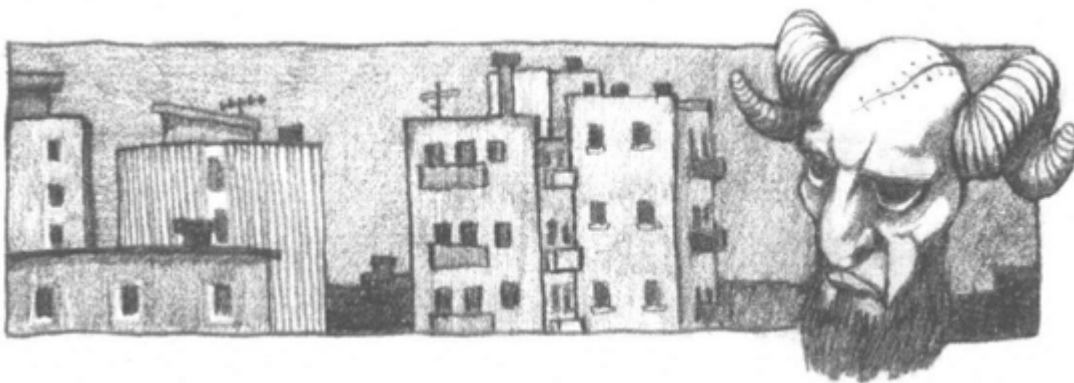
gazetę, z której spoglądały wyszczerzone twarze pracowników ekologicznych patroli.

Satyr westchnął.

– Ślicznie się urządziłeś, brachu – powiedział na głos. – Naprawdę ślicznie. I aż szkoda ci to wszystko niszczyć.

Spuścił rękę z łóżka, sięgając po oprawione w ramkę zdjęcie, które odłożył tam chwilę wcześniej. Podniósł je i raz jeszcze przyjrzał się dwóm pokoleniom wesolej rodziny siedzącym na traktorze Tadeusza. Postukał palcem w twarz Tomka robiącego szwagrowi różki i wybuchnął śmiechem. Rechotał długo i głośno, aż pożółkła ślina pociekła mu strużką po brodzie. Otarł ją rękawem, a rękaw wytarł w kołdrę.

– Niestety muszę, jak rozumiesz. – Wstał, postawił zdjęcie na szafce i zdjął maskę z budzika. Nałożył ją. – I zrobię to kawałek po kawałeczku, brachu. Aż będziesz gotów.



ROZDZIAŁ 5

– Jutro z nim pogadam – zapewnił Franek, gdy wracali do domu – i jeśli rzeczywiście tak to wyglądało, to beknie aż miło. Ale ja naprawdę nie słyszałem żadnego dzwonka. Dziwne, nie? Musiałem przysnąć na stojąco.

Kacper, od dłuższego czasu wpatrzony w okno, tylko lekko wzruszył ramionami.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – stwierdził.

– I podkurzeni. – Trolewski włączył kierunkowskaz i zjechał na podjazd stacji benzynowej. – A propos, dzwoniła Agnieszka i martwi się jak szlag. Powiedziałem jej, że oddzwonisz. – Wyciągnął z kieszeni telefon. – Najlepiej zrób to teraz.

W pierwszej chwili Drelich miał szczerą chęć odmówić. Rozmowa z żoną, udawanie, że wszystko jest w porządku, było chyba ostatnią rzeczą, na którą miał teraz ochotę. A przecież inaczej rozmawiać z nią nie mógł. Mimo to wziął telefon i wysiadł z samochodu. Wystukał szybko numer

teściów, ale jak stwierdził przy wybieraniu połączenia, wcale nie musiał. Franek miał ich w pamięci telefonu pod „KD AZYL”. Kacper odczekał dwa sygnały i już chciał się rozłączyć, gdy ktoś jednak odebrał.

– Tak, słucham – powiedział Tadeusz zaspianym głosem. Drelich dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest już prawie pierwsza.

– To ja, Kacper, mogę rozmawiać z Agnieszką?

– Pewnie! – w głosie teścia Kacper usłyszał ulgę i radość. Solidnie musieli się martwić. – Już ją wołam.

Trolewski skończył właśnie tankowanie, zakręcił wlew i ruszył do kasy. Drelich odprowadził go wzrokiem.

– To ty, kochanie? – rozległ się nagle głos Agnieszki. – Martwiłam...

– Wiem, skarbie – przerwał jej Kacper, kolejny raz tego wieczoru czując się jak ostatni dupek. – Ale niepotrzebnie. To tylko zwykła sprawa. Trochę paskudna, bo... – urwał i dopowiedział sobie w myślach z wisielczym humorem: „...bo to była moja kochanka i właśnie ktoś zgwałcił ją wieszakiem, poharatał i wyciął język za to, że kiedyś niechcący powiedziała o dwa słowa za dużo”. – ...bo to rodzina kogoś ważnego i mamy stan najwyższej gotowości – dokończył na głos. – Ktoś trochę makabrycznie się zabawił, no i...

– Nie wiem, czy chcę tego słuchać – teraz to ona mu przerwała. – Powiedz tylko, że nic ci nie grozi.

– Nie bardziej niż zwykle – odparł. Dostrzegł, że podinspektor zapłacił już za benzynę i dokupił jeszcze dwa batoniki. Stary, dobry Franek.

– ...szenie.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. Możesz powtórzyć?

– Powiedziałam, że to raczej marne pocieszenie, ale lepsze takie niż żadne. Uważaj na siebie.

– Ty też, kochanie. Muszę już kończyć, ale zadzwonię rano. Pa!

Przez chwilę wydawało mu się, że już zakończyła połączenie, i sam miał zamiar zrobić to samo, gdy wtedy właśnie Agnieszka dodała: – Kocham cię, wiesz? Bardzo.

– Ja ciebie też. – Nie skłamał, ale i tak niechęć do samego siebie jeszcze się nasiliła. – Idź już i śpij dobrze. Dobranoc.

Rozłączył się. Franek zdążył już wrócić, więc tylko podał mu telefon nad dachem.

– Załatwione – stwierdził.

Podinspektor skinął głową i podał mu batonika.

– Wsiadaj – rozkazał. – Musimy złapać trochę snu. Jutro czeka nas kurewsko zły dzień.

Kacper skinął głową i nie wiedzieć czemu roześmiał się. KUREWSKO zły. A to dobre!



Drogą szedł mały chłopiec. Mógł mieć osiem albo dziewięć lat, raczej nie więcej, choć jego mina mogła sugerować coś zupełnie innego. Wyglądał jak ktoś, kto poznał tajemnicę. Dorosłą tajemnicę. W ręce niósł niewielką białą kopertę. Trzymał ją mocno, ale z wyczuciem, jakby było w niej coś cennego i delikatnego.

Kacper stał na wzniesieniu kilka metrów od niego, na tej samej wysypanej żwirem wiejskiej drodze, i przyglądał się chłopcu z zaciekawieniem.

„Co tam masz, mały?” – zapytał w myślach, a zaraz potem powtórzył na głos: – Co tam dorwałeś, cwaniaczku?

Chłopiec oczywiście nie usłyszał. Jak to w snach. Mijając wzniesienie, omal nie wszedł w Drelicha, ten jednak w porę uskoczył na bok. Ostatni raz

zerknął w stronę wsi, z której niewątpliwie szedł dzieciak, po czym ruszył za nim.

Wiedział, że koperta zawiera w sobie coś ważnego i że powinien poznać jej zawartość, zanim się obudzi. Liczył więc na to, że chłopiec okaże wolę współpracy i zajrzy do środka, zanim dotrą do oddalonego o około kilometr lasu. Ale nic z tego! Mały szedł sztywnym krokiem, z wyprostowaną głową, a dorosła mina nie zniknęła z jego twarzy.

Tuż przed samym lasem, zanim jeszcze dzieciak dotarł do tabliczki oznaczającej początek bądź koniec wioski, skręcił w stronę niewielkiej i mocno zdewastowanej drewnianej kapliczki Matki Boskiej. Przeżegnał się pospiesznie przed pozbawioną połowy twarzy i ochlapaną czerwoną farbą figurą. Za nią na tylnej ścianie ktoś tą samą czerwoną farbą napisał: „Ostatni okres niepokalanej”.

Chłopiec przysiadł w cieniu kapliczki na sporym żółtym kamieniu. Kacper podszedł, oparł rękę na podstawie figury i z uwagą przyglądał się dzieciakowi.

Ten sięgnął do koperty i wydobyl z niej zarysowaną kartkę papieru. Wyglądała jak mapa. Przyjrzał jej się uważnie, po czym uniósł głowę, wstał, podbiegł kilka metrów przed siebie i zniknął w zaroślach.

Po chwili rozległo się stamtąd głośnie brzęczenie i nad krzakami Kacper zobaczył czarną chmurę owadów. W pierwszej chwili był pewien, że chłopiec niechcący wdepnął w jakieś strącone gniazdo os czy pszczoł, ale zaraz okazało się, że to muchy. Czarne i tłuste. Widywał takie dość często na wsi nad zwłokami potraconych psów czy kotów. Tadeusz i Tomek nazywali je muchosępami albo trupojadkami.

Drelich niespiesznie podszedł do krzaków, rozchylił je i aż się cofnął. W tym momencie był naprawdę wdzięczny, że to tylko sen. Dwa metry przed nim siedział przywiązany do drzewa mężczyzna, z całą pewnością martwy

już od kilku dni. Nieszczęśnikowi, podobnie jak figurze Matki Boskiej, brakowało z pół twarzy, a także niemal całej prawej ręki i sporej porcji organów wewnętrznych. Wyszarpnięte z brzucha jelita ciągnęły się na kawałek przed nim, zupełnie jakby coś złapało je, próbowało gdzieś zawlec i dopiero po kilku nieudanych próbach postanowiło dać sobie spokój. A co najgorsze, Kacper znał tego człowieka. Znał całkiem dobrze.

Szczur w pełni zasługiwał na swoje przezwisko. Był mężczyzną średniego wzrostu, o pociągłej twarzy i lekko odstających uszach. Włosy nosił obcięte krótko, na trzy, może pięć milimetrów. Podobnej długości miał też kocią bródkę, którą starannie pielęgnował każdego ranka. Ubrany był zwykle na modłę jednej z młodzieżowych subkultur, w dzinsy, skórę i bluzy w jaskrawych, wyzywających barwach – przeważnie czerwone.

Najbardziej szczurze miał oczy. Ciemne, niemal czarne tęczówki, niespokojne ruchy gałek – wyglądał, jakby cały czas był gotowy do ucieczki lub ataku. Co zresztą bardzo się w jego fachu przydawało. Szczur był bowiem prywatnym detektywem i ulicznym kombinatorem. Słowem – wtyka.

Nie o takim fachu marzył, ale i nie narzekał. Zawsze cenił sobie wolne zawody. Jak zwykł mawiać sam do siebie w przypiływie zadowolenia: „Raz policjant, raz gangsterek – tak wygląda szczurzy berek”. Na dodatek miał wrodzony talent do poznawania ludzi. A gdy już raz kogoś poznał, to nie zapominał. Nigdy.

Szczur zgasił papierosa na ścianie, o którą się opierał, i splunął.

– Kurwa! – zaklął, gdy kilka zimnych kropel wpadło mu za kołnierz, ale się nie poruszył. Przywykł, że należy ograniczać gesty. Taki wąż czy nawet pies – ponoć jak się nie ruszasz, ledwie cię widzą. A to on miał widzieć ICH, nie ONI jego.

Pod hotel po przeciwnej stronie ulicy zajęła taksówka. Nie było szczególnego ruchu, więc Szczur bez problemu dostrzegł portiera z parasolem i dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach za przeszklonymi drzwiami budynku. To na nich czekał. Zerknął na zegarek, wydobył z kieszeni dyktafon, włączył i dyskretnie, jakby odkasłując, szepnął: – Dwadzieścia minut po północy. Casanovą znajduje się w holu i pewnie zaraz wyjdzie. Na razie ani śladu po Pani Śliczniutkiej, ale gdzie może jechać taksówką po północy? Jego samochód wciąż jeszcze na parkingu. Szukuje się dobry wieczór.

Jeden z mężczyzn odrzucił głowę do tyłu, wybuchając śmiechem. Drugi, również się śmiejąc, wskazał ręką taksówkę. Obaj ruszyli w jej stronę.

Rozstali się przy samochodzie, przystając pod parasolem portiera i podając sobie dłonie. Jeden z nich wsiadł i wóz ruszył.

Szczur rozdeptał leżący w kałuży niedopałek. Nie musiał się przesadnie spieszyć. Oczywiście jeśli mężczyzna jechał tam, gdzie detektyw myślał, ale o to mógłby się założyć. Musiał co prawda wybrać jedno spośród trzech miejsc, ale w końcu widział, w której przecznicy zniknęła taksówka.

Jeśli zaś Casanovą wracał do domu... to dziś w nocy i tak nic z fotek nie będzie. Szkoda, ale za to miał szansę zdążyć na końcówkę maratonu z Bogartem. Strasznie żałował, że niemal na pewno minęła go już „Afrykańska królowa”, koniecznie chciał ją zobaczyć na dużym ekranie. Naprawdę lubił ten film. Wzruszał go.

– Hej, szefie! – zawołał ktoś z głębi ciemnej uliczki na lewo.

Detektyw odruchowo odwrócił się, ale nikogo nie dostrzegł. Przecznica była nieoświetlona, a u samego jej wylotu zobaczył kontener na śmieci. Pewnie „szef” krył się właśnie za nim.

– Wybacz, stary, ale nie mam czasu. – Szczur ponownie splunął i wzruszył ramionami. – A poza tym i tak nie mam drobnych.

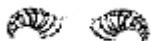
Coś poruszyło się za śmietnikiem i detektyw usłyszał dźwięk, jakby ktoś dyskretnie odchodził w głąb uliczki.

Uśmiechnął się. Nieśmiały żebrak, a to dobre! Wykonał obrót na pięcie i zdążył zrobić może dwa kroki, gdy nagle coś zaszumiało za jego plecami, a potem rozległ się odgłos upadającej butelki.

– Co, u dia... – zaczął zdumiony, kiedy nagle poczuł czyjąś dłoń na ustach i ostry ból na wysokości nerek. Szarpnął się, ale niewiele to dało. Uścisk był mocny i pewny, a w ślad za pierwszym ukłuciem poszło następne. I kolejne. Szczur zdążył tylko pomyśleć, że przecież nikt nie mógł poruszać się tak szybko. Przecież dopiero co patrzył w ten pierdolony zaułek...

Poczuł, jak krew napływa mu do ust. Zakręciło mu się w głowie. Ból był nie do zniesienia. Nawet nie wiedział już, ile razy został pchnięty.

Chciał zapytać: „Za co?”, ale nie mógł. Nie zdążył. Bezwładnie osunął się na ziemię.



Kacper leżał w ciemnym pokoju i patrząc w sufit, usiłował uspokoić tłukące się w piersi serce. Oczywiście, że sam to sobie zasugerował, a jego podświadome lęki wypełzły na wierzch podczas snu. Znał te wszystkie psychologiczne brednie, tylko co z tego?! Nie mógł tak po prostu zerwać się z łóżka i pognać do Franka jak dzieciak przerażony sennym koszmarem.

Nie mógł, ale z drugiej strony po latach pracy w policji Drelich miał zawodowy instynkt, który z zasady nie zawodził, a teraz wył i dzwonił jak oszalały. I to jemu właśnie, nie pseudopsychologicznym wyjaśnieniom postanowił zaufać.

Podniósł się z łóżka i sięgnął po leżące na krześle spodnie. Naciągnął je, obmyślając słowa, jakimi przekona podinspektora do wszczęcia

poszukiwań Tomasza „Szczura” Stępowskiego.

„Wiesz, Franiu – pomyślał, uśmiechając się mimowolnie – i ja też wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale od czasu tamtej piwnicy mam sny i widzę ludzi, którzy mają umrzeć. Zabawne, nie? I wiesz, co mi wyszło? Następny na liście jest właśnie Szczurek, ta mała pierdolona gnida, która własną matkę sprzedabyła za paczkę fajek. A wiesz, dlaczego zginie? Bo był moim informatorem w sprawie dziewiątki. Tak jak Josephine. I jak ci się to podoba?”

Cicho przeszedł przez przedpokój. Drzwi do sypialni Trolewskiego były lekko uchylone, więc tylko je popchnął i odruchowo sięgnął ręką do włącznika światła. I w tej pozycji zamarł.

Franek leżał na plecach z rękami na kołdrze. Spał, oddychając głęboko i miarowo jak jakiś drwal pozbawiony trosk i odpoczywający po dniu ciężkiej, ale w gruncie rzeczy miłej pracy. Uśmiechał się nawet lekko. Tyle że to nie był ten sam Franek, któremu Kacper życzył dobrej nocy jeszcze trzy godziny temu.

Ten leżący na łóżku miał ręce tak chude, jakby właśnie został wypuszczony z obozu koncentracyjnego. Sznury żył odznaczały się na nich niczym bluszcz oplatający zmurszałe kolumny. I dłonie były zupełnie nie te same – Franek zawsze obgryzał paznokcie, to był jedyny nałóg, którego nie potrafił zwalczyć, a starzec miał je długie i wypiełgnowane. Przypominały szpony.

„Jak u Maksa Schrecka w starym »Nosferatu«, – przemknęło Kacprowi przez głowę.

Nogi podinspektora były co prawda przykryte, ale po wybrzuszeniach na kołdrze Drelich mógł z łatwością stwierdzić, że są one niewiele grubsze od rąk.

Zupełnie na przekór kończynom brzuch i głowa wyglądały, jakby ktoś je nadmuchał. Kacper był niemal pewien, że gdyby Franek zapragnął nagle wstać, nogi załamałyby się pod nim. Nie ugięły, a po prostu połamały jak źdźbła pod naciskiem kamienia.

Najbardziej przerażająca była głowa. Nie dość, że Trolewski został ogolony na łyso i pozbawiony brody, to jeszcze jego napuchnięta czaszka zapadła się lekko w samym środku, tak że nabrała kształtu nieudolnie narysowanego serca. Z jego nosa wystawały dwie rurki błyszczące w świetle księżyca niczym zaschnięte smarki.

Zupełnie nie wiedząc, że to robi, Kacper zapalił światło i... wszystko na powrót było w porządku. Franek znów był sobą. Potężnym, brodatym sobą. Teraz także błyskawicznie rozbudzonym i zaniepokojonym.

– Coś się stało? – zapytał, patrząc na przerażoną twarz przyjaciela. – Coś z Agnieszką?

Drelich pokręcił lekko głową niezdolny wykrztusić słowa. Chwilę trwało, zanim w końcu się przemógł.

– Szczur – wysapał. – Musimy znaleźć Szczura.



Znaleźli. Telefon z zawiadomieniem o odkryciu zwłok mieli już koło szóstej rano, a niecałe pół godziny później mogli zobaczyć ciało na własne oczy.

W porównaniu z Josephine trup Szczura wyglądał całkiem nieźle. Właściwie gdyby nie bordowa kałuża krwi, można by uznać, że odsypia jakąś popijawę. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnej z dziesięciu ran kłutych. Tylko ta krew...

Kacper stał kilka metrów od ciała wsparty o wóz Franka i popijał podaną mu przed momentem kawę. Był zbyt odrętwiały, żeby myśleć. Stał więc

spokojnie, gapiąc się to na zwłoki, to znów na migające na ścianie odbicie koguta radiowozu, i nasłuchiwał.

– W zaułku znaleźliśmy jego, przepraszam za wyrażenie, wybebeszony portfel... – Kierowca radiowozu, młody, korpulentny blondyn, jeden z dwóch policjantów, którzy pierwsi dotarli na miejsce zbrodni, bardzo się starał nie pominąć żadnego szczegółu. Był wyraźnie dumny, że oto po wszystkich tych nudnych patrolach nareszcie ma okazję wykazać się w prawdziwej policyjnej robocie. – Odniosłem jednak wrażenie, że nie chodziło tu o rabunek. Pod podszewką znaleźliśmy bowiem dwie stówy. Poza tym – zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, tak że Kacper ledwo usłyszał – nikt nie morduje w ten sposób, gdy chce tylko buchnąć portfel, prawda?

Franek przytaknął, podziękował i polecił uważać na gapiów, aby nie przechodzili za linię. Sam odsunął się od zwłok, robiąc miejsce przybyłej właśnie ekipie dochodzeniowej. Część z nich Drelich widział zeszłego wieczoru w mieszkaniu Josephine. Pracowali tam jeszcze, gdy Kacper z Frankiem wychodzili, więc raczej sobie nie pospali.

Komendant podszedł do swojego samochodu. Jego mina mówiła wyraźnie, że ma ochotę zadać pytanie, którego wcześniej nie zadał, choć być może powinien. Mimo to milczał, pozwalając, by Kacper odezwał się pierwszy.

– Zastanawiasz się pewnie, skąd wiedziałem, co? Trolewski skinął głową, nie patrząc nawet w jego stronę. Z uwagą przyglądał się działaniom dochodzeniówki.

– Wiesz, to trochę dziwne, ale... – Drelich zawahał się i w jednej chwili stracił odwagę, by powiedzieć prawdę. Machnął ręką. – Zresztą nieważne. Nazwijmy to instynktem. Mam wrażenie, że ci, co mnie złapali, wiedzieli doskonale, kto mi pomagał, i teraz ich koszą.

Komendant ponownie skinął głową i tym razem się odwrócił. Spojrzał Kacprowi prosto w oczy.

– Przyszło mi to do głowy – powiedział. – Pewnie gdybym nie był tak zmęczony, sam bym wpadł na to, żeby poszukać Szczura. Wiesz jednak, co mnie tak naprawdę zastanawia? Kiedy przyszedłeś z tą informacją do sypialni, bałeś się czegoś jak cholera, wyczytałem to z twojej twarzy. Zupełnie jakbyś zobaczył ducha, a nie wydedukował właśnie na chłodno, kto może być następną ofiarą naszego mordercy.

Kacper wzruszył ramionami, starając się wyglądać na zobojętniałego. Nie szło mu najlepiej.

Szykował już gładko brzmiącą odpowiedź, gdy któryś z techników podniósł się nagle i zamachał na Franka.

– Panie komendancie, może pan tu podejść?

– Już idę! – zawołał Trolewski, a ciszej dodał: – Trochę żałuję, że cię ściągnąłem z powrotem, wiesz? Ale teraz już chyba nie zechcesz wracać, co?

Drelich zerknął na zwłoki, a przed oczyma stanął mu obraz zakrwawionego wieszaka z mieszkania Josephine. Nie jej samej, tylko tego pierdolonego wieszaka...

– Nie – powiedział, zgniatając w dłoni kubek po kawie. – Nie zechcę.



W niecałą godzinę później znaleziono narzędzie zbrodni. Nóż, a właściwie nożyk do papieru, wyglądem przypominał sztylet. Rękojeść miał zdobioną szklanymi imitacjami rubinów, a na ostrzu starą, już niemal zatartą sentencję. Prawdopodobnie po łacinie.

– Oryginalne, nie ma co – stwierdził Kacper, biorąc do ręki woreczek z nożykiem. Obejrzał go dokładnie przez folię. – Prawie jak szpikulec do

lodu w „Nagim instynkcie”.

– Tak – zgodził się Franek. – Tylko że tam przed śmiercią była jeszcze zabawa i ładna panien... przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć. Świnia jestem.

– W porządku. – Drelich uśmiechnął się i oddał narzędzie zbrodni. – Ale rzeczywiście jesteście świnia. Są odciski?

– Cała masa. Ale jeśli będzie za dużo różnych, to gówno nam to da. A na to się właśnie zapowiada. Poza tym dziadostwo leżało w kanale i to mogło trochę pozacierać najświeższe ślady. – Podinspektor klepnął Kacpra w ramię, ruszając w stronę furgonetki z obwoźnym laboratorium. – Sprawdzimy.

Drelich w to nie wątpił. Franek był zawodowcem i otaczał się zawodowcami.

„No, może z małym wyjątkiem – pomyślał Kacper – nie, łamago? Że niby zdobyłeś stopień oficerski i miałeś kilka sukcesów? Dawno i nieprawda. Teraz jesteś tylko chodzącym, uzalającym się nad sobą wrakiem. Do tego wariujesz. Weź się lepiej do roboty, zamiast tu sterczeć!”

Tyle że tak naprawdę nie miał zbyt wiele do zrobienia. Zebrali już wszystkie ślady, jakie zdołali dostrzec, a teraz wszystko leżało w tym jakże szpanerskim obwoźnym laboratorium. Mogli tylko czekać na wyniki i próbować coś z nich potem posklejać. Jak zwykle.

Pośród gapiów Drelich wypatrzył młodego księdza i nagle uzmysłowił sobie, że dawno nie był już w kościele. Właściwie od początku historii z Josephine. Zupełnie jakby od spotkania z nią zapomniał o rozmowach z ojcem Janem, opętaniu, egzorcyzmach i wszystkich tych bredniach, które pozbawiły go sporej porcji wspomnień. A przecież miał się pilnować, wszak jak mawiał ojciec Jan: „Zło lubi wracać na stare śmiecie”. Kto wie, może właśnie wróciło... i stąd te sny i wizje?

Naraz przed oczyma stanęła mu pielęgniarzka z poderżniętym gardłem. Miała rozmytą twarz, jakby była jedynie odbiciem w wodzie. Przez moment patrzyła na niego, by zaraz przemienić się w upiornie postarzoną wersję Agnieszki. Po krótkiej chwili twarz jego żony zaczęła pęcznieć, siwe włosy wypadać, aż stała się nocnym obliczem Franka. Głową w kształcie serca, z zielonkawymi jak smarki rurkami w nosie.

Spróbował odgonić od siebie tę myśl, skupiając się na czymś innym, na czymkolwiek. Raz jeszcze powiódł wzrokiem po gapiach i zupełnie przypadkowo kolejny raz wyłowił w tłumie księdza. Młody duchowny notował coś skrupulatnie, co jakiś czas zerkając w stronę ekipy... i ciała.

Zdaniem Kacpra, coś z nim było nie tak, ksiądz wyraźnie z kimś mu się kojarzył. Z kimś, kogo widział całkiem niedawno. A dokładniej...

Nagle wszystkie tryby zaskoczyły na swoje miejsce i już wiedział, był pewien. To jego gonił wczoraj w nocy. Widział tamtą twarz tylko przez moment, ale nie mógł się mylić.

Dyskretnym ruchem sprawdził, czy broń jest dobrze zamocowana, i powoli ruszył w stronę taśmy, starając się sprawiać wrażenie, że chce porozmawiać z pilnującym porządku funkcjonariuszem. Kątem oka cały czas zerkał na duchownego. Nie miał pojęcia, jak się do niego dopcha niezauważony, ale teraz chciał tylko dotrzeć na tyle blisko, żeby przyrzeć się dokładnie jego strojowi. Co prawda ksiądz był ubrany w typową czarną koszulę z koloratką i marynarkę, ale niektóre zgromadzenia nosiły wpięte w klapę znaczki, a nawet miały specjalne kroje marynarek. To mógł już być jakiś ślad.

Strój duchownego nie miał jednak żadnych znaków szczególnych. Zresztą nawet gdyby miał, Kacper ruszył ku księdzu za późno. Ten pospiesznie, ale bez śladów paniki odwrócił się i zaczął przeciskać przez

tłum. Ludzie robili mu miejsce i równie szybko zajmowali pustą przestrzeń za jego plecami.

Nie czekając dłużej, Drelich wydobył dokumenty i przeszedłszy przez taśmę, ruszył w ślad za duchownym. Ręka z uniesioną legitymacją robiła swoje – ludzie, choć niechętnie, rozsuwali się na boki jeszcze szybciej nawet niż przed księdzem.

Po chwili stał już na szerokim chodniku, rozglądając się na lewo i prawo. Duchownego jednak nigdzie nie było, zupełnie jakby rozpułnął się w powietrzu. Kacper zaklął i z całej siły kopnął w wybrzuszoną połówkę pękniętej płyty chodnikowej. Poczul ból, jakby ktoś nagle wbił mu w stopę setkę igieł. Kulejąc lekko i wciąż klnąc pod nosem, zaczął się ponownie przeciskać przez tłum.

Franek wysłuchał cierpliwie wszystkiego, co Kacper miał mu do powiedzenia na temat tajemniczego księdza, ale sądząc po jego minie, nie traktował doniesienia jako szczególnie rewelacyjnego dla sprawy. Historia z wczorajszym pościgiem, skakaniem na ciężarówce i teraz znikaniem w biały dzień tym bardziej go nie przekonała. Zanim się odezwał, powoli i delikatnie przejechał ręką po brodzie. Drelich wiedział, że podinspektor robił tak zawsze, gdy podejmował decyzje, do których nie był przekonany. Coś jak umywanie rąk Piłata.

– Założmy, że to rzeczywiście ten sam facet – powiedział i powiódł wzrokiem po uczestniczących w rozmowie policjantach przy furgonetce. Specjalnie wybrał to właśnie miejsce, bo samochód osłaniał ich od tłumy. Poza tym w laboratorium był ekspres do kawy, a czuł, że tego dnia jest gotów pobić swój kofeinowy rekord. – Ale mamy tylko jego rysopis, i do tego niezbyt szczegółowy.

– To się zdarza, nie każdy ma wąsy i tatuaże – burknął nieco zniecierpliwiony Kacper. – Nic na to nie poradzę, że wyglądał zupełnie

przeciętnie.

Franek skinął głową.

– Właśnie to miałem na myśli. Oczywiście nie mamy nawet pewności, czy naprawdę jest księdzem. A jeśli to przebieraniec...

– To możemy być pewni, że po drugiej wpadce zmieni strój i na nic nie przyda nam się rysopis. – Z wozu wyjrzał Hirek, szef laboratorium. Oprócz Kacpra tylko on miał niepisane prawo od czasu do czasu przerywać komisarzowi.

Pozostali zgodnie pokiwali głowami. Franek uśmiechnął się lekko.

– Ale oczywiście nie założymy też z góry, że zabójca nie jest duchownym, i sprawdzimy wszystkie parafie ze szczególnym zwróceniem uwagi na te, gdzie księża nie noszą habitów. Traszczak, Burski, Mieliński i Gwarek... – urwał na moment i przyjrzał się uważnie czterem policjantom, jakby nie był pewien, czy dokonał słusznego wyboru. – To będzie wasze zadanie. W miarę możliwości zorganizujcie też zdjęcia, gdyby ktoś choć trochę odpowiadał opisowi. Kacper, opisziesz im podejrzanego jeszcze raz powoli i dokładnie.

– Jasne. – Drelich wzruszył ramionami, dziwiąc się, że Trolewski mówi mu o takich oczywistościach, ale nie zamierzał komentować poleceń.

Komendant zerknął na Hirka.

– Kiedy pojawi się ktoś zabrać to cholerne ciało?

– Utknęli gdzieś w korku – odparł szef techników. – A ja powiedziałem im, że nie muszą się jakoś potwornie spieszyć, bo i tak niewiele nas blokują. Nie sądzę, żeby sekcja wykazała jakąś rewelację. Aha, grupa krwi na nożu zgadza się z krwią ofiary. Ściągnęliśmy też odciski, ale na wyniki trzeba jeszcze poczekać. Będziecie tu?

– Ja nie – pokręcił głową Franek. – Zaraz będzie u mnie oficer prasowy, mamy przygotować oświadczenie dla mediów. Aż dziw, że jeszcze nie ma

tu tych hien, ale na pewno się zjawią. A ty, Kacper, co będziesz robił?

Drelich zamyślił się przez moment. Właściwie to mógłby upiec kilka pieczeni na jednym ogniu, wpadając do klasztoru ojca Jana. Sprawdzi, czy staruszek aby nie wrócił, zasięgnie trochę języka, a może i uspokoi się wewnątrz. Bóg jeden wiedział, jak bardzo było mu to potrzebne.

– Pokręcę się trochę po mieście – odparł. – A potem wpadnę do domu i wezmę parę rzeczy. – Uśmiechnął się. – Myślę, że kilka najbliższych nocek spędzimy na komendzie, nie?

Franek odpowiedział uśmiechem i skinął głową.

Kacper poczekał, aż zostaną rozdzielone wszystkie zadania, po czym ruszył w stronę miasta. Tym razem zanim zdążył dojść do taśmy, tłum rozstał się, tworząc tunel, którym swobodnie mogłoby przejść dwóch ludzi.

Do klasztoru Jezuitów były jakieś dwa przystanki albo kwadrans piechotą. Drelich postanowił się przejść. Miał parę rzeczy do przemyślenia.

Satyr – wejście czwarte

Rudy szedł skrajem drogi. Dżinsową kurtkę miał zapiętą, ręce wcisnął w kieszenie spodni. Gdy wychodził z mieszkania, było jeszcze ciemno i mimo lata naprawdę lodowato. Dozorca zamiatający podwórze nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, bo Słęczkiewicz miał ze sobą jedynie swój wytarty wojskowy plecak i nic nie wskazywało, że właśnie postanowił zniknąć z miasta. Do tego nie płacąc rachunków za ubiegły miesiąc.

Wydarzenia z poprzedniego dnia miały na tę decyzję pewien wpływ, jednak wcale nie aż taki znowu duży. Rudy był skłonny uznać, że rzeczywiście to, co opowiadał Kacper, było wynikiem uzewnętrznienia się

jego lęków, a niekoniecznie wyznaniem win. A nawet gdyby było inaczej, mógłby przecież przyczaić się i poczekać, aż tamten wróci do miasta.

Prawda była jednak taka, że Słęczkiewicz chciał już stąd wyjechać, a wczorajszy dzień jedynie pomógł mu podjąć decyzję. Nic go w końcu nie trzymało, a i tak za długo się zasiedziało. Przez to kostniał i tracił czujność.

Szedł zamyślony, dopóki nie poczuł wilgoci. Pochylił głowę i zaklął.

Kawałek wcześniej skończyło się zwirowane pobocze i teraz brodził w mokrej od rosy trawie. Spojrzał na swoje doszczętnie przemoczone adidasy. Teraz pewnie będzie musiał czekać do południa, aż wyschną, a na razie przyjdzie mu maszerować w mokrych. No chyba że zatrzyma się ktoś, kto postanowi go podrzucić. Na to jednak nie liczył. Czasy były niebezpieczne, a jego wygląd nie wzbudzał zaufania.

Mimo to gdy dojrzał nadjeżdżające z naprzeciwka czarne volvo o przyciemnionych szybach, uniósł rękę i zamachał, uśmiechając się szeroko. Jeśli tylko facet zmierzał dalej niż do tej małej pipidowy, z której rudy właśnie wyszedł, to jechał we właściwym kierunku.

Samochód minął go, ale po kilkunastu metrach zatrzymał się, a zaraz potem cofnął. Od strony pasażera otworzyła się szyba i zaskoczony Słęczkiewicz poczuł słodki zapach zgnilizny.

– Dokąd to, kolego? – rozległ się chrapliwy, z lekka świszczący głos kierowcy.

– Pan wybacz. – Słęczkiewicz zrobił kilka kroków w tył. – Ale zamachałem odruchowo i...

Zaniemówił, gdy z samochodu wyjrzała zarośnięta, nieruchoma twarz kierowcy i jego pałające czerwienią oczy. Dopiero po chwili zorientował się, że to maska. Wtedy też zaczął przeczuwać, w jakie wpadł kłopoty.

Żołądek podszedł mu do gardła, i to nie tylko ze strachu. Smród zgnilizny dochodzący z wnętrza samochodu był nie do wytrzymania.

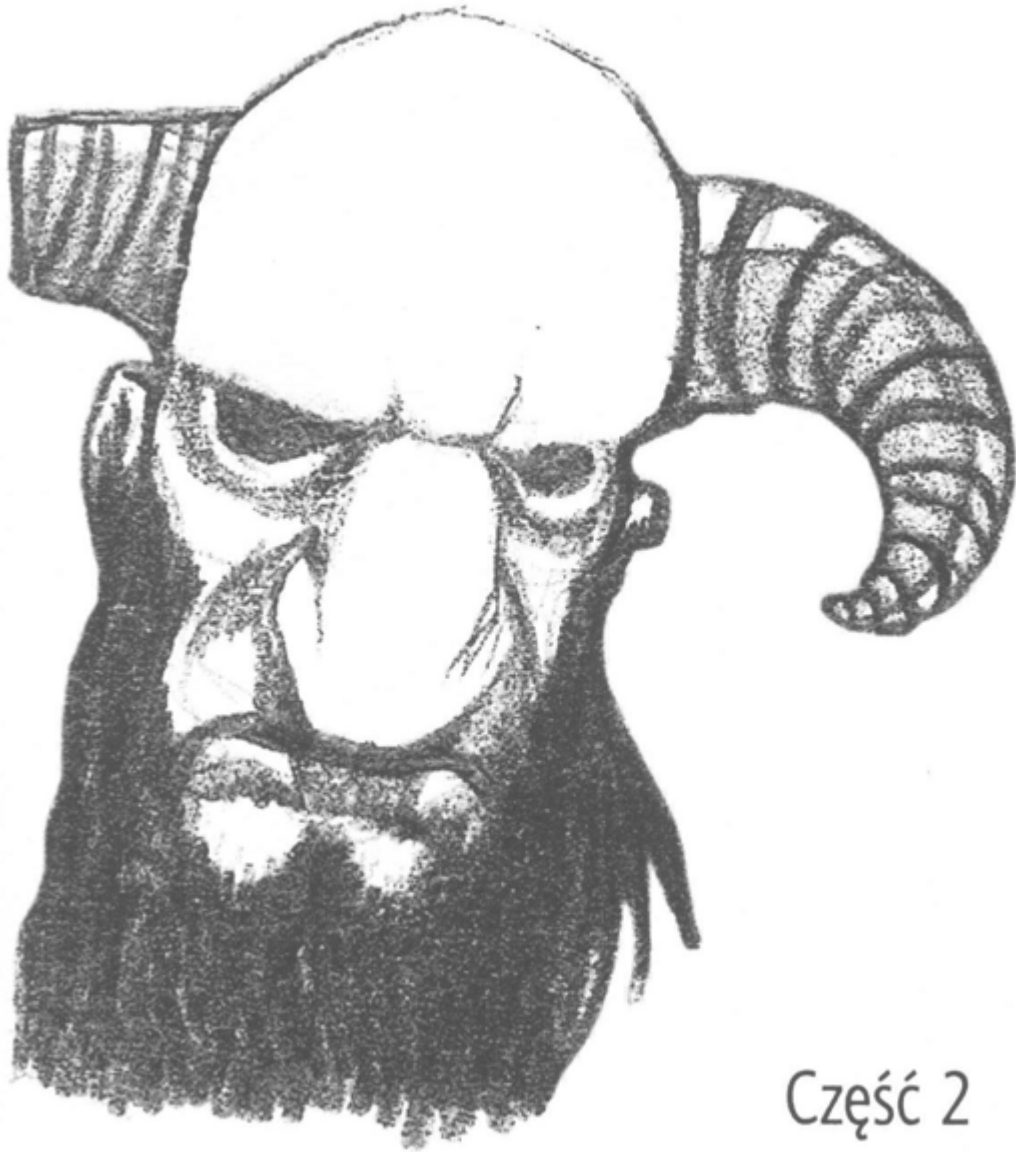
– Nie wierzę w przypadki, przyjacielu. – Kierowca sięgnął na fotel pasażera i podniósł dużą szarą kopertę z czymś kanciastym w środku. – Wsiadaj, pomożesz mi.

– Wybacz pan, ale...

Mężczyzna w masce włożył rękę w szczelinę między fotelami i wyjął stamtąd trzydziestkę ósemkę Grzegorza Wiernego. Wycelował w przerażonego Słęczkiewicza.

– Chciałeś, bym się zatrzymał, więc to zrobiłem – w głosie kierowcy dało się usłyszeć rozbawienie. – Teraz jesteś mi winien przysługę i widzę, że aż się palisz, by ją spłacić. Wsiadaj.

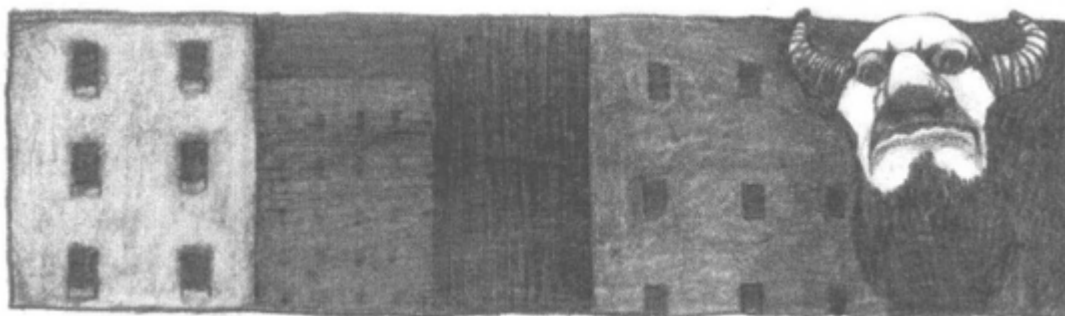
Rudy otworzył drzwi i wsiadł.



Część 2

*Pleased to meet you
Hope you guess my name
But what's puzzling you
Is the nature of my game
Sympathy for the devil*

Rolling Stones



ROZDZIAŁ 6

Drzewa zasadzone wzdłuż drogi nie dawały cienia, a na rozgrzanym asfalcie można było wycisnąć swoje inicjały. Odkąd kilka kilometrów dalej otworzono odcinek autostrady, ta kiedyś całkiem ruchliwa szosa nagle przestała być potrzebna. Teraz bywało, że i przez cały dzień nikt tędy nie jeździł. Więc i nikt nie zauważył kałuży krwi, która zebrała się w koleinie wygniecionej kołami ciężarówek.

Martwy chłopiec leżał z rozrzuconymi rękami, nienaturalnie skrzyżowany. Spodnie miał pełne odchodów, a z ust kapała mu krew.

Kacper zjawił się tu może kilka sekund po wypadku. Stał dokładnie na środku drogi, tak że zdążył jeszcze zobaczyć zabójcę.

Kierowca mógł mieć koło sześćdziesiątki. Krótko przystrzyżone włosy i starannie dobrana koszulka opinająca wciąż jeszcze nie zwiotczałe mięśnie dawały jasno do zrozumienia, że nie zamierzał łatwo poddać się starości.

Teraz mężczyzna zerknął na boki, czy na pewno nikt nic nie widział, a potem starannie obejrzał zderzak i maskę, oceniając uszkodzenia. Na

koniec podszedł do zwłok chłopca. Stał nad nimi krótką chwilę ze złożonymi rękami, po czym wykonał znak krzyża, wsiadł w samochód i odjechał. Zdaniem Kacpra, żaden z jego ruchów nie świadczył o panice, na którą z całą pewnością się powoła, jeśli mimo wszystko go złapią.

„Wiem, że źle postąpiłem, wysoki sędzie, ale nie myślałem, co robię, i po prostu stało się. Jakby zrobił to inny człowiek. Naprawdę nie chciałem go tak zostawić” – Drelich słyszał już tysiące podobnych tłumaczeń. Pierwszy raz jeszcze w szkole policyjnej, gdy był na praktykach w drogówce. I już wtedy podejrzewał, że z tą paniką to jedna wielka lipa. Teraz miał pewność.

Podszedł do chłopca i przyjrzał się jego twarzy. Z ulgą, ale i pewnym zdziwieniem stwierdził, że dzieciak nie jest podobny do nikogo, kogo znał. Czy to znaczyło, że ten sen nie był kolejnym zwiastunem? Dlaczego więc wyglądał zupełnie jak tamte? Ta niezwykła swoboda ruchu, pełna świadomość... no i oczywiście trup w roli głównej.

Kacper pochylił się nad zwłokami... i w tym momencie ktoś dotknął jego ramienia.



– Przepraszam pana – powiedział do Drelicha młody ksiądz, uśmiechając się niepewnie, jakby zawstydzony, że musi go budzić. To był ten sam, który siedział na furcie i wpuścił Kacpra do domu zakonnego Towarzystwa Jezusowego. – Ojciec Jan właśnie skończył odprawiać mszę i za chwilę przyjdzie do rozmównicy. To ten pokój na końcu korytarza, po lewej. – Wskazał ręką. – Prosił, żeby pan tam na niego zaczekał.

– Dziękuję księdzu bardzo – powiedział Drelich, wstając. Od spania w fotelu cały ścierpł, ale i tak czuł się lepiej niż rano. Pomyślał, że jeśli zdoła jeszcze wyłudzić kawę, zacznie swobodnie myśleć.

Przeciągnął się i przeszedł do rozmównicy.



Ojciec Jan był szczupły, miał srebrzystosiwie włosy, wysokie czoło i nosił okulary w wąskich oprawkach. Przez twarz nie przebiegała mu ani jedna zmarszczka, choć zdaniem Agnieszki musiał być stary – jego wiek krył się w spojrzeniu nienaturalnie wręcz błękitnych oczu. To były oczy kogoś żyjącego długo i przez swoje życie mocno doświadczonego. Gdy wszedł do rozmównicy, Kacper poderwał się z miejsca, zaraz jednak tego pożałował. Złapał się za bok i głośno wypuszczając powietrze, usiadł z powrotem.

– A tobie co? – zapytał zakonnik, podchodząc i ściskając mu dłoń. Sięgnął po krzesło i usiadł tuż przed Drelichem. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Tak też się czuję – przyznał Kacper. – Mamy ciężką sprawę i niewiele sypiam. Poza tym ostatnio trochę oberwałem.

– Połamali cię?

– Nie, ale mało brakowało. – Drelich machnął ręką. – Ale nie po to przychodzę, żeby gadać o tych paru siniakach. Niech mi ojciec powie, czy istnieje realna możliwość, abym dostał listę wszystkich kapłanów, jacy tu mieszkają na stałe, wraz z ich zdjęciami? Przydałoby się także, gdybym mógł zobaczyć wszystkich przyjezdnych, jeśli tacy teraz u was rezydują, i... Jezuita zmrużył oczy.

– Wątpię, by coś takiego było w moich kompetencjach. Trzeba by to raczej skierować gdzieś wyżej, uzyskać zgodę od generała zakonu. Na pewno nie da się tego załatwić od ręki. Zresztą po co ci coś takiego?

– Dokonano kilku morderstw. Świadkowie twierdzą, że na miejscu zbrodni widzieli księdza. Do tego dobór ofiar...

– Świadkowie? – Ojciec Jan był autentycznie zdumiony. – Świadkowie widzieli księdza?

Kacper uśmiechnął się.

– Tak. A kto inny miał go widzieć? Dlatego nazywamy ich świadkami. Bo widzą różne rzeczy. Właściwe pytanie brzmi, co tam robił ksiądz.

Zakonnik złożył ręce i przez chwilę przyglądał się Drelichowi uważnie.

– Kontynuuj – zachęcił w końcu. – Co to za morderstwa?

– Póki co nie wolno mi zdradzać szczegółów. Tak naprawdę niewiele jeszcze wiemy.

– Rozumiem. – Ojciec Jan pokiwał głową. – Cóż, zobaczę, co da się zrobić, ale to troszkę potrwa. Bierzecie oczywiście pod uwagę, że to mógł być przebieraniec?

– Bierzemy pod uwagę wszystko, ojcze. Stąd moja wizyta tutaj.

Ksiądz poprawił okulary.

– Jak już powiedziałem, zajmę się tym. Natomiast teraz pozwól, że zaproponuję ci kawę. Opowiesz mi, co tam u ciebie słychać? Dawno się nie widzieliśmy.

– Jeżeli mam mówić od czasu, gdy się nie widzieliśmy, to będzie długa opowieść – powiedział Kacper.

Ojciec Jan uśmiechnął się.

– Starym ludziom nigdzie się już nie spieszy.



Zaczęli od zwykłych pogaduszek, ale jak to zazwyczaj bywało w przypadku rozmów z księdzem Janem, i tak skończyło się na spowiedzi. Tym razem Kacper sam to zaproponował, ale mimo to grzech, który uważał za największy, zostawił sobie na koniec.

Trudno mu było opowiadać o Josephine. Nie dlatego, że wymagało to przyznania się do zdrady. Problem stanowiły raczej zbyt świeże wspomnienia z wczorajszej nocy, które nakładały się na inne, z czasów, gdy byli razem, a on cieszył się każdą szczęśliwą chwilą fałszywego życia. Jak cukrzyk pożerający słodczyce czy dziecko kłamiące jeszcze rankiem w dniu wywiadówki, by wyłudzić pieniądze na kino. Tak samo i Drelich nie przejmował się, że gdy tylko opuści mieszkanie „pięknej nieznajomej”, wyrzuty sumienia wrócą ze zdwojoną mocą, odbierając mu chęć powrotu do codzienności.

Mimo to opowiadał, starannie unikając wszystkiego, co miało związek z pracą, skupiając się na kochance i swoich uczuciach do niej. Z każdym słowem czuł z jednej strony, jak spada z niego ciężar, ale z drugiej uświadamiał sobie, z jaką łatwością rzucił na szalę swoje rodzinne szczęście. Przerażało go to.

Ktoś zapukał i w drzwiach pojawiła się głowa brata z furty.

– Ojciec – zaczął – przed chwilą dzwoniła matka Radka Tłucza. Pytała, czy mógłby ojciec przyjechać do niego z ostatnim namaszczeniem. Mówi, że to pilne, bo chłopiec gaśnie w oczach.

– Oczywiście, już tam jadę. – Zakonnik poprawił marynarkę i przejechał dłonią po koloratce. – Pewnie jak zwykle dzwoni od sąsiadki, więc niech jej ojciec powie, by wracała do chłopaka. Będę jak najszybciej.

Odwrócił się do Kacpra.

– Masz jeszcze chwilę? – zapytał. – Pojedziesz ze mną?

– Raczej nie. – Drelich wstał z krzesła. – Mamy masę pracy teraz i musimy... – przerwał na chwilę i zmrużył oczy. – Ojciec, w jakim wieku jest ten chłopiec?

– Radek? Jesienią skończyłby jedenaście lat. Przed oczyma Kacpra pojawiła się twarz chłopca ze snu.

– Chyba jednak pojedę z ojcem.



Ojciec Jan podobnie jak Franek nie należał do spokojnych kierowców, jednak w przeciwieństwie do jazdy z komendantem w matizie jezuita ani przez moment nie można było czuć się bezpiecznie. Kilka razy niemal cudem uniknęli wypadku, a gniewna kanonada klaksonów zegnała ich, gdy zjeżdżali z każdego niemal skrzyżowania.

Nie stwarzało to dobrych warunków do rozmowy, więc Kacper, mocno wtulając się w siedzenie, przymknął oczy, pozwalając im odpocząć. Jego myśli krążyły wokół chłopca, do którego właśnie jechali. Czy to możliwe, żeby to był ten sam dzieciak, który mu się przyśnił? A jeśli tak, to dlaczego? Do tej pory oba sny dotyczyły osób powiązanych bezpośrednio z nim. Dzieciak nie pasował do tego schematu. Z drugiej jednak strony jak można brać na logikę coś, czego nie da się żadną miarą wytłumaczyć?

Westchnął ciężko i wcisnął głowę w ramiona.

W tym samym niemal momencie ojciec Jan zatrzymał samochód. Byli na miejscu.



Gdy Kacper zobaczył Radka Tłucza, wbrew sobie odetchnął z ulgą. Leżący na łóżku dzieciak w niczym nie przypominał pyzatego chłopca z jego snu. Przede wszystkim ten tutaj, otulona kołdrą chudzina, sprawiał wrażenie dużo starszego niż tamten, dojrzalszego. Może przez półmrok panujący w pokoju, może przez brak włosów jego twarz wyglądała na bardziej pociągłą i jeszcze bardziej naznaczoną bólem.

Był spokojny, gdy przyszli, choć podobno jeszcze przed chwilą szarpał się i pojękiwał. Teraz jednak trwał w bezruchu, z głową zwróconą w stronę niewielkiego okna, jakby chłonał światło. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie.

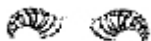
Drelich przyjrzał się uważniej Radkowi.

– Nie mruga – szepnął do ojca Jana. – Ojczy, on nie...

Zakonnik bezgłośnie, samym ruchem ust, nakazał: „Ani słowa”. Potem zwrócił się do matki chłopca, blisko trzydziestoletniej, krępej kobiety o pustych oczach i zbyt jaskrawym makijażu.

– Zadzwoń pani w samą porę – powiedział. – Jeszcze chwila i nie będzie go z nami. A teraz jeśli mógłbym zostać z nim sam na sam... Być może Radek będzie chciał się przed śmiercią pojednać z Panem. Tymczasem czy może pani poczęstować mojego przyjaciela herbatą?

Kobieta skinęła głową i wyszła z pokoju. Kacper, uśmiechając się smutno do kapłana, podążył jej śladem.



– To taki dobry chłopiec – mówiła pani Tłucz, stawiając przed Drelichem kubek gorącej herbaty. – Odkąd zmarł jego ojciec, pomagał mi we wszystkim. Ludzie nie wierzyli, że ma dopiero jedenaście lat. W zeszłym roku został ministrantem. Specjalnie jeździłam z nim aż do jezuitów, bo tutaj to nie ma dobrych księży.

Kacper nie za bardzo wiedział, co powinien powiedzieć kobiecie, do której nie dotarło jeszcze, że jej syn nie żyje. Ograniczał się więc do potakiwania i stonowanych uśmiechów, gdy opowiadała o co zabawniejszych przygodach chłopca.

– Ten wypadek to też dlatego, że mnie kochał – przerwała na moment. Sięgnęła po chustkę i wytarła oczy. – Przepraszam bardzo...

Drelich spojrział na nią z niepokojem, poprawiając się na krześle.

– Powiedziała pani wypadek? – zapytał. – Można wiedzieć, co się stało?

– Raz w tygodniu posyłałam go na basen – zaczęła. – Żeby było taniej, wracał pociągiem. Jego ojciec pracował na kolei, więc żadne z nas nie musi płacić za bilety, a to tylko jedna stacja jest, a potem kawałek na piechotę i już. Tylko że Radek przysnął, a że następna stacja dopiero kilkanaście kilometrów dalej, postanowił wyskoczyć wcześniej. Wie pan, on znał tę trasę i wiedział, gdzie pociąg jedzie najwolniej. Zrobił to, żebym się o niego nie martwiła, pan rozumie? Kacper pokiwał głową.

– Tylko że zahaczył nogą o schodek i źle upadł. Wciągnęło mu nogę, zarył też głową o ziemię. Potem leżał tam dość długo, zanim udało nam się go znaleźć. Stracił wtedy dużo krwi. A potem wdało się zakażenie, a lekarz powiedział, że w czaszce też coś mu popękało. Miał kilka operacji, ale...

Tym razem rozplakała się na dobre.

Drelich wyciągnął rękę i chwycił dłoń kobiety. Ścisnął mocno, a ona odwzajemniła uścisk. Zamrugowała kilka razy i uśmiechnęła się smutno.

– Przepraszam, że pana tym męczę.

– Nie męczycy pani, ja po prostu... – zaczął, ale za jego plecami rozległ się odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Po chwili w progu stanął ojciec Jan.

– Radek odszedł już do Pana.



– Dobrze go ojciec znał? – zapytał Kacper, gdy siedzieli już w samochodzie.

Ksiądz skinął głową.

– Całkiem nieźle. Był u nas ministrantem i grał w naszej drużynie piłkarskiej. Zresztą zajrzyj do skrytki. Powinien tam być album ze

zdjęciami.

– Tu? A, jest. – Drelich sięgnął do schowka. Otworzył album. Pierwsze było zdjęcie ojca Jana otoczonego chłopcami w piłkarskich strojach.

– To ten po mojej lewej – wyjaśnił jezuita. Zupełnie niepotrzebnie. Kacper rozpoznał Tłucza bez trudu, mimo że był zupełnie niepodobny do dziecka, które widział przed chwilą. Wyglądał tak samo jak chłopiec z ostatniego snu Drelicha.

– Myślę, ojcie – powiedział Kacper po chwili – że jest jeszcze coś, o czym musimy porozmawiać. I to chyba podchodzi pod działkę księdza.

Franek przeszedł przez przeszklone drzwi komendy, zostawiając za sobą stojących na schodach dziennikarzy. Dwaj mundurowi zaraz zablokowali drzwi, tak by żaden z pismaków nie dostał się do środka.

Zwykle gdy trzeba było złożyć oświadczenie, Franek wykorzystywał do tego drugą salę odpraw, która ślicznie odpicowana służyła jako wizytówka policji. Teraz jednak, gdy w końcu miasto przydzieliło trochę grosza na remonty, pierwsza sala była w malowaniu, a w „salonie dla hien” miała odprawę sekcja narkotykowa. Musiał więc gadać z pismakami przed wejściem jak w jakimś głupim amerykańskim filmie! Poza tym kto, do licha, spodziewałby się, że zabójstwo prywatnego szpicla i prostytutki wywoła aż takie zamieszanie?! Jak zdążył się zorientować z zadawanych mu pytań, brukowce zamierzały wykreować kogoś na modłę komiksowego Punishera walczącego samotnie w imię sprawiedliwości i wymierzającego samosądy.

Trolewski doskonale rozumiał, dlaczego ludzie pragną takich bohaterów czy antybohaterów – nieskrępowanych prawem jak policja, za to szybkich i skutecznych. Odpowiadając na pytania dziennikarzy, sam miał ochotę wyciągnąć giwerę. „Trzeba było powiedzieć im o teorii Kacpra z księdzem – pomyślał już na korytarzu. – Wtedy dopiero by się działo!”

W gabinecie miał nadzieję na chwilę spokoju. Ledwie jednak zdążył nasypać sobie kawy, zadzwonił telefon.

– Trolewski, słucham.

– Tu Talar – rozległ się ze słuchawki podekscytowany głos. – Mamy świadka w sprawie tej Kurczyk. Sąsiad, całe popołudnie nowe drzwi montował.

Podinspektor ledwie się powstrzymał, by nie zawołać: „Dawać mi go tutaj!”. Zamiast tego zapytał: – Widział coś podejrzanego? Może kogoś?

– Podobno tego popołudnia odwiedziło ją czterech facetów. Trzech z nich sąsiad czasem widywał na korytarzu, ale słuchając jego opisów, sędzę, że rysownik troszkę się namęczy, zanim zrobi sensowne portrety. Natomiast co do czwartego problemów z identyfikacją nie ma. – Talar zrobił krótką pauzę. – To Robert Giezaszczyk.

Franek oparł się lewą ręką o biurko i powoli osunął na krzesło.

– Mógłbyś powtórzyć? – poprosił.

– Robert Giezaszczyk – Talar ochoczo wykonał prośbę przełożonego. – Ten filantrop od ubezpieczeń, co to nam kiedyś radiowozy kupował i sprzęt do laboratorium.

Oczywiście nie możemy gościa sprawdzić, bo facet jest czyściutki i nie ma nawet punktów karnych od drogowki. Ale gdyby tak obserwacja...

– Oddzwonię za chwilę – powiedział Trolewski i odłożył słuchawkę.

Jakoś nie chciało mu się wierzyć, żeby to właśnie był ich sprawca. Znany ze swej hojności finansista, tytan pracy, bywalec teatrów, a do tego przykładowy katolik – taki wizerunek Giezaszczyka prezentowały media. Jakoś nie pasował do profilu zimnokrwistego mordercy.

Z drugiej jednak strony już sama jego obecność w domu Kurczyk była niezwykła i wielce zastanawiająca.

– Tak więc obserwacja na pewno – powiedział podinspektor na głos, skubiąc czubek nosa. – Co jeszcze?

Najchętniej wysłałby kogoś zaufanego, żeby przejechał się do firmy Giezaszczyka i zdobył szklanę z odciskami albo ściągnął je od razu ze słuchawki telefonu w biurze finansisty. Oczywiście nikt nie uznałby tego za dowód, ale Trolewski miałby chociaż pewność, że się nie myli. Siedział tak jeszcze przez chwilę zamyślony, po czym podniósł słuchawkę, aby zadzwonić do Talara. I nagle coś sobie przypomniał.

Zamiast z Talarem połączył się z laboratorium. Odebrał Hirek.

– Mówi komendant – powiedział Trolewski. – Słuchaj, czy ja dobrze pamiętam, że na otwarciu laboratorium zdejmowaliście odciski władzom miasta i sponsorom?

– Tak, robiliśmy coś takiego – przypomniał sobie laborant. – Taka tam szopka dla mediów, które chciały zobaczyć szychy z czarnymi palu...

– Macie to gdzieś jeszcze? – podinspektor wszedł mu w zdanie. – Potrzebuję, żebyś poszukał Roberta Giezaszczyka. Reprezentował wtedy Filar SA.

– Wszystko mamy w bazie, szefie – zapewnił Hirek. – I już sprawdzam. Można wiedzieć, do czego to potrzebne?

– Chcę, żebyś porównał je z odciskami z domu Moniki Kurczyk. I zadzwoń, jak będziesz coś miał.

– Jasne, szefie – odparł Hirek i się rozłączył.



Niedopita kawa Trolewskiego nie zdążyła wystygnać, gdy telefon zadzwonił ponownie. Podinspektor błyskawicznym ruchem poderwał słuchawkę. – Tak?

– To on – powiedział podniecony Hirek. – Mamy sukinsyna!

– Jesteście pewni?

– Jak Bóg na pierdolonych niebiosach. Podinspektor uśmiechnął się na te słowa.

– Więc faksuj dane – polecił – a ja załatwiam nakaz.

Robert Giezaszczyk, wiceprezes Filaru SA, jednej z największych i najbardziej zaufanych firm ubezpieczeniowych w kraju, pewnym krokiem wszedł do swojego biura. Jak zwykle na jego widok sekretarka zaczęła podciągać bluzkę, próbując ukryć zbyt mocno wycięty dekolt. Jej szef dawno już przestał być dla niej przystojnym, zadbanym czterdziestolatkiem w typie Pierce'a Brosnana, a stał się surowym, wymagającym pracodawcą, którego interesowały tylko krótkie rozmowy na służbowe tematy. I tak jego zdaniem być powinno.

Pamiętał, że gdy zjawiała się po raz pierwszy, uważała swoje piersi za atut ważniejszy od znajomości angielskiego i bezwzrokowego pisania na klawiaturze. Zbeształ ją wówczas okrutnie, a nawet zagroził zwolnieniem, jeśli taka sytuacja raz jeszcze się powtórzy. Nie chciał od razu przekreślać dziewczyny, ale nie mógł pozwolić, żeby tak zaczynała swoje życie zawodowe.

Miał nadzieję, że kiedyś, gdy spotka tego jednego jedyne, przypomni sobie, co dla niej zrobił jej pierwszy szef, i podziękuje mu za to. Na razie, jak widział, mógł się o to tylko gorliwie modlić.

– Nie masz porządnej bluzki? – zapytał, nie siląc się nawet na srogość. Dziewczyna drżała jak osika pod samym jego spojrzeniem. – Zadzwoń do pani Jadwigi, niech cię tu zastąpi, a ty jedź do domu, żeby się przebrać. Tylko nie zapomnij odpisać sobie godzin od urlopu.

Sekretarka pokiwała głową, lewą rękę cały czas trzymając przy piersi. Prawą nieudolnie próbowała ułożyć dokumenty w jeden równy stosik.

– Dzwonił pan Svenson – powiedziała, zerkając na żółtą karteczkę przyklepioną do telefonu. – Prosił, żeby przekazać, że od wczoraj jest w mieście, ale nie mógł się do pana dodzwonić. Liczy na spotkanie.

Giezaszczyk skinął głową.

– Coś jeszcze?

– Uzupełniony plan na dzisiaj leży już u pana na biurku – odparła. – Niewiele się zmieniło. Spotkanie zarządu zostało przesunięte na dwunastą trzydzieści, a...

– Przeczytam. Dzwoni po panią Jadwigę. Otworzył drzwi i wszedł do swojego gabinetu, usilnie zastanawiając się, gdzie spędził poprzedni dzień.

Pamiętał, że wyszedł wcześniej, by jako główny sponsor odebrać podziękowania od organizatorów przeglądu filmów z Bogartem na oficjalnym zakończeniu imprezy. Potem został jeszcze chwilę na bankiecie, ale wyszedł, gdy zebrani zaczęli nalegać na powtórkę „Casablanki”. Potem z całą pewnością udał się do jezuitów do spowiedzi. Miał taki zamiar już od dłuższego czasu i wciąż sobie wyrzucał, że nie może znaleźć chwili, aby zadbać należycie o ducha...

I właśnie konfesjonał był ostatnią rzeczą, którą pamiętał z poprzedniego dnia. Resztę aż do poranka, gdy wstał do pracy, jakby wessała wielka dziura.

Coś mu jeszcze majaczyło... Tak, spowiedź była niezwykle budująca i oczyszczająca. Nie pamiętał słów, jednak dawno nie czuł się tak podbudowany.

Zdażył usiąść i sięgnąć po papiery, gdy nagle usłyszał podniesiony głos sekretarki.

– Panowie nie mogą tam wejść – piszczała bliska hysterii dziewczyna. – Ja naprawdę muszę...

Drzwi jego gabinetu otworzyły się i stanął w nich zwały, łysy mężczyzna o starannie wygolonej twarzy. W ręce miał policyjną legitymację.

Olbrzym zatarasował sobą wejście, a zza jego pleców wychynęli jeszcze dwaj policjanci. Jeden błyskawicznie stanął przy oknie. Drugi, brodacz w ciężkiej wełnianej marynarce, rozłożył jakiś dokument.

– Pan Robert Giezaszczyk? – zapytał, podchodząc i wbijając spojrzenie w oczy wiceprezesa.

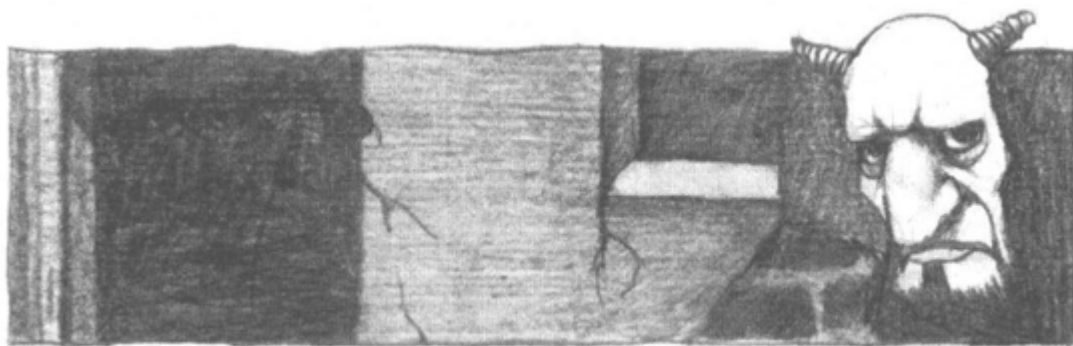
Ten, wciąż niezdolny do ukrycia zaskoczenia, skinął głową.

– Podinspektor Franciszek Trolewski. – Podszedł do stołu, położył papier na blacie. – Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa.

– To musi być... – Giezaszczyk nie potrafił się wysławić. – To jakaś...

– I proszę nie stawiać oporu – powiedział podinspektor, z widoczną satysfakcją zakuwając wiceprezesa w kajdanki. – Nie chcemy chyba prasy wcześniej, niż będzie to konieczne, prawda?

Po chwili całą czwórką opuścili gabinet. Wiceprezes kazał sekretarce wezwać swojego adwokata i odwołać wszystkie jego spotkania na ten dzień. Wyraz jego twarzy bardzo poprawił dziewczynie humor.



ROZDZIAŁ 7

Gracjan uwielbiał chodzić po lesie. Śmiał się zawsze, gdy jakaś gałązka głośno trzaskała pod jego małą stopką, z radością rozkopywał kupy liści i zaciekle gonił wiewiórki. Gdyby mógł, spędzałby w lesie całe dni.

Agnieszka zazwyczaj nie miała nic przeciwko. Lubiła spacerować, tego dnia jednak wolałaby, żeby syn pozwolił jej się wyspać, zamiast ciągnąć ją do lasu o świcie. Tej nocy prawie nie zmrużyła oczu.

W końcu po kłótniach, bojach i histeriach uległa Gracjanowi. Wyposażeni przez panią Marię, postanowili urządzać sobie mały piknik na polance nieopodal strumienia. Z kilometr na północ, idąc lasem. Obiecali wrócić na obiad...



– Tylko się nie oddalaj za bardzo – poleciła Agnieszka, rozścielając na mokrej od rosy trawie najpierw folię, a potem koc. – I nie podchodź do

strumienia. Jeśli będziesz się chciał wykąpać, to po południu pójdziemy nad jezioro. Teraz woda jest zimna.

– Dobrze, mamie – powiedział grzecznie chłopiec, kątem oka obserwując wylegającą się na pobliskim kamieniu jaszczurkę. Po chwili przykucnął i przyłożył dłonie do buzi, a łokcie oparł na kolanach.

Jaszczurka znalazła dogodny, nasłoneczniony punkt i ani myślała się ruszać. Znudzony Gracjan znalazł sobie patyk i jego końcem dźgnął kamień. Samej jaszczurki trochę bał się dotykać.

Splószone zwierzątko błyskawicznie pognało w trawę.

Chłopiec zerknął ukradkiem na mamę, ale ta leżała na kocu, czytając jakąś książkę. Odwrócił się i ruszył w pogoń za jaszczurką, kijem rozsuwając trawę przed sobą. Zaaferowany nawet się nie zorientował, gdy wszedł między drzewa. Trawę zastąpiła ściółka, jaszczurka dawno już gdzieś przepadła, ale to go nie zniechęcało, las zawsze był pełen atrakcji.

Nieco po lewej cały czas słyszał szum strumyka, jednostajny, usypiający. Spokojny jak polanka i las o tej porze dnia, kiedy widać jak na dłoni źródło każdego szeptu, szelestu i nic nie łypie już żółtymi ślepiami w ciemności.

I nagle w ten dźwięk wkradł się inny – ktoś cichutko grał na flecie.

Gracjan przystanął i popatrzył wokół. Dźwięk dochodził od strony strumienia, zza sporej kępy gęstych zielonych zarośli. Melodia była wesoła jak z dobranocki. Zaciekawiony ruszył w stronę krzaków. Z oddali dobiegł go zaniepokojony głos Agnieszki, ale nic sobie z tego nie robił.

Rozchylił gałązki.

Za krzakami na spróchniałym pniu siedział mężczyzna z głową kozła i grał na niezgrabnie wystruganej fujarce. Gdy dostrzegł chłopca, uśmiechnął się szeroko, szczerząc poźółkłe zęby. Jego oczy błysnęły czerwienią.

– Witaj, mały – wyszeptał, wstając. – Miło, że przyszedłeś.

Chłopiec wrzasnął.



Agnieszka odłożyła książkę zaniepokojona ciszą. Podniosła się na łokciach.

– Gracjan! – zawołała. – Chodź no tutaj!

Nie usłyszała odpowiedzi, nigdzie też nie mogła dostrzec syna, wstała więc z koca i ruszyła na poszukiwania.

– Gracjan! – krzyknęła głośniej. – Chodź, mama da ci kanapkę. Słyszysz? Gracjan!

I w tym momencie usłyszała wrzask chłopca. Dochodził chyba z nad strumienia.

Rzuciła się pędem w tamtą stronę. Przez jej głowę przemknęło w jednej chwili tysiąc opcji, dlaczego synek tak krzyczał. Każda straszniejsza od poprzedniej.

Na szczęście dziecko nie było daleko. Gracjan stał, wciąż krzycząc, przy krzakach wilczych jagód. Ręce trzymał między gałęziami.

Agnieszka dopadła go, odwróciła gwałtownie i przycisnęła do piersi. Chłopiec wtulił się w nią z całej siły, pochlipując. Serce waliło mu jak młot.

Gdy uznała, że już się opanował, odsunęła go od siebie i przyjrzała się jego twarzy.

– Otwórz buzię – poleciła. – Jadłeś te jagody? Zaprzeczył ruchem głowy. Uwierzyła od razu. Był mądrym dzieciakiem, a nieraz już mówili mu wraz z Kacprem, żeby nie jadł niczego, co znajdzie w lesie.

– Powiedz mamusi, co cię tak wystraszyło. Chłopiec pociągnął nosem i ręką wskazał zarośla.

– Tam był taki brzydki pan i on grał. Miał takie brzydkie oczy i zęby...

Agnieszka spojrzała za krzaki. Nikogo tam nie dostrzegła, trawa też nie była zgnieciona.

– Jesteś pewien, że... – zaczęła i nagle zmrużyła oczy. Odsunęła syna i obesza splecione krzewy. Minęła pniak, postąpiła jeszcze dwa kroki w stronę strumienia... I nagle poczuła, że robi jej się słabo.

W wodzie leżały zwłoki mężczyzny.

– Widzisz go, mamó? – zapytał Gracjan. Odetchnęła głęboko.

– Nie, synku, nikogo tu nie ma – powiedziała. Bardzo chciała w to wierzyć. Rozejrzała się, ale nikogo więcej nie dostrzegła. Las w tym miejscu nie był gęsty, a i drzewa nieszczególnie grube. Wątpiła, żeby ktokolwiek mógł się tutaj ukryć.

„Gracjan najpewniej dostrzegł trupa – pomyślała – i resztę dośpiewała mu wyobraźnia”.

Raz jeszcze zerknęła na zwłoki. Nie widziała twarzy, bo leżały głową do wody, ale z tylnej kieszeni wystawał portfel. Sięgnęła po niego, by sprawdzić, czy nie zawiera dokumentów, gdy nagle dostrzegła coś jeszcze. Kilka metrów w dół strumienia leżała uwięziona w zaroślach nad brzegiem duża koperta. Trudno było ją dostrzec nawet teraz, bo kolor zlewał się z gałęziami, a woda nadała jej bliżej nieokreślony kształt.

Podeszła i wyjęła kopertę. Papier rozszedł się między palcami, odsłaniając zapakowaną szczelnie w folię kasetę wideo w czarnym pudełku.

– Co się stało temu panu? – usłyszała Agnieszka tuż za jej plecami. Aż podskoczyła. – Czy on nie żyje?

Odwróciła się i wzięła syna na ręce. I tak na zbyt długo zostawiła go samego.

– Tak, synku, nie żyje – odparła. – I teraz musimy iść szybko do domu, żeby powiadomić policję.

– Tatusia?

Agnieszka pomyślała o Kacprze i poczuła gniew. „Powinieneś być tu z nami” – pomyślała.

– Tak, synku – uspokoiła Gracjana. – Tatusia. „Jeśli postanowi łaskawie odebrać...”



Zatrzymała się dopiero, gdy przed nimi w oddali widać było dom Markiewiczów. Postawiła chłopca na ziemi. Przypomniała sobie o kocu i koszyku, ale machnęła ręką. Nie miała zamiaru tam wracać.

Wiedziała też, że nie postąpiła jak żona policjanta. Zamiast zostawić wszystko, jak było – portfel trupa miała w kieszeni, a kasetę za paskiem spodni. Była na siebie zła, że coś ją podkusiło samej zacząć małe śledztwo. Choć z drugiej strony może i zrobiła dobrze...

W mokrym portfelu znalazła dowód osobisty na nazwisko Ślęczkiewicz. Twarz na zdjęciu już od razu wydała jej się znajoma. Po chwili miała pewność, gdzie widziała mężczyznę ze zdjęcia.

Pospiesznie rozerwała folię i otworzyła pudełko. Zaraz potem zamknęła je gwałtownie. Po raz drugi zrobiło jej się słabo. Na kasecie napisano drukowanymi literami: K. DRELICH.

– Już jesteście? – zdziwiła się Maria. – Tak szybko? Agnieszka przykucnęła przy Gracjanie.

– Mamusia musi teraz porozmawiać z babcią – powiedziała. – Idź się pobaw, dobrze?

– Powiesz jej o... – zaczął mały, ale mama położyła mu palec na ustach.

– Na razie to nasza tajemnica, dobrze?

Mały skinął głową z poważną miną i pobiegł w stronę kur.

– Co to za sekrety, co? – Pani Maria rozbawiona wzięła się pod boki. Na widok miny córki uśmiech jednak zniknął jej z twarzy. – Jezus Maria, stało się coś?

– Poznajesz go? – zapytała Agnieszka, wyjmując z kieszeni dowód i pokazując go matce.

Maria uważnie przyjrzała się zdjęciu.

– Pewnie – powiedziała. – Był tu wczoraj i pytał o Kacpra. Bardzo miły chłopak. Poczęstowałam go naleśnikami, a potem pojechali do miasta. Co...

– Z Kacprem? To ten, który z nim potem przyjechał, prawda? I potem odszedł szybko w stronę pola?

– Agnieszko, na miłość boską, co się stało? Powiesz mi wreszcie?

– Jeszcze nie, teraz potrzebny mi magnetowid i telefon.

Gospodyni wzruszyła ramionami, ale niepokój nie zniknął z jej twarzy.

– Wiesz, gdzie stoi telefon, a jeśli chodzi o magnetowid, to Tadeusz musi najpierw przeczyścić w nim głowicę, bo nic nie widać prócz śniegu.

Agnieszka pocałowała matkę w policzek, wyminęła ją i weszła do domu. Z pamięci wystukała numer Kacpra, ale jak zwykle nie odebrał.

„Pewnie nie miał jeszcze czasu zajrzeć do domu” – pomyślała ze złością.

Nacisnęła widełki i dygoczącymi rękoma wystukała kolejny numer, tym razem do Franka.

– Franciszek Trolewski, słucham – rozległ się po chwili głos w słuchawce. Komendant był wyraźnie rozdrażniony.

– Cześć, Franiu, to ja, Agnieszka – powiedziała, starając się z całych sił, by jej głos brzmiał spokojnie. – Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mam tu pewną kłopotliwą sprawę i... Nie masz tam gdzieś w pobliżu mojego męża?

– Przykro mi, ale nie. Wyszedł rano sprawdzić parę miejsc i jeszcze nie wrócił. Czy coś mu przekazać oprócz tego, żeby poszedł wreszcie po tę cholerną komórkę?

– Poproś go, żeby sprawdził Jakuba Ślęczkiewicza. To ważne.

– Co wy macie do tego faceta? Przedwczoraj wieczorem Kacper prosił mnie o to samo. Gość ma na koncie parę kradzieży, to wszystko... A co, przyczepił się do was? Potrzebujesz ochrony?

„Nie – pomyślała Agnieszka – potrzebuję tylko mojego cholernego męża”.

– Dam sobie radę – powiedziała bardziej oschle, niż zamierzała. – Nie zapomnij przekazać Kacprowi, żeby do mnie zadzwonił.

– Jasne, pa.

Odłożyła słuchawkę i zerknęła na kasetę, którą położyła obok na stoliku. Przez chwilę wpatrywała się w nią, po czym podniosła głowę.

– Mamo, czy możesz mi dać spirytus i parę wacików? Sama przeczyszczę tę głowicę.



Agnieszka przeszła do pokoju gościnnego i zamknęła za sobą drzwi. Dopiero potem otworzyła pudełko z kasetą.

Raz jeszcze spojrzała na napis na grzbiecie. Wykaligrafowane starannym, ale anonimowym pismem imię i nazwisko męża. Pożałowała, że w ogóle wzięła kasetę do ręki, ale teraz czuła, że nie ma już odwrotu. Włożyła kasetę do magnetowidu, usiadła w fotelu i wcisnęła PLAY.

Przez dłuższą chwilę na ekranie był tylko śnieg i Agnieszka pomyślała, że może niedokładnie przeczyściła głowicę albo woda jednak uszkodziła taśmę. Potem jednak pojawił się obraz.

Pokazywał wnętrze dyskoteki. Ludzie siedzieli przy stolikach albo kołysali się niemrawo w rytm „*Circles in the Sand*”. Nad ich głowami migąły kolorowe światła. Kamera ruszyła do przodu i klucząc pomiędzy tańczącymi, odnalazła parę obściskującą się namiętnie w ciemnym końcu sali.

Pocałunkom nie było końca. Agnieszka postanowiła przewinąć kawałek, gdy w tym właśnie momencie chłopak odkleił się od dziewczyny i spojrzał w stronę parkietu. Krzyknął coś do kogoś z radosnym uśmiechem.

Agnieszka westchnęła. Chłopakiem był jej mąż.

Mógł mieć nie więcej niż osiemnaście – dziewiętnaście lat, ale od tamtej pory jego twarz niewiele się zmieniła. Podobnie jak głos i uśmiech.

Poczuła w piersi ukłucie zazdrości, mimo że film nakręcono w czasie, gdy jeszcze się nie znali. Jednak namiętność, z jaką całował tamtą... Próbowała sobie przypomnieć, czy przy niej kiedykolwiek też był taki?

Zatrzymała taśmę i przyjrzała się dziewczynie. Miała krótkie blond włosy, postrzępione zgodnie z ówczesną modą. Ubrana była w dżinsy, obcisłą koszulkę i skórzaną kurtkę motocyklową. I naprawdę ładna, a przy tym nie wyglądała na głupią laskę na jedną noc!

Agnieszka złapała się na tym, że myśli, co dziewczyna robi w tej chwili i co by było, gdyby przypadkiem znów spotkała Kacpra.

Czy wróciłaby dawna namiętność?

Bo choć przedostatnia noc zdawała się temu przeczyć, między nimi nie było teraz najlepiej. Czowała to.

Nacisnęła PLAY i film ruszył dalej. Do Kacpra i dziewczyny podeszła jakaś inna para. Przyszły mąż Agnieszki powiedział coś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Na ekranie znów pojawił się śnieg, tym razem jednak tylko na krótką chwilę. Zaraz potem kamera pokazała wnętrze, sądząc po wyposażeniu, hotelowego pokoju. Gdyby Agnieszka zwróciła uwagę na widok za oknem, dostrzegłaby, że hotel musiał znajdować się gdzieś w górach. Ona jednak nie była w stanie o tym myśleć. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w parę na łóżku.

„Czy tak czują się żony aktorów zmuszone do obejrzenia scen miłosnych, w których udział biorą ich mężowie?” – przemknęło jej przez głowę. Wiedziała jednak, że nie. To, co właśnie oglądała, nie było udawane. Niemal czuło się żar bijący od kochanków – Agnieszka widziała to w ich twarzach, spojrzeniach, w delikatności ruchów. Jej mąż naprawdę kochał tę dziewczynę. Co więc sprawiło, że przestał?

Nastąpiło następne cięcie i kolejne ujęcie przyniosło częściową odpowiedź.

W kadrze znów był Kacper z kochanką. Ten sam pokój, te same meble. Tyle, że atmosfera całkiem inna. Nie wiedzieć czemu, na tym akurat kawałku coś stało się z dźwiękiem.

Agnieszka próbowała wyczytać cokolwiek z ruchu warg, ale kamera była zbyt daleko, dała więc sobie spokój. W napięciu obserwowała wydarzenia.

Dziewczyna siedziała na łóżku i gestykulując gwałtownie, wykrzykiwała coś do stojącego przy oknie Kacpra. Ten złożył ręce na piersi i co chwila odpowiadał jej, a na jego ustach przez cały czas tkwił drwiący uśmiech.

Przez lata małżeństwa Agnieszka zdążyła dobrze poznać i znienawidzić ten grymas. Jej mąż rzadko krzyczał, czasem jednak, nie podnosząc głosu, potrafił być naprawdę okrutny.

W pewnym momencie dziewczyna nie wytrzymała. Wstała i podeszła do niego. Palcem wskazującym dotknęła piersi Kacpra. Jej twarz, teraz cała czerwona, nie wydawała się już taka piękna.

Przyszły mąż Agnieszki przechylił głowę na bok jak dziecko, które przygląda się wyjątkowo ciekawemu zwierzątku, po czym coś odpowiedział. Dziewczyna uderzyła go otwartą ręką w twarz i chciała wyjść z pokoju.

Nie zdążyła. Drelich lewą ręką chwycił ją za przedramię, odwracając z powrotem, a prawą uderzył na odlew. Poleciała na łóżko.

Nastąpiło kolejne cięcie. Gdy obraz pojawił się znowu, dziewczyna leżała... na skale. Można ją było rozpoznać jedynie po włosach, bo resztę ciała miała potwornie zmasakrowaną. Z klatki piersiowej wystawały połamane żebra, z pękniętej głowy wypływał mózg i płyn rdzeniowy. Ręce miała wygięte pod nienaturalnymi kątami, a przez spodnie przesączała się żółtawobrazowa strużka moczu i odchodów.

Agnieszka omal nie zwymiotowała.

Po chwili kamera odjechała na bok i znów pokazała Kacpra. Stał nad dziewczyną blady jak śmierć, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści.

– Ja nie chciałem – powtarzał mechanicznym głosem. – Wybacz mi, kochanie, ja naprawdę nie chciałem. O Boże, przebacz mi, co ja zrobi...

Na ekranie znów pojawił się śnieg, a w chwilę potem obraz zniknął. Magnetowid sapnął i zaczął przewijać taśmę do początku.

„Kto to nagrywał? A może to tylko montaż? Amatorski film zrobiony dla zabawy?” – Agnieszka wciąż siedziała w bezruchu, a przez jej głowę przelatywało mnóstwo podobnych pytań. Szybko jednak zrozumiała, że nie powinna się łudzić – niektórych rzeczy nie sposób udawać. Jej mąż zabił tę kobietę.

Pomyślała o trupie w lesie.

„Gdy wczoraj przyjechali, ten Słęczkiewicz poszedł właśnie w tamtą stronę – przypomniała sobie. – A wieczorem Kacper wybrał się na samotny spacer do lasu”.

Czy było możliwe, że tamten go szantażował? Jeśli tak, to dlaczego Kacper nie zabrał ze sobą ani dokumentów, ani tym bardziej kasety?

„Nie musiał wiedzieć o kasecie, była przecież ukryta. Po cóż innego folia, jeśli nie żeby ukryć taśmę w wodzie? Tamten był na miejscu

wcześniej i się zabezpieczył. Choć nie dość skutecznie”. – Z każdą chwilą Agnieszka utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że to wszystko nie może być przypadkiem.

Wstała i wyjęła kasetę z magnetowidu. Z szuflady pod telewizorem wyjęła kolejną dużą kopertę, napisała: „Dla Kacpra”, po czym włożyła do niej kasetę.

Cały czas coś w jej głowie krzyczało, że w ten sposób krzywdzi męża, że powinna pozwolić mu wyjaśnić, a wtedy wszystko stanie się proste. Z drugiej jednak strony, jeżeli kasetę była autentyczna, ostatnie lata jej życia opierały się na wielkim kłamstwie. Amnezja skrywająca wszystko, co wydarzyło się do dnia dziewiętnastych urodzin? W tej sytuacji wyglądało to na bardzo wygodną wymówkę.

Agnieszka odetchnęła głęboko. Na pewno potrzebowała sobie wszystko przemyśleć. Sama. Położyła paczkę obok telefonu i poszła na górę, żeby się spakować.



– Gdzie ty się, do jasnej cholery, podziewałeś?! – ryknął Franek, gdy Kacper wszedł do biura.

Drelich tylko machnął ręką.

– Byłem u jezuitów u znajomego zakonnika, żeby sprawdzić tego księdza i...

– Zapomnij o nim... o żeż! – Trolewski odstawił trzymany w dłoni kubek kawy z takim impetem, że część zawartości rozlała się po stole. Natychmiast wyszarpnął chusteczki ze stojącego obok pudełka, aby zebrać brązowy płyn, zanim powódź dotrze do dokumentów. – Namierzyliśmy gościa. Zostawił tyle odcisków palców i innych śladów, że brakowało nam tylko zdjęcia. Zresztą to też nam dał, tylko nieco wcześniej. Facet

sponsorował nasze laboratorium i wtedy pozwolił sobie ściągnąć odciski, pobrać próbkę śliny i takie tam. Czujesz? Dał nam to wszystko dla medialnej zgrywy, a teraz dzięki temu możemy go dorwać. Niech żyje Bóg i jego poczucie humoru! Czekamy jeszcze na wyniki badania DNA, które trochę potrważą.

Kacper zamrugął gwałtownie.

– Jesteś pewien, że... – zaczął, ale Franek wszedł mu w zdanie.

– Że to on? Jak cholera. Sąsiad powiedział, że tamtego dnia do Josephine wchodziło czterech mężczyzn. Wśród nich właśnie Robert Giezaszczyk.

– Ten od ubezpieczeń? – Drelich skojarzył postać znaną mu z telewizji. Wciąż jednak nie mógł uwierzyć, że poszło tak łatwo. Poza tym cały czas brakowało mu jeszcze jednego elementu układanki. – Kim w takim razie był ten ksiądz i czego tam szukał?

– Nie mam pojęcia, ale żaden z gości nie wyglądał jak ten opisany przez ciebie – odparł komendant. – Natomiast Giezaszczyka świadek jest pewien. My już zresztą też, patrząc po śladach.

Kacper pokręcił głową i usiadł na krześle. Kciukiem i palcem wskazującym zaczął rozmasowywać kąciki oczu. Potem poderwał się i ruszył w stronę drzwi.

– A ty dokąd? – zdziwił się Franek. Drelich wzruszył ramionami.

– Idę do pokoju przesłuchań zadać gościowi kilka pytań. Możliwe, że nie działał sam, a ten ksiądz...

– Jesteś ostatnią osobą, którą bym tam wpuścił! – prawie krzyknął podinspektor. Wziął głęboki oddech i po chwili zaczął już spokojniej: – Kacper, wiesz dobrze, nie mogę pozwolić, żeby ktoś tak mocno zaangażowany przesłuchiwał świadka. Zwłaszcza takiego, którego prawnik bierze więcej niż my wszyscy razem wzięci. Jeden mały krok w złą stronę i koleś się wywinie. A tego przecież nie chcemy, prawda?

Podniósł kubek i skrzywił się na widok okrągłego śladu na blacie. Starł go chusteczką.

– Wciąż jeszcze pozostał nam Szczur – dodał. – Ale sprawdziliśmy ludzi, którym podpadł, i u jednego z nich znaleźliśmy na komórce SMS-a z dokładnie wskazanym miejscem i godziną zabójstwa. Niestety, wiadomość wysłano z komputera i mamy problemy z jej namierzeniem. A facet kręci, że żałować sukinsyna nie żałuje, ale pojęcia nie ma, kto wyświadczył mu tę przysługę.

Podrapał się po głowie.

– Niczego jeszcze nie przesądzam – dodał – ale wszystko wskazuje na to, że twoja teoria się nie sprawdziła. Żadne z tych zabójstw nie ma raczej wiele wspólnego z dokiem dziewiątym. Po prostu zbieg cholernych okoliczności. Wracaj więc do żony i dokończ w spokoju urlop. Przepraszam, że cię wyciągnąłem.

– Zapytaj go o tego księdza, dobra? – Kacper przejechał ręką po czole. – A w razie czego wiesz, gdzie mnie szukać, nie?

– Najpierw tam zadzwoń, Agnieszka prosiła. A, i powiedz mi, co to za koleś ten Ślęczkiewicz?

Drelich złapał za klamkę.

– Taki drobny krętacz – odparł. – Miał mi pomóc przy malowaniu, ale mu się odwidziało. Może znowu zmienił zdanie.

Komendant roześmiał się.

– A Aga zaraz zerknęła mu w papiery? Nie da się ukryć, że żona gliniarza.

– Ano nie da. Cześć! – Kacper wyszedł z gabinetu.



Jeden z radiowozów podwiózł go pod blok Franka, a w chwilę później Kacper już swoim samochodem jechał w stronę domu. Postanowił, że bez względu na sny przed powrotem do teściów musi się choć troszkę zdrzemnąć. Wczorajszej nocy ciągnął na adrenalinie, ale teraz organizm już nie wyrabiał. Równie dobrze zamiast kawy mógłby napić się melisy.

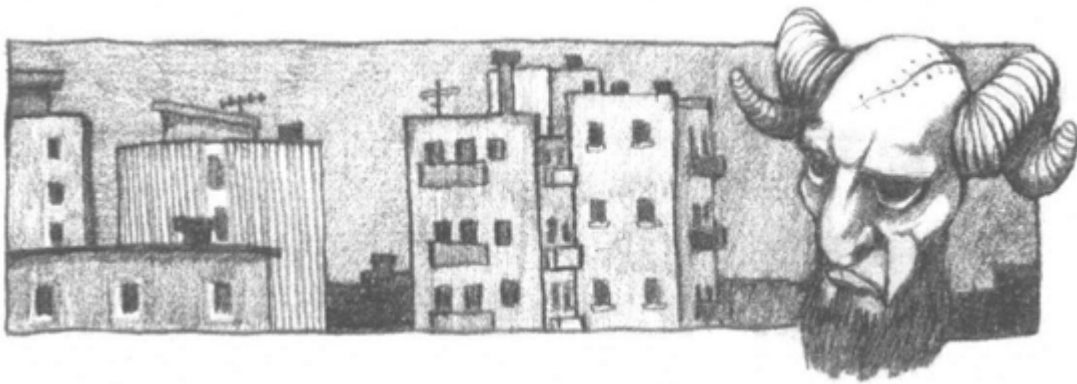
Właściwie powinien poczuć ulgę. Wyglądało na to, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Josephine, co do tej pory gryzło go najbardziej. Śmierć Szczura tym bardziej była tylko kwestią czasu. Informator miał wielu wrogów.

Jeden w końcu nie wytrzymał i zamknął szkodnikowi gębę na zawsze. A że akurat teraz? Cóż, bywa.

Wciąż jednak pozostawały sny, których w żaden sposób nie potrafił wyjaśnić. Gdy opowiedział o nich ojcu Janowi, ten nie był w stanie nic mu doradzić, ale wyglądał na mocno zaniepokojonego. Zaraz też wykręcił się ważnym spotkaniem. Czyżby chciał coś przed nim ukryć?

Kacper tak naprawdę nie miał pojęcia, czym objawia się opętanie, choć tego doświadczył. Lub raczej doświadczył tego ten poprzedni Drelich, który zniknął razem ze wspomnieniami jak kieszonkowiec z portfelem. Jednak kto wie czy prorocze sny nie były jednym z objawów działania diabła.

– Myślisz o tym jak o cholernej chorobie – skarcił się na głos. Sięgnął do radia i przekręcił gałkę. Z głośników popłynęły dźwięki „Freebird” Lynyrd Skynyrd. Kacper ziewnął. Naprawdę potrzebował snu.



ROZDZIAŁ 8

– Można zapytać, czego ojciec szuka?

Ojciec Jan poderwał się gwałtownie i odruchowo zasłonił ręką leżącą przed nim otwartą księgę. Na widok stojącego nad nim ojca Ignacego – przełożonego domu – na twarz zakonnika wypłynął niepewny uśmiech.

– Ja... miałem pewne wątpliwości i chciałem tylko...

– Nie trzeba się denerwować. – Przełożony pokręcił głową. Był młodszy nie tylko od ojca Jana, ale i większości zakonników w domu, jednak wzbudzał respekt. Nie tylko z powodu funkcji, jaką przyszło mu pełnić. Sprawiała to też jego surowa, jakby ciosana w kamieniu twarz z ustami tak wąskimi, że gdy zaciskał wargi, zdawało się, jakby w ogóle ich nie było. I stalowobłękitne oczy, których chłód kontrastował z ciepłym, niskim głosem.

Gdy się przyglądał, człowiek czuł, że przenika go na wylot, poznaje jego myśli, pragnienia i wszystkie grzechy. I tego ojciec Jan doświadczał w tej

chwili.

– Cała ta biblioteka jest po to... – przełożony uniósł rękę i wskazał na otaczający ich imponujący księgozbiór – ...byśmy mogli poszerzać naszą wiedzę o dziele Pana. I byśmy czynili wszystko na jego obraz i podobieństwo, czyż nie?

– Obraz i podobieństwo, tak – kiwnął głową ojciec Jan. Powoli cofnął rękę, starając się zrobić to tak, by równocześnie niby przypadkiem odwrócić kilka kartek. – Ojciec wybaczy – dodał, udając zmieszanie – ale mało spałem, a dziś jeszcze przyszedł dzień na małego Radka i... szkoda gadać.

Przełożony sięgnął po krzesło stojące obok, przysunął je i usiadł, podnosząc leżącą przed ojcem Janem księgę.

– Podobno miał ojciec dziś gościa z policji – rzucił obojętnie, od niechcienia kartkując wolumin. – Czyżby coś się stało?

– Nic takiego, stary znajomy po prostu. Dawno się nie widzieliśmy i postanowił mnie odwiedzić. A że akurat był służbowo w okolicy...

– No właśnie. – Przełożony odłożył księgę i rozsiadł się wygodniej. Z kieszeni spodni wyjął notesik i położył go przed sobą na biurku. Nie otworzył, ale wiedział, że stary kapłan z pewnością zrozumie ten gest. – Jakoś nie dotarły do mnie żadne głosy o poważniejszych zajściach w tej okolicy. A ten ojca przyjaciel powiedział na furcie, że jest z komendy. Dziwne, prawda?

Siwy zakonnik wzruszył ramionami. Walczył z głęboką pokusą, żeby skłamać, choć doskonale wiedział, że to bez sensu.

– Być może to jakaś wcześniejsza sprawa – powiedział w końcu, decydując się na półprawdę. – W rozmowie ze mną nie wchodził w szczegóły. Właściwie to nic nie mówił na ten temat. Jakoś się nie złożyło.

Przełożony odchylił głowę do tyłu i parsknął głośnym, szczerym śmiechem.

– No tak, nawet ludzie na wiecznej służbie chcą czasem odpocząć od pracy, prawda? – powiedział. – Żadnych trupów, żadnych spowiedzi. Tylko kawa i ciasteczka.

Poprawił się na krześle i gestem oraz skruszoną miną przeprosił bibliotekarza za hałas.

– Szczerze mówiąc, uspokoił mnie ojciec – dodał już po cichu – bo troszeczkę się tym przejąłem, zwłaszcza teraz, gdy wynikła ta sprawa z ojcem Anzelmem...

– Sprawa? – Ojciec Jan był autentycznie zdziwiony.

– Ktoś, policjant właśnie, zainteresował się nim ostatnio podczas jednej z wizyt... Chwileczkę! – Przełożony podniósł się i sięgnął do kieszeni po telefon. Na chwilę zastygł wpatrzony w wyświetlacz, po czym schował komórkę. – Sprawa była dość paskudna, bo wskazany nie ograniczył się do samego aktu zabójstwa, ale poprzedził go torturami. Brat Anzelm zjawił się tam, gdy akurat dom był pełen policjantów. Jeden nie tylko go dostrzegł, ale potem nawet ścigał przez pół miasta. Dziwne, prawda?

Ojciec Jan pokiwał głową. Utrzymanie obojętnej miny przychodziło mu z najwyższym trudem.

Przełożony z uśmiechem położył mu rękę na ramieniu.

– No ale jakoś się z tym uporamy, prawda? Liczę, że jak ojciec dowie się czegoś, co może być ważne dla zgromadzenia...

– Oczywiście – zapewnił stary kapłan.

– To dobrze.

Ojciec Ignacy odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Już za drzwiami przystanął i wyciągnął z kieszeni paczkę gum.

Z cienia tuż obok wyłonił się młody zakonnik z hiszpańską bródką.

– I co?

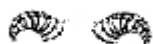
– Niestety, miałem rację, Anzelmie. Co do obu. – Uniósł wzrok, spoglądając na krzyż zawieszony na przeciwległej ścianie, tuż pod sufitem. Metalowa figura Chrystusa o niezwykle żywych oczach zdawała się wpatrywać w niego ze smutkiem... ale i z nadzieją.

– Musimy teraz zrobić wszystko, by uratować ojca Jana – stwierdził przełożony. – Co się zaś tyczy polic...

– No właśnie – brat Anzelm wszedł mu w słowo. – Ten telefon, o którym ojcu esemesowałem przed chwilą, to właśnie w tej sprawie. Nie wiemy dokładnie, który z braci dzwonił, ale znał sprawę i podobno wie, gdzie on teraz jest.

Na to ojciec Ignacy tylko westchnął ciężko.

– Przywieźcie do mnie tego Drelicha – polecił. – Możliwie najszybciej.



Gdy tylko przełożony zniknął za drzwiami, ojciec Jan rzucił się do stojącego w kącie biurka i złapał za telefon. Przeprosił uśmiechem zdziwionego brata bibliotekarza i z pamięci wystukał numer komórkowy Kacpra.

– Tu Kacper Drelich. Nagraj wiadomość po sygnale – rozległo się po chwili.

Zakonnik zmełł w ustach przekleństwo.

– Kacper, gdy tylko to odsłuchasz, oddzwoń... – przerwał na chwilę, po czym dodał nieco ciszej: – To naprawdę pilne.

– Lepiej się pan czuje?

– Tak, całkiem nieźle, ale... – Kacper zamknął drzwi samochodu i spojrzał na sąsiada, który kilka dni temu pomógł znieść walizki.

Jego twarz była teraz cała sina, a białka oczu miał pokryte półprzezroczystą błoną. Gdy mówił, z ust wylewała mu się woda, tworząc u stóp okazałą kałużę.

Drelich zacisnął na chwilę powieki i ścisnął palcami nasadę nosa. Odetchnął głęboko, zanim znów otworzył oczy. Uśmiechnął się do sąsiada, który wyglądał już całkiem normalnie.

– Czasem jeszcze mnie łapie na chwilę, przepraszam – powiedział.

– Myślę, że nie powinien był pan prowadzić w takim stanie. Mógł pan zrobić sobie krzywdę... lub komuś. – Sąsiad zmarszczył brwi. Umilkł na moment, po czym już całkiem wesoło, choć nie bez cienia złośliwości, dodał: – No, ale kogo ja pouczam, prawda, panie Drelich?

Klepnął Kacpra w ramię i ruszył w stronę kontenera na śmieci.

Drelich odwrócił się, patrząc, jak tamten idzie swobodnie, wymachując zielonym workiem wypełnionym zgniecionymi puszkami i poskładanymi opakowaniami po pizzy. Przypomniał sobie, że sąsiad napomknął mu kiedyś o swoich sukcesach w zawodach pływackich, gdy jeszcze studiował. Może stąd wzięła się ta wizja topielca w zmęczonym umyśle?



Z pozoru wszystko było w porządku, ale Kacper miał dziwne przeczucie. Ostrożnie wyjął broń. Trzymając ją w prawej ręce, lewą przekręcił klucz i pchnął drzwi.

Z wnętrza uderzył go okropny zaduch, z którego wyłowił odór zgnilizny i... zapach mentolowych papierosów. Drelich czuł, że uginają się pod nim nogi. Więc jednak go znaleźli, a to oznaczało, że...

Ostrożnie sprawdził mieszkanie, a gdy zyskał pewność, że jest w nim sam, podszedł do telefonu. Wystukując numer, zauważył, że na leżącej obok komórce ma piętnaście nieodebranych połączeń. Zacisnął zęby. Oby

tylko żadne z nich nie było wołaniem o pomoc... Sklął się w duchu, że zostawił rodzinę bez żadnej ochrony czy pomocy. Mógł to przecież, kurwa, przewidzieć!

– Tak, słucham? – dobiegł go ze słuchawki głos teściowej. Nie słyszał w nim napięcia, nic więc nie wskazywało, że coś jest nie tak. Mimo to było jeszcze za wcześnie, aby odetchnąć z ulgą.

– Mogę rozmawiać z Agnieszką? – zapytał.

– Kacper? – głos Marii z miejsca nabrał innego brzmienia. – Może ty mi wyjaśnisz, co się dzieje? Agnieszka właśnie zabrała Gracjana i powiedziała, że musi wyjechać na parę dni. Nie chciała powiedzieć dokąd. Zostawiła ci jakąś paczkę na szafce.

Drelich przejechał rękami po włosach. Przecież jego żona nie mogła wiedzieć o niebezpieczeństwie. Skąd więc taka nagła decyzja? Z drugiej strony z teściową było wszystko w porządku, więc do niczego nie mogło dojść. Chyba że...

– Kacper, jesteś tam jeszcze?

– Mamo, czy Agnieszka dzwoniła do kogoś? Albo czy ktoś dzwonił do niej?

– Przyniosła do domu jakąś kasetę wideo – przypomniała sobie pani Maria. – Zaraz też zadzwoniła do jakiegoś Franka. Słabo słyszałam, bo stałam akurat na werandzie, ale...

„No tak! – Kacper klepnął się w czoło. – Franek. Agnieszka zadzwoniła pewnie po mnie, a on przekazał jej, żeby się spakowała. Do mnie nie mógł, bo nie miałem komórki”.

– Już do was jadę – powiedział. – Niech mama ściągnie do domu tatę i Tomka i najlepiej zadzwoni na policję. Uważajcie też na obcych. Aha, i jakby co, dzwońcie do mnie na komórkę.

Słyszał, że teściowa usiłuje coś jeszcze powiedzieć, ale on nie miał już czasu jej słuchać. Nacisnął na widełki i wystukał numer Franka. Był jednak zajęty.

– Kurwa! – warknął Kacper. Złapał komórkę i rzucił się ku wyjściu. Dopiero po sekundzie uzmysłowił sobie, że zapomniał o odłożonym obok telefonu pistolecie. Zabrał go i wybiegł. Nie przejmował się zamykaniem drzwi. Jeszcze jedno włamanie nie zrobiłoby mu najmniejszej różnicy.

Gnał w stronę samochodu, lekceważąc narastający ból i czarne plamy, które pojawiły mu się przed oczyma. Strach walczył w nim z wściekłością. Na Agnieszkę, że tak stanowczo odmówiła zakupu komórki. Na Franka, że wysłał jego żonę nie wiadomo gdzie, zamiast przydzielić jej solidną ochronę, a teraz na dodatek nie odbierał telefonów.

Przede wszystkim jednak był wściekły na siebie, że ich na to wszystko naraził. A gdy przyszło co do czego, zostawił, aby rozpaczać nad ciałem zamordowanej dziwki.

– Boże, jeśli tam jesteś – powiedział, odpalając samochód – pomóż mi, kurwa, nas z tego wyciągnąć.

Ruszył z piskiem opon.

„Co ty robisz, idiotko? – powtarzała sobie niemal co chwila. – Ucieczka? Tak zachowują się tylko walnięte kury domowe w kretyńskich filmach. Przecież wszystko można sobie wyjaśnić, może to wcale nie tak, że...”

Zacisnęła powieki i wnętrzem dłoni przetarła mokre od łez policzki.

Gracjan siedział na siedzeniu obok i z uporem starał się nie wyjeżdżać kredką za linie wyznaczające sylwetkę kaczoza Donalda. Biorąc pod uwagę stan dróg, było to niewykonalne. Na szczęście chłopiec jeszcze nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. Agnieszka nie miała jednak wątpliwości, że zacznie. Jak nie dziś, to jutro albo pojutrze.

„Pojutrze będziesz już z Kacprem – napomniał ją głos w głowie. – Wszystko się wyjaśni, zobaczysz”.

Bardzo chciała w to wierzyć, ale obrazy z taśmy i widok trupa w lesie zbyt głęboko wbiły jej się w pamięć.

Utkwiła spojrzenie w lekko rozmytym krajobrazie za brudnym oknem, usiłując nie płakać.



– Nie mogę księdzu skserować tej książki. – Brat bibliotekarz bezradnie rozłożył ręce. – Przecież sam ojciec wie, to jedna z ksiąg głównych.

Pogodna twarz zakonnika wyrażała zakłopotanie, że w ogóle musi przypominać o czymś, co dla całego zgromadzenia było przecież oczywiste.

Ojciec Jan uśmiechnął się, udając szczere rozbawienie.

– Ależ ja nie chcę jej kserować, tylko wypożyczyć... do siebie. Tu nie mogę się skupić.

Twarc brata bibliotekarza przybrała wyraz autentycznego przerażenia. Z ustami otwierającymi się i zamykającymi bezgłośnie i z wytrzeszczonymi oczami wyglądał jak karp w podbieraku. Spojrzał na lewo i prawo, jakby szukając oparcia w kimkolwiek, jednak prócz nich dwóch w bibliotece nie było nikogo.

– Ale przecież nie można wynosić niczego... – bibliotekarz plątał się, szukając stosownej odpowiedzi dla tak nedorzecznego życzenia. – A już zwłaszcza...

Nie dokończył, bo błyskawiczny cios powalił go na podłogę. Zakonnik upadł ze złamanym nosem i twarzą zalaną krwią. Jego wielkie z przerażenia oczy łupały nerwowo. Chciał krzyknąć, ale ojciec Jan ze sprawnością, jakiej trudno się było spodziewać po kimś w jego wieku, przeskoczył przez biurko i poprawił cios, tym razem pozbawiając bibliotekarza przytomności.

Dopiero wtedy odłożył trzymany w dłoni przycisk do papieru i podniósł leżącą na biurku księgę. Ukrył ją pod połą marynarki, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Był już przy samych drzwiach, gdy w progu pojawił się brat Anzelm. Stanął dokładnie w przejściu i złożył ręce na piersi. Czekał.

Ojciec Jan zawahał się. Stojący przed nim młody zakonnik, prawa ręka przełożonego, był postacią tajemniczą i niechętnie opowiadającą o sobie, ale wśród jezuitów krążyły pogłoski, że wysłano go tutaj, bo uwielbiał krew... i trupy. Nic dziwnego, że w pojedynkę obsługiwał większość „wizyt”.

– Ojciec pozwoli ze mną – powiedział brat Anzelm, ani na chwilę nie tracąc dobrego humoru. Najwyraźniej liczył, że ojciec Jan go sprowokuje. Głową wskazał połą marynarki, za którą stary kapłan trzymał księgę. – Tylko wcześniej oddaj Bogu, co boskie.

Kacper prowadził jedną ręką, w drugiej cały czas trzymając telefon. Po odsłuchaniu wszystkich wiadomości (wśród których prócz jednej od ojca Jana wszystkie były nagrane przez Franka) próbował dodzwonić się do komendanta. Bezskutecznie.

W końcu wściekły wystukał numer do teściów. Tam jednak również nikt nie odbierał.

„Pewnie wystraszyli się i wyjechali gdzieś – próbował się uspokoić Drelich, ale wiedział doskonale, że to na nic. Nie wyobrażał sobie powodu, dla którego Tadeusz opuściłby swój dom. – Nie, on już prędzej nabije strzelbę i zabarykaduje okna jak w jakimś cholernym westernie”. Kacper zaklął i docisnął pedał gazu. Miał nadzieję, że mimo wszystko nie jest za późno.



Wzniecając tumany kurzu, wjechał na podwórze. Traktor stał przy stodole, co świadczyło, że Tadeusz wrócił już do domu. Kacper odetchnął. To jeszcze nie znaczyło, że wszystko jest w porządku, ale przynajmniej jak przyjdzie co do czego, będzie ich dwóch.

Wysiadł z samochodu i zamachał rękami nad głową, na wypadek gdyby gospodarz stał właśnie w oknie, celując do niego ze strzelby. Sprawdził mocowanie kabury i ruszył w stronę domu.

– Hej, to ja, Kacper! – zawołał, stając na werandzie. Rozejrzał się i dostrzegł, że siatkowe drzwi są zamknięte, ale drugie za nimi lekko uchylone. Nie wróżyło to najlepiej.

– Tato! Mamo! – Sięgnął po pistolet. – Tomek! Zanim na dobre wszedł do środka, wiedział już, że przybył za późno. Zapach zgnilizny zmieszany z wonią mentolowych papierosów, ta sama woń, którą wyczuł w swoim mieszkaniu, wypełniała korytarz.

Drelich uniósł pistolet i powoli ruszył w stronę pokoju gościnnego. Mimo że wyteżał słuch z całych sił, nie słyszał nic prócz dźwięków, jakie wydają same z siebie puste domy – ciche bzyczenie lodówki, trzepot firan wiszących przy otwartym oknie, szum bojlera wypełniającego się wodą.

Na oko wszystko wyglądało normalnie. Przedpokój był idealnie wysprzątnany, płaszcze i kurtki wisiały na podpisanych wieszakach, buty, które nie zmieściły się w szafce, ułożono w równym szeregu wzdłuż ściany. A lustro lśniło po niedawnym myciu.

Kacper podszedł do stojącej obok szafki z telefonem i przerzucił leżące na niej gazety w poszukiwaniu jakiegokolwiek karteczki z wiadomością. Maria zawsze zostawiała je w tym właśnie miejscu na widoku, ale Tomkowi zdarzało się je czymś przykryć.

„Może zdołali uciec” – przekonywał wbrew rozsądkowi i faktom zielony głos w głowie Drelicha.

„Ale gdyby tak było – szepnął drugi – Maria na pewno by napisała, żebyś się nie martwił. A w ogóle to by do ciebie zadzwonili...”

Wśród papierów znalazł dużą kopertę z napisem: „Dla Kacpra”. Była rozerwana z boku na całej długości. Cokolwiek do niej włożono, ktoś już to zabrał.

Rozległ się dźwięk telefonu. Kacper aż podskoczył. Błyskawicznie złapał za słuchawkę stojącego obok aparatu, ale usłyszał tylko ciągły sygnał. Dopiero po chwili zorientował się, że coś dalej dzwoni, a na dodatek wibruje w jego kieszeni.

Sięgnął po komórkę i odebrał, czując, że jak nigdy potrzebuje odpoczynku. Odrobiny normalnego snu.

– Kacper Drelich, słucham.

– Strasznie się grzebiesz, kochanieńki – dobiegł go ochrypły bas. Sądząc po tonie, jego rozmówca świetnie się bawił. – A naprawdę nie mamy na to czasu. Oni już po ciebie jadą.

– Kto? – nie zrozumiał Kacper. – I kim, do diabła, jesteście?

Z komórki dobiegł chrapliwy śmiech.

– Czy naprawdę musimy rozmawiać przez telefon, skoro dzieli nas jedna ściana? Czekam w jadalni.

Zanim Drelich zdążył odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Niemal w tej samej chwili zza zamkniętych drzwi jadalni rozległy się dźwięki „*Circles in the Sand*”.

Kacper zacisnął palce na kolbie pistoletu i powoli podszedł do drzwi.

Przywarł do ściany, lewą rękę kładąc delikatnie na klamce. Policzył po cichu do trzech i pchnął, jednocześnie stając frontem do wejścia z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Tuż przed nim stał, również uzbrojony, mężczyzna z głową kozła. Jego oczy płonęły czerwienią, a usta zdawały się wykrzywiać w drwiącym uśmiechu.

– Czy możemy spokojnie porozmawiać, czy najpierw wolisz się przekonać, że nie jesteś w stanie zrobić mi tą pukawką krzywdy? – zapytał Satyr.

Kacper zacisnął na broni również drugą dłoń. Stał teraz na lekko rozstawionych nogach jak kadet na strzelnicy – w najlepszej pozie do oddania strzału.

– Gdzie są gospodarze? – warknął.

– O, widzisz! – Satyr sięgnął lewą ręką do kieszeni i wydobyl paczkę papierosów. Wyciągnął jednego ustami, jakby wcale nie nosił maski kozła, jakby to była jego prawdziwa twarz. – To kolejny powód, dla którego powinieneś posłuchać, co mam ci do powiedzenia, zamiast straszyć mnie zabezpieczonym pistoletem.

Z uśmiechem wycelował z własnej broni w kierunku ust. Nacisnął spust, wtedy rozległ się cichy trzask i z lufy buchnął błękitnawy płomyk.

– Widzisz! – powiedział Satyr, odpalając papierosa. Wydawał się delektować zaskoczoną miną Drelicha. – I mnie się też widzi, stary, że masz nieliche kłopoty. Marnie wyglądasz, dręczą cię koszmary, a do tego twoja żona uważa cię za mordercę. W pracy jeszcze co prawda nie jest najgorzej, ale gdy tylko twój kumpel odejdzie ze stanowiska, co pewnie nastąpi niebawem, ktoś przypomni sobie spieprzoną akcję w doku i śmierć informatora. Słowem, masz przesrane. No a do tego jeszcze oni. Już tu jadą, wiesz?

– Gdzie są gospodarze? – powtórzył swoje pytanie Kacper. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusję z wariatem. Nie obchodziło go, kim są ONI i dlaczego Agnieszka miałyby uznać go za mordercę. Gdzieś miał wyjaśnienia, dlaczego Franek miałby niebawem odejść. Teraz chciał wiedzieć tylko, gdzie są jego teściowie i szwagier. Reszta nie miała znaczenia.

– Jeśli zerkniesz na telewizor, zobaczysz coś, co powinno cię zainteresować. – Satyr, nic sobie nie robiąc z wycelowanej w niego lufy, przysiadł na oparciu fotela i wskazał ręką włączony odbiornik. – Oczywiście wiem, że nie zrobisz tego w tej chwili, ale proszę, zrób to, zanim oni przyjadą. To pozwoli ci na zadanie kilku nowych pytań. Co do odpowiedzi zaś, pewnie udzieli ci ich twój przyjaciel ksiądz. O ile wciąż jeszcze jest wśród nas.

– Gdzie są...

– Najprawdopodobniej w raju – Satyr wszedł mu w zdanie. – Mieli więcej szczęścia niż biedak, którego zabiłeś w piwnicy, ale zapracowali sobie na królestwo niebieskie. To byli dobrzy ludzie, prawda?

Drelichem aż zatelepało. Pomyślał, że to mogła być jedynie prowokacja, ale jeśli tak, to bardzo się, kurwa, udała. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby ktoś taki terroryzował jego rodzinę. Wciągnął powietrze jak przy nurkowaniu i powoli, spokojnie nacisnął spust.

Rozległ się strzał, a ciałem Satyra targnął dreszcz. Wypuszczając z ust papierosa, mężczyzna upadł na ziemię. Niemal natychmiast znieruchomiał.

Kacper powoli opuścił broń i zbliżył się do niego ostrożnie. Wymierzył w głowę leżącego. Potem przyklęknął nad nim i odsłoniwszy lewą ręką kawałek maski, dotknął jego szyi. Nie wyczuł śladu pulsu, za to mało nie wymiotował z powodu smrodu bijącego od ciała. Tak mogły cuchnąć tylko zwłoki w stanie głębokiego rozkładu.

Przysłonił ręką usta i odwrócił głowę. Jego wzrok zatrzymał się na ekranie telewizora, gdzie właśnie on sam, tylko dużo młodszy, kochał się z nieznaną mu piękną dziewczyną. Za nimi w wielkim oknie widać było górską panoramę.

Coś dotknęło jego prawej ręki. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał wprost w czerwone oczy Satyra.

– Mówiłem, że nie zrobisz mi krzywdy – powiedział mężczyzna i nagłym, potężnym szarpnięciem zrzucił Drelicha z siebie.

Ten przeleciał przez pokój, uderzając plecami o szafę i prawie tracąc przytomność. Ból był tak potężny, że wszystko widział jak przez mgłę, a o ruszeniu się nie mogło być mowy.

Satyr wstał powoli i spokojnie otrzepał marynarkę.

– Powiedz im, by koniecznie zabrali ze sobą kasetę. Może pozwolą ci obejrzeć ją w całości. Choć reszta nie jest już tak słodka. Twojej żonie nie przypadła do gustu.

Kucnął i sięgnął po wciąż żarzącego się papierosa.

– Jak to jest, że źli palą zawsze mentolowe? – pomyślał głośno. Odwrócił się i przesłał Kacprowi promienny uśmiech. – Gdy przyjadą, nie będą chcieli cię słuchać, a staruszków i małego zaliczą pewnie na twoje konto. Ale jeśli chcesz wiedzieć co i jak, nie możesz teraz uciec. Twój księżulo ma przez ciebie kłopoty, a to jedyna osoba, która może ci cokolwiek wyjaśnić. I cokolwiek by się działo, pamiętaj, że twoja żona i syn wciąż gdzieś są. Żywi. Co prawda ona nienawidzi cię teraz całym sercem, ale to nie powód, byś przestał się starać, nie? Liczę na ciebie.

Zaciągnął się papierosem i ruszył w stronę wyjścia.

Kacper powoli uniósł prawą rękę. Za żadne skarby nie mógł pozwolić, żeby ten cholerny przebieraniec wyszedł. Może poprzednio nie trafił, ale teraz... Zaciskając zęby, spróbował nacisnąć spust, ten jednak ani drgnął.

– Tym razem naprawdę jest zabezpieczony – rzucił Satyr, znikając za drzwiami. Po chwili już z przedpokoju dodał: – Bądź grzeczny, stary, i pamiętaj, że nie masz zbyt wielu opcji. Zadbalem o to.



Dłuższą chwilę zajęło Kacprowi, najpierw by wstać, a później doczłapać do przedpokoju. Poruszał się wolno oparty o ścianę. Wolał nie ryzykować, że zemdleje, gdy tyle od niego zależało. Minął drzwi i oparłszy się jedną ręką o blat szafki, drugą podniósł słuchawkę telefonu. Już miał wybierać numer do Franka, gdy nagle zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co mu powiedzieć. „Przyjeżdżaj, stary, i weź wsparcie, bo mam tu nieśmiertelnego Satyra”?! Mógł oczywiście przekazać mu tylko to, co wydawało się sensowne i logiczne – zaginięcie teściów, włamanie najpierw do jego domu, a teraz tu, ale...

Z oddali dobiegł go dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Kimkolwiek byli tajemniczy ONI, przed którymi ostrzegał Satyr, właśnie się zbliżali.



ROZDZIAŁ 9

Czarne BMW o przyciemnianych szybach zatrzymało się tuż obok samochodu Kacpra. Kierowca wyłączył silnik i przez chwilę tłumaczył coś pasażerowi. Po chwili obaj wysiedli, by zaraz, nie zamykając nawet wozu, ruszyć w stronę domku.

Byli w podobnym wieku i ubrani jak bliźniacy, w takie same czarne spodnie i szare koszule z krótkimi rękawami. Jadący jako pasażer miał wpiętą koloratkę, kierowca pozwolił sobie na odrobinę luzu, nie dopinając koszuli pod szyją. Sztywny biały pasek wystawał mu z kieszonki koszuli niczym biały kwiat z butonierki.

– Na pewno ma broń – powiedział pasażer, drapiąc wierzchem otwartej dłoni po nieogolonym policzku. Gdyby nie dwudniowy zarost, wyglądałby jak typowy chłopak z dobrego domu: zadbane blond włosy zaczesane na bok, pogodna, nieco pucułowata twarz i jasne oczy. Do tego gładkie dłonie o wypielęgnowanych paznokciach. Spokojnie mógłby robić karierę jako model. – Jak to jest, gdy obrywasz?

– Nie bądź głupi – burknął kierowca. Nie był tak urodziwy jak kompan. Miał duży, lekko skrzywiony nos i czoło poznaczone wypryskami. Do tego długie, ciemne, związane w kucyk włosy oraz starannie przyciętą brodę. – Skąd mam to niby wiedzieć? Wydaje ci się, że ciągle tu do nas strzelają?

Blondyn wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem, ojcze Jakubie. Zresztą jestem tylko ciekaw. Czy kiedy taki pocisk wchodzi, czujesz gorąco jak od poparzenia, czy może tylko ukłucie, a potem...

– Może zaraz się przekonasz, jeśli Pan zechce. Wchodzisz pierwszy.

– Dobrze. – Blondyn westchnął ciężko, ale skinął głową. Przyspieszył i zapukał w ramę siatkowych drzwi.

– I pamiętaj, co masz mówić, jak spotkasz gospodarzy – przypomniał ojciec Jakub.

– Pamiętam.

Stał przez chwilę, po czym zapukał jeszcze raz.

– Jest tam kto?! – zawołał, łapiąc za klamkę. Ustąpiła. Popchnął drugie drzwi, które też otworzyły się cicho. – Wygląda na to, że nikogo.

Przeżegnał się, wszedł do środka... i ledwie przestąpił próg domu, poczuł, jak coś chłodnego i twardego dotyka jego skroni.

– Ksiądz. Dlaczego nie jestem zdziwiony? – wycedził Kacper. – Nie wiem, czy rozmawiałeś ze swoim kumplem w masce, ale mogę cię zapewnić, że tym razem spluwa jest odbezpieczona. I jeśli się ruszysz, zrobię ci z mózgu piankę.

Blondyn ostrożnie skinął głową.

– Masz jakąś legitymację albo coś? – zapytał Drelich, mocniej dociskając pistolet. Tamten sięgnął do tylnej kieszeni i podał skórzany portfel. W środku znajdował się dokument zaświadczający, że jego właściciel jest zakonnikiem Towarzystwa Jezusowego. Jednak Kacper nie

znał się na tego typu kwitach, nie potrafił więc stwierdzić, czy papiery są autentyczne.

– Zawołaj tego drugiego – polecił.

– Ojcie Jakubie...

– Już go znalazłeś? – zapytał drugi zakonnik. Kacper nie mógł go widzieć, ale odniósł wrażenie, że księżulo nieźle się bawi.

– Można tak powiedzieć – odparł blondyn. Śledził uważnie każdy ruch Kacpra, póki ten nie stanął mu za plecami.

Drelich wciąż trzymał pistolet w wyciągniętej ręce. Ból sprawiał, że miał problemy z oddechem, ale mimo to stał prosto i pewnie na nogach.

– Cofnij się – polecił, po czym głośniejszym głosem dodał: – Ty, drugi, masz zejść ze schodków i stanąć frontem do domu! Inaczej zastrzelę pięknisia.

Postąpił krok do przodu, wypychając blondyna na werandę, a potem zmuszając go do zejścia po schodach. Gdy obaj duchowni stali już przed gankiem, Kacper podszedł do barierki i opierając się o nią, usiadł na najwyższym stopniu.

– No dobra – powiedział. – Może któryś z was wyjaśni mi, o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego dwaj księża włamują się do domku na wsi i do czego jestem wam potrzebny?

Ojciec Jakub, który w przeciwieństwie do swojego towarzysza wcale nie wyglądał na zalęknionego, uśmiechnął się lekko.

– Taka służba – odparł. – Niezbadane są wyroki Pana.

Kacper nabrał powietrza i odetchnął głęboko. Nie miał ochoty wdawać się w tego typu gierki. Zwłaszcza że było z nim coraz gorzej.

Właściwie Satyr wyświadczył mu przysługę, rzucając nim o ścianę. Ból nie pozwalał zamknąć oczu, zasnąć na stojąco. Ale gdy Drelich sięgnął do kieszeni, poczuł, że pot spływa mu po czole, a przed oczami pojawiły się ciemne plamy. Z trudem wyjął telefon i kciukiem wyłączył blokadę.

– Więc powiedzcie mi, kto mógłby mi to wyjaśnić. I kto mógłby się przejąć waszym losem. Biskup?

Zakonnicy popatrzyli po sobie. Ojciec Jakub wzruszył ramionami, więc blondyn wyrecytował numer.

„Stacjonarny – pomyślał Kacper, wklepując go do telefonu. – Dobra, łatwiej sprawdzić, jakby co”.

– Gdzie są gospodarze? – zapytał naraz ojciec Jakub.

– Gównu cię to obchodzi – warknął ostrzej, niż zamierzał, Drelich. Nie miał zamiaru odpowiadać na żadne pytania, zresztą sam nie miał pojęcia, gdzie oni są. Mimo wszystko wciąż wierzył, że jednak żyją, choć było to bardzo mało prawdopodobne. Ale gdy człowiek jednego dnia ma do czynienia z nieśmiertelnym Satyrem i zakonną mafią, gotów jest uwierzyć niemal we wszystko. A nadzieja i ból pchały go do przodu.

– Ojciec Ignacy, Towarzystwo Jezusowe, słucham – rozległo się w telefonie.

„Więc jednak naprawdę księży. Albo budując tę szopkę, wzięli pod uwagę dosłownie wszystko – przemknęło mu przez głowę. – Albo przebierańcy, tylko znali właściwy numer”.

– Moje nazwisko nic księdzu nie powie – zaczął z wahaniem. – Mam właśnie na muszce dwóch ludzi, którzy podają się za jezuitów. I twierdzą, że ksiądz wyjaśni mi pewne sprawy.

Zapadła cisza. Kacper był już prawie pewien, że zakonnik zdębiał, nie rozumiejąc, o co chodzi. Tylko po co ci fałszywi duchowni próbowali mu wcisnąć bajeczkę, którą tak łatwo sprawdzić?

– Jest ksiądz tam?

Już miał się rozłączyć, kiedy znów usłyszał głos ojca Ignacego. Spokojny i opanowany.

– Pan Drelich, czy tak? – I nie czekając na potwierdzenie, jezuita dodał:
– Pańskie nazwisko wiele mi mówi. Spotkajmy się gdzieś. Spotkajmy się jak najszybciej, synu.

Kacper skrzywił się na to ostatnie słowo. Zacisnął zęby. „I cokolwiek by się działo – przypomniawszy sobie słowa Satyra – pamiętaj, że twoja żona i syn wciąż gdzieś są. Żywi”.

Jeśli mieli znowu być razem, musiał rozwiązać tę cholerną sprawę.

– Zaczekam tu na ciebie – powiedział, nie bawiąc się już w uprzejmości.
– Skoro posłałeś tu tych dwóch, z pewnością trafisz.

Nagle przypomniał sobie, że Satyr wspomniawszy także o ojcu Janie. O kłopotach, które rzekomo ma przez Kacpra. Jeśli to prawda, a wszystko pozostałe na razie się sprawdziło, miał teraz szansę na uratowanie zakonnika.

– Koniecznie zabierz też ze sobą ojca Jana. Bez niego, całego i zdrowego, możesz od razu przywieźć worki na kolegów.

Rozłączył się i schował telefon. Teraz mógł już tylko czekać.



Przełożony odłożył słuchawkę i oparłszy łokcie na blacie dębowego biurka, złożył dłonie w piramidkę. Zmrużył oczy, wpatrując się w punkt na ścianie tuż nad głową ojca Jana, który siedział w fotelu naprzeciw. Przez chwilę ojciec Ignacy milczał, koniuszkami palców wskazujących masując nasadę nosa i oddychając głęboko. Nagle wstał i uśmiechnął się wesoło.

– Cóż – rzucił do starego jezuita, wciskając przycisk interkomu – wygląda na to, że będziemy musieli dokończyć naszą jakże ciekawą rozmowę nieco później, ojczec. Teraz jest ktoś, kto koniecznie chce się z ojcem widzieć, a my nie możemy pozwolić mu czekać.

Z interkomu dobiegł głos brata recepcjonisty. Przełożony polecił mu przywołać brata Anzelma.

– Twój przyjaciel, ojciec – ponownie zwrócił się do Jana – mierzy właśnie do naszych braci z głębokim przekonaniem, że jest teraz równym graczem. Kto wie, może uważa nawet, że to on rozdaje karty. A my oczywiście pozwolimy mu w to wierzyć.

Ominął biurko i wyciągnął rękę do siedzącego zakonnika.

– Skoro jednak mamy tam ruszyć razem, muszę wiedzieć, czy mogę znów na ojca liczyć – powiedział, po czym dodał przyjacielskim tonem: – Przecież wie ojciec, że to dla dobra nas wszystkich. Trudno przewidzieć dokładnie skutki jego poczynań, ale mogą być one katastrofalne. Musimy to poukładać, tylko wcześniej chcę mieć pewność, że syn marnotrawny powrócił. Czy mogę w to wierzyć?

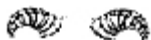
Ojciec Jan wstał i po chwili wahania uściśnął podaną dłoń. Przełożony uśmiechnął się, klepiąc go po ramieniu.

– Poczekaj tu zatem chwilę, ojciec – polecił, podchodząc do drzwi. – Zaraz przyjdzie brat Anzelm i razem pojedziemy po twojego przyjaciela. A potem zadbamy, by wszystko potoczyło się, jak powinno.

Wyszedł, zostawiając kapłana samego.

– Nie wypuszczać – nakazał jezuitcie siedzącemu przy drzwiach. – I nie wpuszczać nikogo prócz mnie i brata Anzelma.

„Zaufanie odbudowuj powoli i ostrożnie” – przypomniał sobie starą prawdę. Ani myślał jej się sprzeniewierzać.



– Powiedział coś nowego? – Franek wszedł do pokoju za weneckim lustrem i zerknął ukradkiem na Giezaszczyka w pokoju przesłuchań. Mężczyzna tkwił za stołem wyprostowany, prezentując się równie

nienagannie jak w momencie aresztowania. Nie poluzował nawet krawata, chociaż magłowali go już kilka godzin. Tuż obok wiceprezesa siedział jego prawnik, mężczyzna o twarzy okrągłej jak piłka plażowa, małym nosie zadartym jak u disnejowskich świnek i śladach łupieżu na ramionach marynarki.

– Papug nie daje mu dojść do słowa i kwestionuje każde nasze pytanie – odparł znudzonym głosem starszy aspirant Talar.

O ile Trolewskiego nie myliła pamięć, chłopak był z rocznika Kacpra. Lubił wypić i wszczynać bójkę po pijaku, przez to kilka razy załapał się na naganę i raz na degradację. Zwolnić go jednak nie chciano, bo gdy trzymał się prosto, był jednym z najlepszych mózgow na komendzie. Franek zresztą nie miał nic przeciwko takiemu układowi. Cenił sobie chłopaka – był użyteczny.

– Sławek miota się jak pies z puszką na ogonie – kontynuował Talar. – Wypił już chyba z pięć kubków wody. A ledwie o coś zapyta, tamci zasłaniają się taką lawiną paragrafów, że nie nadążamy ich sprawdzać, a co dopiero mówić o obejściu.

Trolewski westchnął i złapał za klamkę do pokoju przesłuchań.

– Mam nadzieję, że nagrywacie to wszystko? – zapytał.

Starszy aspirant skinął głową.

– Tak, i poinformowaliśmy ich o tym. Jeszcze tego by brakowało, żeby nas złapali na formalnych pierdołach.

Franek roześmiał się i nacisnął klamkę.

– Sierżancie, może pan wyjść – powiedział do policjanta, zupełnie lekceważąc Giezaszczyka i jego prawnika. – Zastąpię pana.

– Tak jest, panie komendancie – w głosie policjanta dało się usłyszeć ulgę. Zabrał z krzesła kurtkę, zgniótł plastikowy kubek, z którego pił, i ruszył do wyjścia.

– Niech ktoś mi zrobi herbatę – poprosił Trolewski.

Stał jeszcze chwilę przy drzwiach, po czym podszedł niespiesznie do wolnego krzesła, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu. Usiadł, wyciągając kartkę i długopis. Zaczął coś pisać.

Prawnik i jego klient wymienili zdumione spojrzenia.

– Przypominam panu... – zaczął adwokat, ale podinspektor wszedł mu w zdanie.

– Mam dobrą pamięć – stwierdził, nie podnosząc głowy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem wszedł Talar, niosąc kubek z herbatą. Franek, wciąż nie podnosząc głowy, podziękował.

Gdy skończył pisać, raz jeszcze przyjrzał się kartce. Wreszcie, odetchnąwszy głęboko, wstał i podał ją prawnikowi.

– Proszę, to jest wszystko, co nas interesuje – oznajmił. – Ufam, że przeczyta to pan swojemu klientowi w taki sposób, aby żadne z pytań nie ugodziło w jego prawa. Pan Giezaszczyk może odpowiedzieć na tej samej kartce albo głośno, bo jak zapewne panowie pamiętają, przesłuchanie jest nagrywane.

Wrócił na swoje miejsce i podniósł kubek. Upił z niego łyk, a potem, odstawivszy go, ruszył w stronę wyjścia.

– Aha, w przypadku odpowiedzi ustnej proszę też zaznaczyć, którego pytania dotyczy. A najlepiej na pół godziny wyłączymy nagranie, żeby panowie mogli się skonsultować. Później czekam.

Kątem oka dostrzegł, że mecenas zamierza coś odpowiedzieć, ale ani myślał dać mu tej satysfakcji. Wyszedł z sali przesłuchań, nie oglądając się za siebie.

– Wyłączyć mikrofon? – zapytał Talar z drwiącym uśmiechem.

– Tylko spróbuj, a nogi z dupy powyrywam – odparł Trolewski. – Będę u siebie, jakby co.

Aspirant skinął głową i znowu wlepił wzrok w szybę.



– Czy możemy usiąść? – zapytał ojciec Jakub. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział do Kacpra od co najmniej kwadransa.

Drelich też jakoś nie nalegał na rozmowę, odkąd odkrył, że zakonnicy nie zamierzają niczego mu wyjaśniać. Wzruszył więc tylko ramionami.

– Jeśli nie przeszkadza wam siedzenie na ziemi, to proszę uprzejmie.

Jezuita usiadł i skrzyżował nogi. Drugi zaraz poszedł za jego przykładem. Po chwili jakby nigdy nic zaczęli rozmawiać o piłkarskich rozgrywkach małej ligi.

Kacper słuchał ich przez jakiś czas, ale potem jego myśli uciekły w zupełnie inną stronę.

Zastanawiał się, gdzie Satyr ukrył teściów i szwagra. Wciąż miał nadzieję, że rodzina żony jednak żyje. Może wszyscy troje są związani, może pobici, ale wciąż oddychają. Na razie jednak nie za bardzo mógł przeszukać dom. Musiał pilnować jezuitów.

Postanowił więc skupić myśli na innej dręczącej go sprawie – kasecie wideo, która tkwiła teraz za paskiem jego spodni przykryta koszulą. Zanim ją wyłączył, zdążył jeszcze dostrzec ujęcie, gdy bije w twarz kobietę, z którą chwilę wcześniej się kochał. Nie przypominał sobie niczego takiego, ale jego wygląd świadczył, że to wszystko nastąpiło przed egzorcyzmami. Tylko jakoś wcale nie wyglądał na tym filmie na opętanego.

„A czego się spodziewałeś?! – warknął do siebie w myślach. – Zielonej twarzy? Rzygania na pół pokoju? Brzydkich zabaw z krzyżem?!”

Dopuszczał, rzecz jasna, myśl o fotomontażu, choć mając w życiu do czynienia z kilkoma obrabianymi filmami, szczerze w to wątpił. Owszem, pewnie byłoby to możliwe, ale wymagało zbyt wiele zachodu... i pieniędzy.

Poza tym po jego głowie krążyło jeszcze jedno wspomnienie – serwetki zapisane przez Słęczkiewicza. A zwłaszcza ostatni zapis: „zabiłem ją zabiłem”. Czy było możliwe, żeby chodziło o tę właśnie dziewczynę, którą uderzył? Postanowił przy pierwszej okazji obejrzeć taśmę do końca. Może ona coś mu wyjaśni.

Rozległ się dźwięk telefonu. Kacper sięgnął do kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Dostrzegł na nim ten sam stacjonarny numer przełożonego jezuitów, pod który wcześniej dzwonił.

„A więc jeszcze nie wyruszyli. Albo tylko ich gruba szycha nie pofatygowała się osobiście” – dodał w myślach. Odebrał.

– Tak, słu...

– To ty, Kacper? – usłyszał cichy głos ojca Jana. – Wsiadaj natychmiast w samochód i wuj stamtąd. Spotkamy się w „Złotej” za godzinę. Jeśli nie przyjdę, uciekaj...

– Ja... – zaczął Drelich, ale zakonnik zdążył się rozłączyć.

Kacper podniósł się i powoli zszedł po schodach. Dwaj zakonnicy przerwali rozmowę i nagle zaczęli przyglądać mu się z zaciekawieniem, a nawet z lekkim niepokojem. Tymczasem on z odległości kilku kroków wycelował pistolet pomiędzy księży.

– Wyrzucie na ziemię dokumenty, telefony, kluczyki od samochodu – rozkazał.

– Nie rozu... – zaczął blondyn, ale huk wystrzału zagłuszył jego słowa. Pocisk uderzył w ziemię między jezuitami, wzniesając kurz.

– I lepiej się pospieszcie.

Posłusznie wydobyli telefony, portfele, a ojciec Jakub także kluczyki. Rzucili wszystko pod stopy Drelicha.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał ojciec Jakub. – Chyba nie chcesz stąd odjechać?

– Mała zmiana planów – odparł Kacper. Przykucnął, żeby zebrać leżące przed nim przedmioty, i nagle zakręciło mu się w głowie tak mocno, że stracił równowagę. Oparł się na lewej ręce i zamrugał. Chciał znów wycelować w zakonników, ale było już za późno.

Ojciec Jakub niewiarygodnie wręcz szybko doskoczył do niego i chwytając rękę z pistoletem między kolana, przekręcił ją w bok, a potem wyrwał Kacprowi broń.

Drugi z zakonników podbiegł i podniósł spluwę. Wymierzył do Drelicha, ściskając mocno rękojeść, a obie ręce trzymał wyprostowane w łokciach. Widać było, że po raz pierwszy w życiu ma broń w ręku.

Mimo zaskoczenia Drelich zdołał dostrzec tę postawę i w niej upatrywał swojej szansy. Lewą ręką z całej siły uderzył w krocze ojca Jakuba.

Plan wydawał się prosty. Powalić jezuitę, który blokował jego prawą rękę, a potem rzucić się pod nogi drugiego, zanim tamten odda strzał. Niedoświadczony blondyn nie strzeli w zwarciu, chyba że przypadkiem, ale to było ryzyko, z którym Kacper musiał się liczyć.

Wszystko było jasne i wydawało się dość proste, tyle że... ojciec Jakub nie upadł ani się nie zgiął od ciosu. Przez jego twarz nie przemknął nawet cień bólu. A przecież Kacper był pewien, że uderzył go naprawdę mocno i co ważniejsze, trafił.

Na szczęście jedna nietypowa reakcja wywołała kolejną. Blondyn na moment opuścił broń i spojrzał na ojca Jakuba. Była to krótka chwila, ale wystarczająca, by Drelich zaryzykował wyszarpięcie dłoni. Oswobodzony rzucił się na uzbrojonego zakonnika.

Padł strzał. Odpryśnięty kamień uderzył Kacpra w nogawkę. Zbyt lekko, by zranić. Choć nie mógł być tego pewien, w tej chwili w głowie kolejny już raz szumiało mu od adrenaliny. Udało mu się złapać za nogi blondyna i

mając w pamięci, jak powalił go na ziemię Ślęczkiewicz, wbił oba kciuki w zgięcia kolan jezuity.

Tym razem reakcja była taka, jakiej oczekiwał. Zakonnik wygiął się do tyłu i runął na ziemię. Kacper wczołgał się na niego, chwycił blondyna za uzbrojoną rękę, ale w chwili gdy dotknął kolby, ojciec Jakub pochwycił go za ubranie, z łatwością uniósł i cisnął na bok. Miał w sobie taką samą siłę jak ten cuchnący trupem mężczyzna o gębie satyra. Musieli mieć ze sobą wiele wspólnego.

Ojciec Jakub ruszył powoli, szczerząc zęby w nieprzyjemnym uśmiechu. Blondyn gramolił się tuż za nim, rzucając uważne spojrzenia na boki i wyraźnie czegoś szukając. I gdy dzieliło go od Drelicha już tylko parę kroków, nagle krzyknął: – Zabrał pistolet, uważaj!

Wciąż leżący na ziemi i ukrywający pod sobą prawą dłoń Kacper uznał, że nie ma już na co czekać. Wyciągnął rękę, strzelił dwa razy.

„Jeżeli ma coś wspólnego z Satyrem – pomyślał – może to wiele nie dać”.

Z dachu domu poderwały się ptaki przestraszone hukiem wystrzału, potem zapadła cisza.

Drelich wstał wyraźnie rozradowany widokiem krwi, która zabarwiła koszulę księdza. Mierząc od jednego do drugiego, złapał kluczyki i ruszył w stronę samochodu. Zastanawiał się przez moment, czy nie wrócić po komórki tamtych, ale ryzyko było za duże. Poza tym i tak przecież nie odciął kabla od telefonu domowego, więc jakie to miało teraz znaczenie?

Wsiadł do wozu i wycofał go żegnany nienawistnym spojrzeniem blondyna. Drugi z księży wciąż leżał na piachu, brocząc krwią.



Ojciec Jan klęczał na podłodze gabinetu i modlił się cicho. Zdał sobie sprawę z tego, jak rzadko robił to ostatnimi czasy. Przez te wszystkie lata kazał sam sobie wierzyć, że wie, co ma robić, że boskie wytyczne, znaki, jakie odebrał, już się nie zmienią i tak naprawdę modlitwa nie jest mu potrzebna. Zwłaszcza że klękając przed Panem, musiałby się przyznać do tego, co uczynił. A tę chwilę za wszelką cenę wolałby odwlec. Do dziś.

Jak każdy znał opowieść o Lucyferze, który zbuntował się przeciw Stwórcy, bo nie chciał oddać pokłonu człowiekowi. Lucyfer i jego bracia mieli być pierwszymi pasterzami Jego trzody, ale zadrwili z dzieła boskiego.

„Ale ja ukochałem tego człowieka, Panie – tłumaczył się ojciec Jan, spoglądając na przepęloną cierpieniem twarz ukrzyżowanego Chrystusa. – Umiłowałem go ponad wszystko, co mi dałeś. Przez pamięć na historię zbuntowanego anioła nie karz mnie za miłość. Co tam mnie, nie karz Kacpra, Panie. Pomóż mi go ocalić”.

Boskiej odpowiedzi nie było, ale gdy podniósł się z klęczek, zdał sobie sprawę, że nagle wie, co ma robić. To było jak objawienie.

Podszedł do biurka i podniósł z niego cieniutki nożyk do papieru. Wbił go sobie we wnętrze lewej dłoni, po czym przejechał ostrzem w dół. Schował nożyk za pasek i przyłożył do rany arkusz bibuły. Następnie stanął przed krzyżem. Prawą ręką ostrożnie zdjął go ze ściany i własną krwią oznaczył wszystkie rany Pana, na sam koniec zostawiając głowę. Wyciskając nabrzmiałą szkarłatem bibułę, przejechał nią po koronie z cierni.

Zawiesił krzyż z powrotem i spojrzał nad siebie. Z sufitu zwiślał ozdobny żyrandol z przyciemnionych szybek. To przez nie światło w gabinecie przełożonego było mdłe i rozproszone jak w gotyckiej katedrze.

Ojciec Jan stanął na biurku i pomagając sobie nożykiem, wyjął kilka brązowych szybek. Pomieszczenie wypełnił blask stuwatowej żarówki.

Kapłan zszedł z blatu i schował szkiełka pod mebel. A sam padł na podłogę przy wejściu i zaczął cicho zawodzić. Twarz miał zwróconą w stronę krzyża.

Brat Anzelm, choć nie mógł powiedzieć tego głośno, uwielbiał chwile takie jak ta. Gdy wszedł do sekretariatu przełożonego, brat sekretarz poderwał się na równe nogi, oczekując poleceń. Zakonnik siedzący przy drzwiach również wstał, do tego z ukłonem.

„Każdy zna swoje miejsce – myślał brat Anzelm – i nikt nie chce być wyżej, niż jest”.

Jemu samemu również odpowiadało miejsce, w którym się znalazł. Wystarczająco wysoko, by odbierać zaszczyty, a dość nisko, by nie musieć podejmować decyzji. Krok wyżej i znalazłby się na piedestale, z którego tak łatwo przecież spaść. No i nie mógłby wizytować. A to, ku większej chwale Pana, ukochał najbardziej.

– Możesz odejść – powiedział jezuita siedzącemu przy drzwiach. Tamten skinął głową i bez słowa zniknął z sekretariatu.

Tymczasem brat Anzelm chwycił za klamkę przy drzwiach gabinetu. I nagle poczuł, że zalała go światłość. Zacisnął na moment oczy, po czym otworzył je i omiótł gabinet spojrzeniem. Dostrzegł, że na dywanie tuż obok fotela klęczy zawodzący jak szaleniec ojciec Jan. Trudno było zrozumieć większość wypowiedzianych przez niego słów, ale bez trudu wyłowił powtarzane jak refren „Panie” oraz „wybacz”.

Odruchowo spojrział na krzyż... i zamarł.

– Co się stało? – zapytał tuż za jego plecami brat sekretarz.

Anzelm gwałtownie odwrócił głowę.

– Nic – warknął. – Sprowadź tu przełożonego. Powinien być jeszcze w bibliotece. Jeśli nie, sprawdź, czy nie czeka w samochodzie.

Młody zakonnik pokiwał machinalnie głową. Zdążył już dostrzec ślady krwi na figurce Jezusa.

– Idźże, do cho... na miłość boską! – Brat Anzelm wypchnął go i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

– Co tu się stało, ojciec? – zapytał, pochylając się przy klęczącym kapłanie. Wiedział, że powinien zachować ostrożność, ale z drugiej strony, jeśli gdzieś miało zdarzyć się objawienie, to właśnie to miejsce zasługiwało na to najbardziej. Przełożonemu przecież zdarzało się rozmawiać z Bogiem i teraz dotknięcie ręki Pana musiał poczuć ojciec Jan. Anzelm przyklęknął obok skruszonego zakonnika. Pochwycił lewe ramię starego jezuitę, podnosząc go lekko.

I niemal w tej samej chwili ojciec Jan szarpnął się i zaufany przełożonego poczuł przejmującą szpilę bólu w swojej szyi. Dopiero co płaczący pod krzyżem zakonnik odepchnął go od siebie, wstał i otrzepał spodnie. Anzelm namacał przy swoim gardle rękojeść wąskiego nożyka do papieru.

– Niech Bóg Wszechmogący osądzi nas wedle naszych uczynków – powiedział ojciec Jan, kreśląc w powietrzu znak krzyża – mając miłosierdzie nad tymi, którzy go pragną.

Podszedł do biurka, by wziąć z niego jeszcze trochę bibuły. Potem otworzył drzwi, przebiegł przez sekretariat i ruszył dalej w stronę wyjścia awaryjnego.

Po chwili zwolnił i wyrównał krok. Nie podejrzewał, żeby wieść o jego buncie zdążyła się już rozejść po całym domu, ale wolał nie ryzykować zwracania na siebie uwagi współbraci. Każdy z nich był przecież oczami i uszami przełożonego. Szedł więc powoli przeszklonym korytarzem, kuląc

się na każdy szmer czy głos niesiony echem z końca skrzydła. Od czasu do czasu spoglądał w stronę przesłoniętego szklaną kopułą dziedzińca, ale w ruchach przemierzających go jezuitów nie dostrzegł żadnego napięcia czy niepokoju.

I wtem dobiegł go głos przełożonego. Ojciec Jan zastygł w miejscu, szukając nerwowo jakiegokolwiek kryjówki, ale jak na złość w pobliżu nie było żadnych drzwi. Przez jego głowę przecisnął się tabun rozpaczliwych myśli, każda jednak prowadziła donikąd.

– Rozumiem, że widział brat... to, co widział – mówił przełożony, sądząc po natężeniu głosu, całkiem blisko. – Ale naprawdę nie ma potrzeby, by mi to ciągle powtarzać. Gdzież w końcu spodziewać się takich wydarzeń, jeśli nie tu?

Ojciec Jan w przypływie bezsilności odwrócił twarz w stronę szyby, mając nikłą nadzieję, że przełożony, nie dostrzegłszy twarzy buntownika, nie pozna go i po prostu minie... I wtedy stary zakonnik zauważył przez okno, że tamten idzie korytarzem po przeciwnej stronie dziedzińca. Mimo to jego głos wciąż wydawał się wyraźny. Każde słowo.

„Cholerne akustyczne sztuczki!” – pomyślał ojciec Jan, przypominając sobie, że dzięki kopule rozciągniętej nad domem takie rzeczy zdarzały się tu przecież nadzwyczaj często. Wystarczyło stać dokładnie naprzeciwko siebie i mówić albo odrobinę głośniej, albo prosto do ściany, a już słowa niosły się pod kopułą na drugą stronę.

Nieraz sam żartował sobie w ten sposób z nowo przybyłych, wmawiając im, że słyszy ich myśli. Teraz w zdenerwowaniu jakoś wyleciało mu to z głowy.

Westchnął. Jak się okazało, odrobinę za głośno, bo przełożony spojrzął ponad dziedzińcem na przeciwległy korytarz. Ich oczy spotkały się, a po chwili ojciec Jan pędził jak oszalały, by jak najszybciej dopaść schodów.

Przeskakiwał naraz po trzy, cztery stopnie. Kilka razy o mało nie skręcił nogi, ale mimo to udało mu się dotrzeć na dół. Pchnął drzwi, uderzając równocześnie stojącego za nimi zakonnika, jednak nawet nie obejrzał się za siebie.

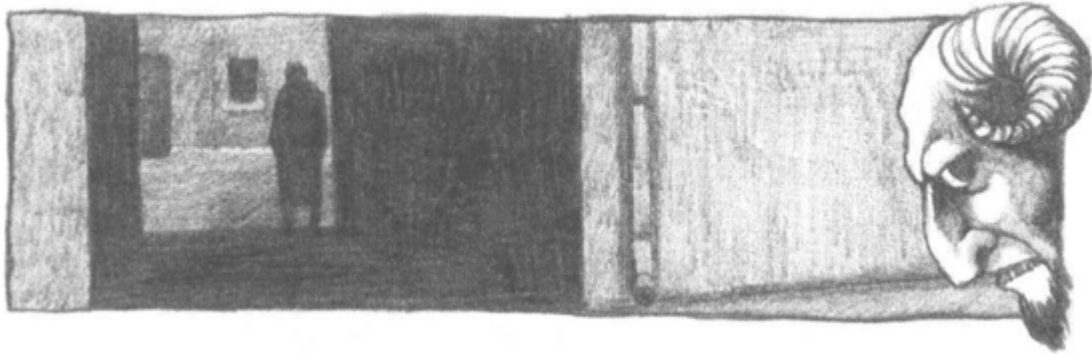
– Zatrzymajcie go! – krzyknął nagle przełożony, który właśnie pojawił się na zakręcie.

Ale nie było komu wykonać rozkazu. Pozostali bracia stali zbyt daleko.

Ojciec Jan pchnął drzwi wyjścia awaryjnego, modląc się w duchu, żeby były otwarte.

Były.

Wypadł na jedną z bocznych uliczek okalających dom zakonny. Naprzeciwko wznosiła się wysoka ceglana ściana sąsiedniej kamienicy, a po obu stronach były dwie ulice, wczesnym wieczorem na tyle ruchliwe, że mógł łatwo zniknąć w tłumie przechodniów. Wybrał tę po prawej. I ledwie wyjrzał z zaułka, trafił na stojącą przy chodniku taksówkę. Wskoczył do niej, dziękując Panu za Jego łaskę.



ROZDZIAŁ 10

– Jestem głodny, mamó – wyjęczał Gracjan. Nie brzmiało to jeszcze histerycznie, ale niewiele już brakowało. Agnieszka znów nacisnęła dzwonek i tym razem przytrzymała go chwilę dłużej. Rozległ się szcęk otwieranych zamków, niestety, za jej plecami. Odwróciła głowę i spojrzała w wysuszoną jak figa twarz kobiety o żółtawych oczach, haczykowatym nosie i włosach jak niewypłukany mop leżący kilka dni na słońcu.

– Pani szuka Szerlińskich? – zapytała kobieta skrzekliwym, ale mimo to miłym głosem. – Nie ma ich, wyjechali.

– Na długo? – zaniepokoiła się Agnieszka. – Bo wie pani, miałam się u niej zatrzymać parę dni i...

– Widać zapomniała – staruszka wzruszyła wychudzonymi ramionami – bo zabrali się przedwczoraj na jakieś dwa tygodnie. Pojechali gdzieś za granicę czy w tropiki. Prosił, żebym im podlewała kwiaty, ale zapomnieli dać klucz.

Agnieszka przejechała ręką po twarzy. Była już naprawdę zmęczona, a wszystko wskazywało na to, że teraz nie ma już dokąd pójść. Marta była ostatnią jej znajomą, której Kacper nigdy nie poznał. Głównie dlatego, że nie utrzymywały ze sobą kontaktów poza rzadkimi telefonami i zwyczajowymi: „Jak będziesz kiedyś w okolicy...”. Oczywiście skłamała staruszce, tak naprawdę wcale nie były umówione. Ale, do diabła, czy właśnie nie była w okolicy?

– Mamo, jeść! – tym razem głos chłopca nie brzmiał już jak jękliwa prośba. Raczej jak bunt.

– Może być gulasz? – zapytała staruszka, przekrzywiając głowę i uśmiechając się. – Ugotowałam sobie na parę dni, więc z całą pewnością wystarczy. Nawet dla tak wielkiego kawalera jak ty.

„Tak musiała wyglądać Baba Jaga zapraszająca do swej chatki Jasia i Małgosię” – pomyślała Agnieszka, ale w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko zaproszeniu. Po raz kolejny przeliczyła w głowie zawartość portfela i doszła do wniosku, że nie stać jej na dumę.

– Agnieszka Drelich – przedstawiła się, podnosząc torbę. – Ale ja naprawdę nie chciałabym robić kłopotu i...

Staruszka otworzyła drzwi na oścież i ustąpiła im miejsca.

– Mnie możesz mówić pani Kazia, moje dziecko. Wszyscy tu tak do mnie mówią – powiedziała. – Chyba że wolisz Baba Jaga jak dzieciaki.

Agnieszka roześmiała się z tego żartu i własnych myśli. „Dzieciak – pomyślała – tym właśnie jesteś”. Weszła do pachnącego lawendą przedpokoju. Ściany nie wyglądały na piernikowe.

Ojciec Ignacy stanął na progu swojego gabinetu. Minął zwłoki zakonnika rozciągnięte na dywanie niczym skóra niedźwiedzia przed kominkiem i podszedł do krzyża. Zdjął go ze ściany, przyjrzał się zakrzepłym plamom krwi, po czym starannie wytarł je rękawem.

– Wybacz mu, Panie – szepnął – albowiem nie wiedział, co czyni.

Odwiesił krzyż, przeszedł za biurko, usiadł i wcisnął REDIAL na telefonie. Tak jak podejrzewał, na czytniku wyświetlił się numer Drelicha. Odłożył słuchawkę, zanim zabrzmiał pierwszy sygnał.

Tak więc policjant był już ostrzeżony. Tym bardziej ojca Ignacego niepokoił brak reakcji wysłanych braci. Przełożony przetrząsnął biurko w poszukiwaniu kartki, na której zapisał sobie numery ich komórek, ale gdy nigdzie jej nie wypatrzył, przycisnął klawisz interkomu. Bzyczący odgłos nie zdążył jeszcze wybrzmieć, kiedy w otwartych drzwiach stał już czekający na polecenia sekretarz.

– Potrzebuję numerów ojca Jakuba i brata Hieronima – powiedział przełożony. – Poza tym niech ktoś zanieś ciało do kaplicy... i proszę wyznaczyć też kogoś do przeszukania celi ojca Jana.

– Tak, ojcze. – Zakonnik odwrócił się na pięcie gotów do wyjścia.

– Aha, jeszcze jedno. Przetrząśnijcie bazę w poszukiwaniu nazwiska Drelich. Na pewno miał jakichś przyjaciół. Zaczynajcie od żony. Ona przydałaby się nam najbardziej.



Hello darkness, my old friend – śpiewali właśnie w radiu Simon&Garfunkel, gdy Kacper przekroczył granicę miasta. Niedawno zaczęło padać, zmuszony był więc włączyć wycieraczki. Z lekkim rozbawieniem dostrzegł, że poruszają się niemal w rytm słów piosenki.

Usiłował skupić uwagę na czymkolwiek, co pozwalało mu nie myśleć o ostatnich godzinach. Gdy bowiem próbował do czegokolwiek dojść, w głowie zaczynało mu szumieć od natłoku myśli, a on sam czuł, jak nieuchronnie popada w szaleństwo. Na dodatek martwił się o los teściów i

małego szwagra. A przede wszystkim zastanawiało go, gdzie są Agnieszka i Gracjan.

Satyr powiedział, że żona uważa teraz Kacpra za mordercę, a to wskazywało, że dowiedziała się o parceli na Kwiatowej. A skoro wiedziała o tym, pewnie też ktoś doniósł jej o Josephine. Gdy tak nad tym dumał, brzmiało to całkiem sensownie. Tylko dlaczego Satyr zwrócił uwagę właśnie na morderstwo? Przecież o to akurat nie mogła mieć żalu. Nieraz ze łzami w oczach wyłączała telewizor, gdy podawali wiadomość o śmierci policjanta, który zginął tylko dlatego, że zgodnie z procedurą wyciągnął broń drugi. Jednak Satyr wyraźnie mówił...

„Czyżbym sam miał do tego dotrzeć? – pomyślał Drelich. – Może chodziło mu o to, żebym prześledził to wszystko, tak jak to właśnie zrobiłem”.

Potrząsnął głową.

„To jakiś pierdolony świr, a nie mistrz zen” – skarcił się w myślach.

Ktoś zatrąbił na niego i Kacper odruchowo poruszył kierownicą, odbijając w prawo. Minął go srebrny ford kombi. Po stronie pasażera siedziała kobieta o różowej twarzy napęczniałej jak ogromny balon. Powieki trzepotały jej niczym motyl uwięziony w dłoni, co babie nie przeszkadzało gestykulować równie nabrzmiałymi dłońmi. Po chwili samochód był już przed nim.

Może dobrze się stało, że Agnieszka wyjechała obrażona? Może to właśnie ją ocaliło? Jeśli teściowie nie żyją, jeśli Satyr mówił prawdę, wszystko wskazywało na to, że dzięki urażonej kobiecej ambicji uratowała siebie i ich syna. Później to sobie wszystko wyjaśnią. O ile będzie dla niego jakieś później... Miał nadzieję, że dowie się wreszcie czegoś sensownego od ojca Jana. Choć głos w głowie wciąż powtarzał: „Nadzieja jest matką głupich”.



Ojciec Jan klęczał nad grobem z nisko pochyloną głową. Pewnie mijający go przechodzień uznałby, że ksiądz modli się rozpaczliwie, on jednak lewą ręką dyskretnie grzebał w ziemi. Po chwili wyciągnął niewielkie zawiniątko starannie opakowane w folię. Otrzeptał je z ziemi i schował do kieszeni. Dokładnie zagrabił palcami ziemię, uśmiechając się do porcelanowego zdjęcia na nagrobku. Była to fotografia małego chłopca o pyzatyh policzkach i ciekawych świata oczach. BARTOSZ WOJNOWICZ, ŻYŁ LAT 5, POWIĘKSZYŁ GRONO ANIOŁKÓW.

Ojciec Jan wstał z klęczek i powoli ruszył w stronę wyjścia z cmentarza. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wstąpić do grabarza i zapłacić mu za opiekę nad grobem, ale doszedł do wniosku, że właściwie nie ma to już znaczenia. „Zostawcie umarłym chowanie umarłych” – przypomniał sobie słowa Pana. Miał teraz do uratowania żyjącego. I na tym powinien się skupić. Wsiadł do wciąż czekającej taksówki.

– Restauracja „Złota”, proszę. Jak najszybciej – rzucił kierowcy.

Czas był po temu najwyższy.



Agnieszka czuła się zażenowana, że nadużywa gościnności pani Kazi, ale z drugiej strony Gracjan bardzo potrzebował odpoczynku. To było widać. Chłopiec opróżnił cały talerz gulaszu, którego nigdy nie lubił, i zaraz zaczął trzeć ze zmęczenia oczy. A gospodyni nalegała: – Co to za ceregiele?! Powinniście zostać tu na noc. Robi się późno, a ty też wyglądasz mi na zmęczoną. A kto wie, może w międzyczasie ta

roztrzępana Szerlińska przypomni sobie o kluczach i zadzwoni, to powiem jej, że jest starą sklerotyczką i że na nią czekacie.

„Tak, i dowiesz się, że wcale nie byłyśmy umówione – pomyślała Agnieszka. – Wtedy zadzwonisz na policję, a do tej pory Kacper z pewnością zadba, żeby nasze zdjęcia były już we wszystkich komisariatach”.

Nie chciała myśleć o nim jak o mafiosie, ale nie miała ochoty, by ją znalazł. Gdy będzie gotowa, sama się z nim skontaktuje. Nie wcześniej.

– Nie chcę nadużywać pani gościnności – powiedziała głośno. – Jak tylko Gracjan się wyśpi, pójdziemy szukać jakiegoś hotelu.

Gospodyni aż zakrztusiła się herbatą.

– Hotelu?! – powtórzyła. – Zamiast do domu normalnie wracać? Wybacz starej kobiecie szczerłość, ale mnie się widzi, że ty raczej to od męża uciekłaś, a nie w gościnę wstąpiłaś.

Agnieszka chciała zaprzeczyć, ale kobieta uciszyła ją gestem.

– Nie musisz nic mówić. Sama uciekłam od dwóch. Dopiero przy trzecim byłam na tyle mądra, żeby to jego wyrzucić. Czasem chłopcy same się o to proszą.

Pozostało tylko pokiwać głową i sięgnąć po leżący na talerzyku sernik. Gospodyni miała rację, czasem aż się prosili.

– Jasne, jak tylko się pokaże, dam znać.

Kacper odłożył słuchawkę i zaklął. Niby znajomi byli po jego stronie, ale tak naprawdę każdy już się zastanawiał, co on takiego zrobił Agnieszce, że uciekła od niego z dzieckiem. Już słyszał te wywody: „Zawsze podejrzewałem, że pije” albo: „Taka mi się wydawała wyciszona, a jak kiedyś podniosła rękaw, widziałam siniec. Nic nie mówiłam, bo wydawało mi się, że to cień, a oni wyglądali na szczęśliwych”.

Wrzucił kolejną monetę i wystukał następny numer. Z komórki wolał nie dzwonić, bo jeśli żona nie chciała z nim rozmawiać, mogła uprzedzić przyjaciół, żeby nie odbierali. A tak miał choć szansę przekonać ich z zaskoczenia, że jego głos brzmi trzeźwo. O ile rzeczywiście tak brzmiał.

Tym razem nikt nie odebrał, więc Kacper zrezygnowany przeszedł do swojego stolika i usiadł. Przymknął na moment oczy...

Pomieszczenie zalało światło, a sam lokal zmienił się w poczekalnię lotniskową. Przed nim za ogromną szybą wznosił się właśnie ogromny jumbo jet ze znakiem niebieskiego żurawia na ogonie.

„A może to czapla” – zdążył pomyśleć Drelich, gdy nagle samolot w ułamku sekundy zgiął się wpół i zamienił w obłok ognia i dymu. Ludzie wokół zaczęli uciekać, ale było za późno – zaraz fala uderzeniowa dotarła do szyby oddzielającej poczekalnię od lotniska i rozbiła ją w drobny mak.

Kacper widział odłamki wbijające się w zdumionych ludzi, słyszał ich rozzierające, przeraźliwe wrzaski.

– Proszę pana...

Zamrugnął i spostrzegł, że znowu jest w „Złotej”. Stojący nad nim kelner wciąż trzymał go za ramię. Na razie delikatnie, ale palce miał tak ułożone, że wystarczyło lekko zwiększyć nacisk, aby policjant zaczął zwijać się z bólu. Postanowił więc zachowywać się uprzejmie.

– Słucham?

– Tutaj nie wolno spać – powiedział kelner. Miał twarz zbuntowanego nastolatka i zupełnie nie pasowała mu biała koszula, w którą go ubrano. Mówił jednak grzecznie i spokojnie. – Jeśli pan sobie życzy, mogę przynieść kawę albo zamówić taksówkę.

– Kawę, poproszę. – Drelich zdobył się na uśmiech. – Mocną.

– Tak że łyżeczka stanie dęba – odpowiedział chłopak i zabrał rękę z jego ramienia. – Ale swoją drogą, wygląda pan, jakby potrzebował snu.

– Za radę płacę ekstra?

Chłopak parsknął śmiechem i pokręcił głową.

Kacper przetaił twarz, równocześnie rozglądając się po wnętrzu restauracji. Widać było, że właściciel starał się zrobić z tego miejsca ekskluzywny lokal, ale równocześnie nie chciał zrezygnować z mniej wykwintnych klientów. Stąd po jednej stronie stał ozdobny kontuar, za którym pyszniła się ściana ekskluzywnych trunków. Przed nim ustawiono trójnożne lakierowane stoliki oraz krzesła o poduszkowych siedziskach i ozdobnych oparciach. Wszędzie śnieżnobiałe obrusy, świeczniki i stojaki na serwetki.

W drugim końcu sali był zaś bilard, automaty i lada z kranikami do piwa. Co prawda jedną część od drugiej oddzielał wysoki płotek porośnięty bluszczem, ale nie tłumił on dźwięków, nie tamował także zapachów. Poza tym obie części miały jedno wejście dokładnie na środku, więc żeby dojść do szatni w wykwintniejszej części, trzeba było minąć przynajmniej dwa gorsze stoliki.

Drelich jednak nie narzekał. Sądząc po jego obecnym wyglądzie, i tak powinien być wdzięczny, że wpuszczono go do tej lepszej części lokalu. Umył się co prawda, nawet kupił sobie nową koszulę i spodnie, ale twarz wciąż miał jak bokser usiłujący dotrzeć do ostatniego dzwonka, aby przegrać z honorem. Po namyśle uznał, że gdyby nie były zajęte tylko dwa stoliki, w dodatku w przeciwnym kącie sali, potraktowano by go mniej uprzejmie. Sam by się tak potraktował.

Przerywamy program, żeby nadać specjalne wiadomości.

Kacper odwrócił się. Głos dobiegał z drugiej części restauracji.

Znajdujemy się właśnie przy zgliszczach Teatru Narodowego, gdzie miała miejsce premiera spektaklu „Noce nieskończone” na podstawie noweli graficznej Neila Gaimana.

Kacper wstał i minąwszy płótek, przeszedł do drugiej części. Głos dobiegał z telewizora zawieszono nad barem. Tuż za dziennikarką o nijakiej twarzy jak w ukropie uwijali się strażacy na tle obłoków czarnego dymu i resztek gmachu teatru. Ratownicy co chwila wynosili poparzonych ludzi. Niektórzy dogorywali na noszach, wyjąc potępieńczo.

Z informacji, jakie udało nam się zdobyć, na sali znajdowało się blisko osiemset osób. Ładunki wybuchowe umieszczono na tyle precyzyjnie, że budynek zapadł się, nie niszcząc kamienic w pobliżu teatru. Cały czas czekamy na możliwość rozmowy z kimś ze sztabu kryzysowego.

Dziennikarka oddała głos do studia, gdzie spiker raz jeszcze powtórzył to, co wszyscy usłyszeli chwilę wcześniej. Drelich odwrócił się i dostrzegł w progu ojca Jana. Zakonnik nie mógł oderwać oczu od telewizora.

– Ojciec... – Kacper podszedł i dotknął go lekko.

– Niesamowite – stwierdził jezuita z podziwem w głosie. – A byłem pewien, że się nie uda.

– O czym ojciec mówi? – Drelich na wszelki wypadek cofnął się o krok, a jego ręka odruchowo powędrowała pod pachę, do kabury. Ksiądz dostrzegł ten gest, bo uśmiechnął się i uniósł ręce.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię – powiedział. – To i wiele więcej. Przejdźmy tylko do stolika.



Ojciec Jakub podniósł się powoli, najpierw tylko na kolana. Ślady na jego koszuli sugerowały, że powinien nie żyć, jednak nie wyglądał nawet na rannego. Zerwał z siebie strzępy koszuli i obejrzał pierś. Zamiast postrzałów miał teraz różowe blizny. Podrapał się po nich i zerknął na siedzącego obok wciąż przerażonego blondyna.

– Dzwoniłeś do ojca przełożonego? – warknął, wstając. Drugi zakonnik pokręcił głową.

– Ja... ja czekałem, zanim... Bo wie ojciec, ja... – bełkotał niezrozumiale.

Starszy jezuita podszedł i otwartą dłonią z całej siły uderzył go w twarz, tak że blondyn aż się zatoczył.

– Jesteś żaloszny, słyszysz? Żaloszny i nie ma z ciebie żadnego pożytku. Gdzie mój telefon?

Młodszy towarzysz wskazał komórki i portfele wciąż leżące na ziemi. Obok znajdował się breloczek z kluczami do samochodu.

– Ja naprawdę myślałem, że ojciec nie żyje. Tyle czasu minęło – tłumaczył się. – Myślałem, że to tak natychmiast się dzieje i wszystko wraca, że to zupełnie jak na...

– Nie myśl – nakazał ojciec Jakub, sięgając po dokumenty i telefon. Bóg mu świadkiem, że miał zamiar zostawić tego pętaka samemu sobie. Może gdyby się przespacerował, coś dotarłoby do jego pustego łba. Ruszył w stronę samochodu, po drodze wybierając numer ojca przełożonego.

Wsiadł i wychylił głowę.

– Czekasz na zaproszenie?! – zawołał.

Blondyn podniósł z ziemi swoje dokumenty, telefon i pognął w stronę BMW.

Gdy odjechali, ze stodoły wyłonił się Satyr. Wyglądał na zadowolonego.

– Wszystko na razie idzie świetnie, prawda? – Spojrzał za siebie, w kącie, gdzie za piramidą słomy siedziała związana rodzina Markiewiczów. Wyglądali na wykończonych, a sznury boleśnie wpijały im się w ręce i kostki, ale z całą pewnością żyli. – Jak wszystko się już rozstrzygnie, dam komuś znać, że tu jesteście, więc czekajcie cierpliwie.

Ruszył w głąb stodoły, gdzie stał jego samochód. Wsiadł do środka i ostrożnie wycofał. Raz jeszcze wychylił głowę. Jego oczy błysnęły czerwienią.

– I nie myślcie, że to przysługa – zapewnił. – Lepiej byłoby dla was, gdybym was teraz wykończył. Dlatego właśnie tego nie zrobię.

Parsknął śmiechem i wyjechał z szopy. Chwilę później był już na drodze. Jeżeli udało mu się dobrze przewidzieć rozwój wypadków, zmierzał do przedostatniego punktu swojej podróży.



Ojciec Jan również zamówił kawę. Odczekał, aż kelner odejdzie, po czym ponownie skupił wzrok na Kacprze.

Drelich wodził palcem po krawędzi filiżanki. Wolałby, żeby zakonnik nie wpatrywał się w niego tak przenikliwie. Potwornie zmęczony czuł się niczym ofiara jakiegoś filmowego obcego, który sonduje jego mózg i skanuje myśli.

Milczeli dłuższą chwilę, a jezuita sprawiał wrażenie, jakby nigdzie mu się nie spieszyło.

W końcu więc Kacper nie wytrzymał.

– Powie mi ojciec wreszcie, o co tu chodzi? – zapytał ostro. Wcale nie miał ochoty, żeby tak to zabrzmiało, ale puszczały mu już nerwy.

Duchowny pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni pakunek. Przez chwilę obracał go w rękach, jakby się żegnał z drogą pamiątką, po czym przesunął po blacie w stronę Kacpra.

– Zabiłeś kogoś? – zapytał. – Zanim zaczęły się te sny?

– Tak – odparł Drelich zaskoczony bezpośredniością pytania. Zresztą jaki to mogło mieć związek? – Kilka dni temu wyrwałem się z przesłuchania. Zginął wtedy, jak przypuszczam, człowiek mafii, który miał wyciągnąć ze mnie informacje, a potem zabić. To była obrona konieczna.

Ksiądz machnął ręką.

– To nie ma żadnego znaczenia, mój chłopcze – stwierdził. – Nie tutaj. Teraz jednak wiem już wszystko.

Przerwał na chwilę, żeby podziękować kelnerowi i wręczyć mu zapłatę wraz z solidnym napiwkami. Gdy tamten odszedł, zakonnik kontynuował: – Na początek obiecaj, że nie będziesz prychał i parskął, choćby to, co powiem, było nieprawdopodobne, dobrze? Obiecaj, że spróbujesz uwierzyć.

Kacper podniósł głowę znad filiżanki i spojrzał w oczy ojca Jana.

– Po tym, co przeżyłem w ciągu ostatnich dni? Miesięczna pensja przeciwko zgniłej śliwce, że nie uda się ojcu mnie zaskoczyć.

Taka odpowiedź widać usatysfakcjonowała jezuity, bo upiwszy łyk kawy, zaczął swoją opowieść: – Kiedyś pewien chłopak zakochał się w pewnej dziewczynie. – Uśmiechnął się smutno. – Wiem, że zaczyna się sztampowo, ale tylko do pewnego momentu jest to historia, jakich wiele. Mieli po paręnaście lat. Nie dość, by próbować żyć na własną rękę, za to wystarczająco, by czasem zniknąć z domu i cieszyć się sobą. On, odkąd jego rodzice rozstali się po wypadku, w którym zginął ich młodszy syn, więcej

był na ulicy niż w domu. Ona urodziła się w tak zwanej dobrej rodzinie, choć bywało tam różnie. Aż pewnego dnia młodzi się spotkali...

– Wszystko pięknie, ojczy – wtrącił zniecierpliwiony Drelich. – Ale ja naprawdę nie mam za wiele czasu. Chcę wiedzieć, co się właściwie dzieje, a potem znaleźć Agnieszkę i...

– Gdy wysłuchasz historii do końca, zdasz sobie sprawę, że zrobiłem dla ciebie dość i nie muszę ci więcej pomagać – odparł zakonnik. Jego głos brzmiał oschle, a surowość spojrzenia powstrzymała Kacpra od dalszych komentarzy. – Albo wysłuchasz opowieści, albo szukaj sobie wyjaśnień gdzie indziej. Zwłaszcza, że to teraz jedyne, co mogę ci dać.

Odczekał chwilę, nim podjął:

– Młodzi spotkali się razem na jakiejś dyskotecie i trochę w wyniku wzajemnego zauroczenia, ale przede wszystkim pod wpływem alkoholu i trawki, spędzili razem swój pierwszy raz. Jak się okazało, nie była to jednak tylko przygoda i zaczęli ze sobą chodzić. Trwało to rok, aż w końcu chłopak zdobył się na odwagę i zaprosił dziewczynę na wspólny wyjazd w góry. Tam zamierzał jej się oświadczyć. Udało mu się uzbierać parę groszy i miał szansę na pracę jako kierowca, więc miał też głupią nadzieję, że jakoś się ułoży. Dziewczyna zgodziła się na wyjazd, wcisnęła rodzicom jakąś wiarygodną wymówkę i kilka dni później byli już razem w górach. Spędzali ten czas bardzo upojnie, do chwili gdy pewnego wieczoru chłopak klęknął przed nią z pierścieniem w ręce. Dziewczyna spanikowana roześmiała się, on źle to odebrał i wybuchnęła między nimi kłótnia. On ją uderzył, ona wyszła, trzaskając drzwiami, rozumiesz? Kacper skinął głową. Coś zaczynało mu świtać.

– Następnego dnia – kontynuował jezuita – wszystko zdawało się być w porządku, choć tak naprawdę oboje tylko usiłowali zachować pozory. On wiedział, że postąpił głupio, ona nie chciała wracać do domu wcześniej,

żeby nie musieć się tłumaczyć. I wtedy właśnie w tym samym ośrodku pojawił się stary kumpel chłopaka. Niedawno został ratownikiem górskim i zdobył uprawnienia do organizowania wspinaczek. Chłopak, gdy żył jeszcze jego brat, co roku bywał na obozach wspinaczkowych. No i dostrzegł w tym kolejną swoją szansę. Raz wyszedł na durnia, to teraz pokaże się jak mężczyzna. Zwłaszcza że dziewczyna lubiła przygodę, więc się zgodziła mimo złości.

Ojciec Jan dopił swoją kawę i odstawił filiżankę na spodek. Choć zrobił to cicho jak w klasztorным refektarzu, Drelich miał wrażenie, że w głowie zadźwięczał mu upiorny porcelanowy dzwonek.

– No więc dzień później wybrali się w góry. Śmiali się, dowcipkowali, a chłopak i ratownik na przemian tłumaczyli dziewczynie, co powinna wiedzieć, zanim nastąpi ten wspinaczkowy pierwszy raz. W końcu dotarli do celu. Ustalili, że chłopak będzie szedł pierwszy, w środku dziewczyna, a na samym końcu ratownik zamykający pochód i zbierający haki. Rzeczywiście, ona przeżyła swoją górską przygodę, a on trochę się uspokoił. Następnego dnia ponownie postanowili wyruszyć na skały... Kacper machnął ręką i podniósł się z krzesła.

– Dość! – powiedział. – Naprawdę gówno mnie obchodzi...

– Tym razem nie poszło dobrze – ksiądz nie przerwał, nie zmienił też barwy głosu. Wciąż mówił jednostajnie i obojętnie, jakby składał sprawozdanie z wizyt duszpasterskich. – W pewnym miejscu chłopak źle zabezpieczył i dziewczyna odpadła od ściany. Roztrzaskała się o półkę skalną kilka metrów niżej.

Drelich westchnął ciężko i usiadł.

– Bardzo mi przykro – powiedział z ironią. – Zmierza to do jakiejś puenty?

Zakonnik skinął głową. Obrócił filiżanką na spodku. Znów niby zrobił to bez dźwięku, ale Kacpra aż przeszedł prąd, jakby ktoś tuż nad jego uchem przejechał metalem po szkle.

– Chłopak najpierw rozpaczał, a potem zszedł z gór i wrócił do schroniska. Złożył zawiadomienie o wypadku, nie podając oczywiście, że też odegrał w nim pewną rolę, po czym udał się do swojego pokoju. W łazience napuścił wannę gorącej wody, wziął z półki brzytwę... Aha, zapomniałem ci powiedzieć, on bardzo szczycił się tym, że nauczył się golić brzytwą, i nosił ją ze sobą niemal wszędzie w tylnej kieszeni. Wtedy otworzył ją, w ubraniu wszedł do wody i żeby nie mogli go odratować, tnąc wzdłuż, jak widział kiedyś na filmie, otworzył sobie żyły na obu rękach. A potem po prostu zasnął.

– Koniec?

– Przeciwnie, chłopcze. – Jezuita uśmiechnął się smutno. – To dopiero początek. Chłopiec ten bowiem jak każdy człowiek miał swojego anioła stróża. Ten jednak był wyjątkowy, bo po pierwsze, zajmował się wcześniej także i jego bratem, jak już słyszałeś, z miernym skutkiem, a po drugie, naprawdę kochał obu swych podopiecznych.

Drelich zacisnął zęby. Naprawdę miał zamiar wstać i wyjść. Szukać żony, zamiast słuchać bajek. Jednak w tej historii coś było, jakiś haczyk – jej część widział na kasecie Satyra.

– Wiedząc, że jest jedna kara za samobójstwo – ksiądz skupił wzrok na leżącym obok Kacpra pakunku – anioł pomieszał trochę w statystykach, okłamał tych, którzy działali w imię Pana, i w ten sposób przemycił swojego podopiecznego do czyścica. Sam również poprosił o przeniesienie tutaj, by móc wciąż strzec chłopaka.

– Chcesz powiedzieć, ojcze, że to ja byłem tym chłopakiem? – upewnił się Kacper. Gdy wypowiedział te słowa, zabrzmiały tak głupio, że nie mógł

się powstrzymać przed drwiącym uśmiechem. – A ty byłeś aniołem?

– Jestem aniołem – poprawił zakonnik. – Jak wszyscy jezuici, których tu spotkałeś. Pilnujemy porządku w czyścicu. Jako policjant wiesz, co mam na myśli.



ROZDZIAŁ 11

– Szefie! – Talar wpadł do biura Trolewskiego, nie zawracając sobie głowy pukaniem. Twarz miał czerwoną, a jego oczy skrzyły radosnym zdumieniem. – Musi pan to zobaczyć.

Franek odłożył trzymany w ręku raport i wstał, ściągając z oparcia marynarkę.

– Co muszę zobaczyć?

– Giezaszczyk zaczął mówić – wyjaśnił starszy aspirant, przepuszczając komendanta w drzwiach. – Przyznał się do wszystkiego.

– Bardzo się cieszę. – Po głosie Franka dało się wywnioskować, że dziwi go aż taki entuzjazm podwładnego. – Ale to żadna gratka, dowody...

– Ale nie wie pan wszystkiego! – Talar wciąż był podekscytowany jak dziecko. – Nie chodzi o to, że zaczął mówić, tylko w jakim, kurwa, stylu! W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Szedł tuż obok komendanta, czasem wyprzedzając go o pół kroku i zwracając twarz w jego stronę, to znów przepuszczał go w przewężeniach. Gdyby mógł, najchętniej stanąłby za nim i pchał go, byle szybciej. Trolewski śmiał się z niego w duchu, ale z drugiej strony był ogromnie ciekaw przyczyn takiego zachowania starszego aspiranta Talara.

„Gdzie się podział ten gburowaty cynik? – myślał. – Wygląda, jakby cud zobaczył”.

Zjechali windą na dół, potem przeszli wąskim korytarzem pomalowanym na szaro i wyglądającym jak droga do kotłowni. Talar pchnął drzwi do pomieszczenia dla obserwatorów.

Franek wszedł, spojrzał przez szybę do wnętrza pokoju przesłuchań i zrozumiał.

Biznesmen siedział na swoim miejscu, wyglądał jednak zupełnie inaczej niż w chwili, gdy Trolewski opuszczał pokój, zostawiwszy kartkę z pytaniami. Teraz wiceprezes Filaru miał rozchełstaną koszulę, zmierzwił włosy i oczy jak filmowy fanatyk – otwarte na całą szerokość i o źrenicach tak wielkich, jakby chciały zagarnąć nie tylko tęczę, ale i całe białka.

Trajkotał jak najęty, wylewając z siebie brudny potok grzechów, tych mniejszych i większych. Co ważniejsze akcentował podniesionym głosem i tonem, jak duchowny wygłaszający płomienne kazanie.

W pierwszej chwili Franek uznał, że za namową prawnika Giezaszczyk obrał taktykę „na wariata”, ale zmienił zdanie, gdy dostrzegł papuga. Ten, na wpół siedząc, na wpół stojąc obok wiceprezesa, próbował za wszelką cenę go przekonać, żeby się zamknął. Jego błędzące bezwładnie ręce sprawiały wrażenie, jakby najchętniej zacisnęły się na szyi biznesmena albo chociaż zasłoniły mu usta.

Całemu temu cyrkowi przyglądali się z rozbawieniem i zaskoczeniem dwaj policjanci stojący po obu stronach stołu, gotowi wkroczyć, gdyby coś

poszło nie tak.

Podinspektor pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie mówiłem? – zapytał Talar, mijając go i wyciszając aparaturę. – Facet ma wyobraźnię. Zaczął zwyczajnie, od tego, że Bóg mu kazał, ale potem zrzucił winę na księdza w konfesjonale i głosy, które usłyszał w kościele. Później to już w ogóle poleciał z tekstem jak prorok.

„Nierządnicie Babilonu” i „upadek moralności”... Cudo, szefie, naprawdę polecam posłuchać.

– Z pewnością. – Trolewski skinął głową. – Ale na razie przygotujcie go do podróży i przetransportujcie do aresztu. Zaraz zadzwonię gdzie trzeba, żeby wszystko było gotowe. I do biegłego, bo jeszcze nam się klient wywinie chorobą psychiczną.

Wyszedł z pomieszczenia, cicho zamykając za sobą drzwi.



Kacper wpatrywał się w twarz zakonnika, wyczekując najmniejszej oznaki wesołości. Niestety, wyglądało na to, że jezuita mówi poważnie.

– Więc pilnujecie czyścica, tak? – powtórzył to raz jeszcze na głos. – Żeby duszyczki nie przechodziły na czerwonym świetle? A może aby im się nie nudziło czekanie przez wieki na odkupienie win, zanim trafią do nieba?

Jednak widząc poważną minę ojca Jana, zrobiło mu się wstyd. Nie powinien kpić z szaleńca, ale kpina była teraz jego jedyną tarczą, tym bardziej że w żaden sposób nie potrafił wytłumaczyć ostatnich wydarzeń. To znaczy mógłby – gdyby zaakceptował słowa jezuitę, ale...

Duchowny, nawet jeśli wyczuł drwinę, puścił ją mimo uszu.

– Powtarzasz bajki ziemskich księży. Prawdziwy czyściciel to miejsce, gdzie trafiają wszystkie dusze, którym zdarzyło się zgrzeszyć, a nie odeszli

w stanie łaski – wyjaśnił. – Rodzą się tu na nowo, żyją, jak chcą, jednak tylko tyle lat, ile żyli na ziemi. Ani dłużej, ani krócej, bo tyle właśnie trwa sąd nad ich duszami. Analizowana jest każda minuta, każda sekunda ziemskiego życia, tak by werdykt był naprawdę sprawiedliwy. Naszym zadaniem, moim i moich współbraci, jest pilnować, by dusza wyruszyła w dalszą drogę, gdy wszystko już się skończy. Nie chcemy w nic ingerować, tylko pchnąć odpowiednie tryby, a później sprawdzić, jak poszło. Czasem jest to proste. Na przykład jeśli ktoś na ziemi umarł z przyczyn naturalnych, tu odejdzie w podobny sposób. Wówczas przychodzimy tylko zbadać puls. Nie jest to trudne, nawet w zamkniętych zakładach, bo zazwyczaj nikt nas nie widzi, a jeśli nawet, to co jest dziwnego w księdzu, który nawiedza konającego? Niekiedy jednak... sam zresztą widziałeś przed chwilą w telewizji.

Na dnie filiżanki odnalazł jeszcze odrobinę kawy. Wysączył ją i zastygł z porcelanowym naczynkiem przy ustach.

– Tak naprawdę więc ten świat jest tylko poczekalnią, którą aniołowie urządzili na podstawie własnych obserwacji prawdziwego świata – podjął po chwili, cedząc słowa powoli i z rozmysłem, jak nauczyciel próbujący wyjaśnić trudne zagadnienie. – Powstało coś w rodzaju filmu, w którym aktorzy nie są świadomi, że grają, ale wszystko toczy się wedle jasnego scenariusza. Aniołowie-twórcy przerzucili nawet żywcem parę elementów, których nie potrafili skopiować, jak muzyka, literatura czy właśnie filmy, pilnując przy tym, by od czasu do czasu przyciągnąć tu na chwilę artystów. To, że ci zwykle zażywali prochy bądź zapijali się wódką, tylko sprawę ułatwiało. Niektórzy trafiali tu przez sen, by nad ranem obudzić się u siebie, niczego nie pamiętając. A tu też nikt nie zauważył różnicy, przecież gwiazd nie można dotknąć, bo rozwieją się jak pył.

Kacper przypomniał sobie swoje sny. W nich również czuł się jak duch, tyle że jego nikt nie mógł dostrzec. Choć niektórzy chyba wyczuwali jego obecność.

– Z tobą sytuacja, jak się domyślasz, wyglądała inaczej. – Ojciec Jan wreszcie odstawił filiżankę na spodek. Tym razem zupełnie bezgłośnie. – Ty bowiem, jako że sam targnąłeś się na własne życie, pozostałeś zawieszony między światami. Nie mogłeś urodzić się na nowo. Gdybyś jak inni samobójcy trafił od razu do piekła, nie byłoby problemu. Świadomość tego, co utraciłeś, byłaby po prostu dodatkową torturą. Tu udało mi się wymazać twoją pamięć, użyłem też paru sztuczek, budując w świadomości innych ludzi twoją sztuczną tożsamość. Zadbalem również o odpowiednie dokumenty, byś mógł wstąpić do szkoły policyjnej. Kiedyś wraz z bratem marzyliście o tym.

– Dlatego zakazał mi ojciec bawić się w hipnozę? – zapytał Kacper. Wciąż uważał to wszystko za szaleństwo, a teraz z przerażeniem odkrył, że zaczęło się ono już dawno temu. Może od samego początku jezuita był wariatem?

– Nie miałem pewności, jak może zadziałać, więc zabroniłem ci tak na wszelki wypadek. – Ojciec Jan wzruszył ramionami. – Wszystko szło dobrze, znalazłeś cudowną dziewczynę, ożeniłeś się i tak dalej, sam wiesz najlepiej. I pewnie byłoby tak do tej pory, gdyby nie moje niedopatrzenie. Okazało się bowiem, czego nie sprawdziłem, że wszystkie moje starania legną w gruzach, gdy naruszysz strukturę tego świata. Zabicie kogoś przed jego czasem było właśnie czymś takim. Bo dusza zniknęła, mimo że właściwie nie powinna. Powstała luka między światami, którą może zapełnić każdy, kto chciałby się znaleźć w czyścicu i miał choć odrobinę wiedzy, jak to zrobić. A jak się domyślasz, jest taki ktoś, kto chętnie by

tutaj pomieszał... Słowem, synu, otworzyłeś diabłu tunel. I on w każdej chwili może skorzystać z zaproszenia.

– Satyr?

– Satyr? – zdziwił się zakonnik, ale zaraz wzruszył ramionami. – Powinien pojawić się pod postacią człowieka, w którego ciało wstąpi. Tak przynajmniej było zapisane.

– Miał na twarzy maskę – wyjaśnił Drelich. – I śmierdział zgnilizną.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wspomnieć, że Satyr był też odporny na kule. Jednak nie zamierzał ulec temu przekonującemu wariactwu, choćby nie wiadomo jak zgrabnie tłumaczyło wszystkie niejasności. Poza tym wcale nie był pewien, czy w niego trafił.

– Miał czerwone oczy – stwierdził w końcu. – Świeciły jak diody.

– W takim razie to prawie na pewno on. – Jezuita zamyślił się. – A skoro się spotkaliście i wciąż jesteś na tym świecie, oznacza to, że nie przybył, by cię zabrać. Ma co do ciebie jakieś plany.

– Nie miał przy sobie cyrografu. – Kacper wyciągnął serwetkę i przetarł nią usta. Żart nie wydawał się tak zabawny jak w chwili, gdy układał go w głowie.

Ojciec Jan również się nie roześmiał.

– Mogę tylko zgadywać, czego on chce – odparł. – Ani on, ani ty nie należycie do tego miejsca. Pamiętaj, że oficjalnie, jeśli mogę to tak określić, nie zerwałeś więzi ze światem żywych, bo inaczej już byłbyś w piekle. Ty tkwisz na pograniczu światów i jeśli diabeł chce twojej pomocy, musi traktować cię jak człowieka. Może wodzić i kusić, płatać ścieżki, ale niczego nie wolno mu zaproponować wprost. Są zasady, których nawet on złamać nie może. A już zwłaszcza, gdy nie jest u siebie.

Zakonnik pochylił się i dodał już szeptem: – Co nie oznacza oczywiście, że wobec innych tutejszych dusz musi zachowywać się tak samo.

W każdym mieście jest z pewnością miejsce zwane po prostu zaułkiem. I niemal wszędzie wygląda ono tak samo: wąski przesmyk pomiędzy dwiema ceglanyścianami, gdzie ziemię przysłaniają stare gazety i śmieci, które koty powywlekały z przewróconych kubłów. Mimo że zaułek przylega zwykle do ruchliwej ulicy, światło nie zapuszcza się tam nigdy dalej niż na kilka kroków, a w głębi, w mroku, czatują złowieszcze cienie zawsze gotowe wciągnąć nieostrożnego spacerowicza. Przed takim właśnie miejscem stanął w poprzek samochód, blokując wejście.

Grupa przechodniów rozpierzchła się jak gołębie, gdy ktoś przechodzi obok zbyt gwałtownie. Kilku skłęło kierowcę, a jeden nawet zagroził policją.

Drzwi otworzyły się i z wozu wysiadł Satyr. Wciągnął głęboko zatechłe powietrze – smród biedy, która była początkiem niejednej zbrodni. Uwielbiał takie miejsca. Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wyjął jednego i włożył pomiędzy skórzane wargi maski. Przypalił, po czym powoli, spacerkiem, ruszył w głąb zaułka. Jego oczy skrzyły w ciemności jak rubiny.

– Czego tu, pajacu pierdolony? – rozległ się nagle głos po jego lewej. Z cienia wyjrzał krępy mężczyzna o krótkich, postawionych na żel włosach. Głowę wpuścił między umięśnione ramiona, tak że sprawiał wrażenie, jakby nie miał szyi. Ubrany był w czarny podkoszulek z jakiegoś mocno ściągającego materiału i spodnie od dresu z rzędami zatrzasków wzdłuż obu nogawek.

– To teren prywatny, kurwa – rozległo się po prawej. – Wjazd kosztuje, przebierańcu jebany.

Drugi z mężczyzn był podobnej budowy, ale twarz miał bardziej pociągłą, włosy dłuższe i zaczesane niedbale na bok. Usta okalała mu cieniutka linia starannie przyciętej brody i wąsów. Ubrany był bardziej

elegancko od towarzysza – w czarną koszulę zapiętą tylko na trzy dolne guziki i dzinsy. Brakowało mu jedynie złotego łańcucha.

Satyr westchnął ciężko i rozłożył ręce.

– Nie to nie – powiedział, zawracając. – Myślałem, że zainteresuje was kilka ciekawostek, ale wygląda na to, że...

– Jakich, kurwa, ciekawostek? – zaciekawił się dresiarz.

– O, arcyinteresujących! – Satyr z gracją zrobił obrót na pięcie. Wyciągnął przed siebie rękę i lekko zgiął palce. – Na przykład czy wiesz, że serce człowieka jest wielkości jego zaciśniętej pięści?

Dłoń Satyra zaczęła pracować. Palce zginały się i rozluźniały, naśladując pulsowanie serca.

– Co to ma, kurwa, do rzeczy? – warknął elegant, postępując krok do przodu. Jego ręka powędrowała do kieszeni, w której chował kastet.

Satyr tylko wzruszył ramionami i podbródkiem wskazał mu na dresiarza. Ten stał z szeroko otwartymi oczami i ustami, próbując łapać powietrze jak niemowlę, któremu ktoś nagle dmuchnął w twarz. Obie ręce przyciskał do piersi.

– Myślę, że on mógłby ci na to odpowiedzieć – zarechotał Satyr, z każdym kolejnym zgięciem palców coraz mocniej zaciskający dłoń. – Ale chyba nie ma na to szczególnej ochoty, co nie, kochasiu? – Odwrócił głowę i spojrzał wprost na dresiarza.

– Za dawnych czasów też nie byłeś zbyt grzeczny, co, złociutki? Rogata dusza z ciebie. He, he, rogata jak u diabła, a to dobre! A ja znam właściwe miejsce dla takich jak ty.

Zacisnął rękę w pięść i obserwował z satysfakcją, jak mężczyzna pada najpierw na kolana, a potem zwała się na ziemię jak kłoda. Potem powoli przeniósł spojrzenie na eleganta. Rozgiął palce i przechylił przekornie głowę.

– To jak? – zapytał. – Prowadzisz mnie do szefa? Czy będę musiał sam go znaleźć? Mam naprawdę pilną sprawę.

Kacper rozejrzał się po sali. Nie licząc kelnera rozmawiającego z dziewczyną z okienka na brudne naczynia, byli sami. Pozostali goście musieli wyjść w trakcie ich rozmowy. Spojrzał na pakunek. Intrygował go coraz bardziej, ale postanowił, że dopóki zakonnik sam o nim nie wspomni, nie otworzy go, nie da mu tej satysfakcji.

– Niech ja to dobrze zrozumiem – zaczął. – Twierdzi ojciec, że zabijając człowieka w piwnicy, wywołałem diabła, który zmusza mnie do wykonania swojego zapewne demonicznego planu. Z drugiej zaś strony jesteście wy, aniołowie, czyli jak rozumiem, ci dobrzy. Wy z kolei chcecie...

– Przekazać cię do piekła, gdzie powinieneś się znaleźć. – Odpowiedź kapłana, szczerą aż do bólu, zaskoczyła Kacpra. Spodziewał się kluczenia, łagodnych słów, a tutaj od razu, prosto z mostu. – Jednak już powinieneś się domyślić, że ja zaplanowałem dla ciebie coś innego i w tych okolicznościach jestem kimś w rodzaju anioła buntownika. Choć mam wrażenie, a może to tylko nadzieja, że Pan mi sprzyja. Zresztą usłyszałeś już wszystko. Teraz czas sprawić, byś w to uwierzył. Otwórz prezent.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. – Kacper sięgnął po pakunek. – Co się stanie, gdy diabeł kogoś zabije?

Ojciec Jan wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Stworzyłeś w końcu precedens. No, otwieraj!

Drelich wzruszył ramionami, że niby jemu tam nie zależy. Rozerwał folię, następnie rozwinął szary papier i wydobyl zgnięzione tekturowe pudełko.

W środku na wyciętej odpowiednio gąbce leżała brzytwa.

Miała czarną rączkę z czerwonymi zdobieniami. Kacper ostrożnie ją otworzył. Na ostrzu dostrzegł rdzawe ślady zaschniętej krwi. Przejechał po nich palcem... i nagle poczuł, że zaczyna odpływać. Zupełnie jak wtedy, gdy Ślęczkiewicz poddał go hipnozie, z tym że teraz jego umysł wypełniały nie tylko głosy, ale także obrazy i zapachy. Czuł nawet emocje towarzyszące poszczególnym wizjom, jakie przepływały przez jego głowę. Nagle w kilka sekund, które dla niego trwały nieporównywalnie dłużej, doświadczył całego swojego ziemskiego życia, od błęgiego początku po tragiczny koniec. Miał wrażenie, jakby ktoś chlusnął mu w twarz wiadrem wspomnień. Ściekały teraz po nim, układając się w wielobarwne wzory. Piękne i radosne chwile, upokorzenia i porażki, wybuchy śmiechu i szloch albo wrzaski wściekłości...

Potem poczuł ból w rękach, ciepło na całym ciele... i wizja odpłynęła.

Kacper otworzył oczy, zamrugął kilkakrotnie.

– Czy to... – zaczął, ale przerwał, nie mając pojęcia, o co chce zapytać. „Czy to było moje życie?”, a może: „Czy to moja brzytwa i krew?” Tylko po co pytać?! Odchrząknął i znów był praktycznym gliną, choć nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał tak szybko się otrząsnąć. – Co aniołowie są w stanie zrobić, żeby mnie złapać?

– Na razie jeszcze nie uznali za stosowne użyć środków ostatecznych, ale z całą pewnością są przygotowani nawet i na to – odparł zakonnik. – Zrobią wszystko, byś jak najszybciej trafił do piekła wraz z diabłem, którego przywołałeś. O ile to drugie jest jeszcze w ogóle możliwe.

Drelich zamyślił się, obracając w palcach złożoną brzytwę.

– Co więc powinienem zrobić? – zapytał, nie podnosząc głowy. – Przecież w ten sposób, uciekając, narażam żonę, syna, przyjaciół...

Jezuita chwycił go za podbródek i zmusił do uniesienia głowy.

– Czy ty mnie nie słuchasz?! – zapytał ostro. – Ty nie możesz mieć tutaj dzieci. Nie miałeś ich za życia, więc nie masz ich i tutaj. Gracjan to syn twojej żony. Umarł od obrażeń pobity przez pijanego ojca. Nigdy nieochrzczony wylądował tutaj, licząc wedle ziemskich dni, na długie lata przed mamą. Ale w czyścicu, jak się domyślasz, czas płynie inaczej. Mam teraz tłumaczyć ci jego zawiłości?

Ojciec Jan wziął głęboki oddech.

– Posłuchaj, synu – powiedział powoli, z namysłem. – Nie wolno ci lekceważyć piekła. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, co oznacza wieczność, a co dopiero wieczne cierpienie. Ja nie mogę już nic dla ciebie zrobić. Zdemaskowali mnie. Jeśli zechcą i trochę się wysilą, są w stanie znaleźć mnie bardzo szybko. Bardziej więc mógłbym ci zaszkodzić, niż pomóc. Ale ty musisz zrobić wszystko, by tam nie trafić, słyszysz? Choćby nie wiem co się działo!

Kacper wstał i schował brzytwę do tylnej kieszeni.

– Dziękuję ojcu za wszystko – powiedział. – Naprawdę jestem wdzięczny i mam nadzieję, że kiedyś to ojcu wybaczą.

– Gdzie idziesz? – Jezuita poderwał się, ale widząc, że Drelich odskakuje od niego jak oparzony, usiadł z powrotem na miejscu.

– Idę najpierw do... Zresztą chyba lepiej, żeby ojciec nie wiedział, prawda?

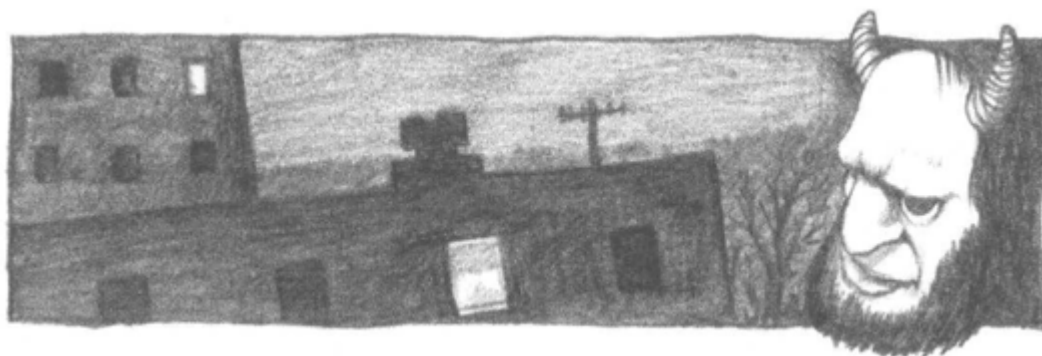
Uśmiechnął się i zasalutował, mimo że ledwie stał. Jednak nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. I co gorsza, nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł.

Przeszedł kilka kroków i odwrócił się.

– Może mi ojciec chociaż powiedzieć, jak się nazywałem? – zapytał.

– Mateusz – uśmiechnął się zakonnik. – Mateusz Wojnowicz.

– Więc jak to się, do cholery, stało – Drelich przekornie przechylił głowę
– że zdecydowałeś się na Kacpra?



ROZDZIAŁ 12

Agnieszka dawno nie miała już okazji docenić zalet wanny i prawdziwej gorącej kąpieli. Leżała z na wpół przymkniętymi oczami zanurzona cała prócz głowy i nuciła cicho zasłyszaną w radiu piosenkę. Nie kojarzyła nazwy zespołu, ale była to któraś z tych powstałych całkiem niedawno grup wystylizowanych na prawdziwe legendy rocka. Nawet podobała jej się ta moda, choć zawsze to odgrzewany kotlet. Ale i tak bardziej strawny niż wszechobecne lalki Barbie o modelowanych komputerowo głosach i wyglądzie panienek zarabiających wzdłuż autostrad.

Podniosła się powoli i porządnie wtarła szampon we włosy. Jak wszystkie środki czystości w łazience pachniał jabłkowo. Trochę za słodko, ale grzechem byłoby narzekać w takiej sytuacji.

Już miała się zanurzyć, żeby splukać pianę, gdy nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Przeszedł ją dreszcz jak pod strugą lodowatej wody.

„Hej, paranoiczko – odezwał się kpiący głos w jej głowie – starsza pani ma chyba prawo do gości, nie uważasz? Jakąś rodzinę albo co”.

Mimo to wyteńczyła słuch. Łazienka znajdowała się dokładnie naprzeciw drzwi, więc nie miała trudności z podsłuchiwaniami. Zwłaszcza, że gość nie mówił szczególnie cicho.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział niskim, ciepłym głosem, prawie takim, jaki mają Murzyni grający osiłkowatych, tępych niewolników.

– Jak chce, to niech będzie – odparła niechętnie gospodyni. – Co mi tam?! Ksiądz właściwie w jakiej sprawie?

Agnieszka omal nie parsknęła śmiechem. Nie takich słów spodziewała się po starszej pani.

– Szukam Szerlińskich – głos duchownego nie brzmiał już tak pewnie jak przed chwilą. – Ale, zdaje się, wyjechali, bo nikt nie odpowiada.

– Gdyby byli, to by odpowiedzieli – burknęła gospodyni.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Agnieszka była pewna, że ksiądz już dał sobie spokój i zaraz pójdzie. Mimo wszystko z ciekawości dalej trwała w bezruchu, zanim pani Kazia nie zamknie drzwi. Wtedy jednak mężczyzna odezwał się raz jeszcze.

– Właściwie to nie do końca chodzi mi o nią – wyjaśnił. – Kilka dni temu pobliski ośrodek dla samotnych matek opuściła jedna z kobiet. Miała ze sobą czteroletniego syna. Zazwyczaj nie reagujemy w takich sytuacjach, siostry prowadzące ośrodek pozwalają kobietom podejmować samodzielne decyzje, ale ta ma, niestety – ściszył głos – poważne problemy emocjonalne. Sprawdzamy więc wszystkich jej znajomych.

Teraz Agnieszka mimo gorącej wody znów poczuła chłód.

Odrobinę mocniej wychyliła się z wanny, chcąc słyszeć wyraźniej.

– Rozumiem, że mówi to ksiądz w trosce o mnie – powiedziała gospodyni. – Obiecuję, że jak tylko ktoś taki się tu pojawi, zaraz zadzwonię do proboszcza. To wszystko?

Ksiądz pożegnał się zwykłym „do widzenia” i zbiegł po schodach, nie czekając na zamknięcie drzwi. W przedpokoju Agnieszka usłyszała kroki staruszki, a zaraz potem ciche pukanie do drzwi łazienki.

– Musimy pogadać, złociutka.



Kacper zostawił samochód na parkingu i pojechał na komendę taksówką. Wsiadł przecznicę wcześniej, a potem rozglądając się dyskretnie na boki, ostatni odcinek pokonał pieszo. Gdy był mniej więcej w połowie drogi, minęła go więzienna półciężarówka i Drelich złapał się na tym, że myśli o Giezaszczyku. Czy to jego właśnie przewozili? Jeśli materiał dowodowy był tak niezbity...

Kątem oka dostrzegł, że zerka ku niemu jakiś ubrany na ciemno mężczyzna. Nie wyglądał na księdza, ale zbyt wiele było do stracenia, aby zwałać cokolwiek na paranoję.

Kacper skręcił gwałtownie i omal nie wpadając na kobietę z dzieckiem, wbiegł po schodkach do najbliższego sklepu.

Gdy znalazł się w środku, odkrył ze złością, że szyba wystawowa jest od środka zastawiona standami z wizerunkami muzyków rockowych. Nijak nie nadawała się, aby bez wzbudzania podejrzeń obserwować przez nią ulicę.

W pierwszej chwili miał zamiar wyjść, ale dostrzegł, że sprzedawca przygląda mu się z zaciekawieniem. Był to średniego wzrostu dwudziestoparolatek o pociągłej twarzy i długich włosach, wśród których prześwitywały już całe pasma siwizny. Nosił nieco za długą kozią bródkę, a na szyi miał podrażnienia po porannym goleniu.

Sprzedawca uśmiechał się pogodnie, Kacper nie potrafił jednak stwierdzić, czy uśmiech ten oznacza: „W czym mogę pomóc?”, czy raczej: „Co tutaj robi taki palant jak ty?”.

Drelich czuł się wystarczająco młody, żeby odwiedzać sklepy muzyczne, ale w oczach chłopaka rzeczywiście mógł uchodzić za zgreda. Wielu mówiło Kacprowi, że wygląda poważnie jak na swój wiek. Do tego nie miał na sobie koszulki z wrzeszczącym demonem.

„Demonem?” – pomyślał. To akurat wcale nie było takie głupie. Nie miał pojęcia, jak wiele o nim wiedzą, ale jeśli chociaż trochę prześledzili jego życie tutaj, będą raczej szukać gościa w koszuli niż...

– Coś podać? – zapytał sprzedawca zza lady.

– Chciałbym kupić jakąś fajną koszulkę. Coś pan proponuje? – Drelich nie zamierzał ukrywać, że kompletnie nie zna się na muzyce. – Co obecnie jest na topie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Britney Spears – odparł. – I parę nowych zespołików, ale radzę uważać, bo za samo patrzeć na okładki można pójść siedzieć za pedofilię.

Kacper zastanowił się, czy więcej zyska, gdy parsknie śmiechem, czy jak uzna żart za denny.

– Wolałbym coś ostrzejszego – powiedział poważnie. – Nie znam się na muzyce, ale potrzebna mi jakaś klimatyczna koszulka. Więc jak, żartujemy czy ubijamy biznes?

Sprzedawca wskazał ręką za plecy Kacpra.

– Tam jest wszystko, co mamy. Na pewno coś pan znajdzie.

Drelich obejrzał się.

– Już znalazłem – stwierdził, biorąc do ręki T-shirt z wielką głową kozła. Prócz grafiki nie było na koszulce nic, żadnej nazwy zespołu czy planu trasy na plecach. Uznał, że będzie idealna. Położył ją na ladzie i sięgnął po portfel.

Chłopak skasował pieniądze i wyjął spod lady reklamówkę, ale Kacper go powstrzymał.

– Założę na miejscu – powiedział, zdejmując koszulę. – Mógłbyś to gdzieś wyrzucić?

– Jasne, szefie. – Z każdą chwilą sprzedawca coraz bardziej przekonywał się do Drelicha. Więc ten stwierdził, że czas najwyższy to wykorzystać.

– Mam do ciebie jeszcze dwie sprawy. – Położył na ladzie dwie dychy. – Po pierwsze, czy stałoby się coś, gdybyśmy na chwilę rozsunęli te standy?

– Żaden problem. – Chłopak pokręcił głową. – A druga sprawa?

– Jest tu tylne wyjście?

Ojciec Ignacy podniósł słuchawkę, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Tak? – zapytał z nadzieją w głosie. Do tej pory wieści nie były dobre, ale, na miłość boską, to tylko jeden facet! Do tego już raz udowodnił, że nie radzi sobie w trudnych sytuacjach.

– Mamy go, ojcze! – rozległ się rozradowany głos w słuchawce. – Próbował nas zwieść, wchodząc od tyłu, więc możliwe, że rozmawiał już wcześniej z ojcem Janem i wie, kim jesteśmy. Ale teraz już się nam nie wymknie.

– Z całą pewnością nie – odparł przełożony. – Jadę do was. Przygotujcie się do delokacji.

Odłożył słuchawkę i wstał. Jeszcze niedawno wahał się, czy naprawdę powinien zataić, że ojciec Jan jest buntownikiem. Teraz jednak był zadowolony, że to zrobił. Dzięki temu być może uda się wybrnąć z sytuacji bez angażowania pozostałych domów zakonnych. Naprawdę nie miał ochoty, żeby inni wytykali mu pomyłki i niedopatrzania. Jeżeli istniała szansa rozegrać wszystko po cichu, zamierzał z niej skorzystać.

Przeżegnał się, pochylając głowę przed zbezczeszczonym krzyżem, i pośpiesznie wyszedł, nie zamykając drzwi.

Agnieszka weszła do kuchni i usiadła w kącie na wysokim stołku wciśniętym między drzwi a stół. Miała na sobie świeżą koszulkę i dzinsy, a

wokół pasa owinęła sweter. Za oknem wciąż jeszcze było jasno, dopiero dochodziła osiemnasta, więc w razie czego mogła swobodnie znaleźć jakiś hotel, nie narażając Gracjana na spacer po nocy. Trudno, będzie musiała wybrać pieniądze i tym samym ujawnić, gdzie jest, ale to duże miasto, a ona mogła przecież szukać hotelu w innej dzielnicy. No chyba że Kacper wpadł na pomysł odcięcia jej od gotówki...

Gospodyni odwróciła głowę od kuchennego blatu i zmierzyła ją zdumionym spojrzeniem.

– Wybierasz się dokądś, dziecko? – Odłożyła trzymany w ręku nóż, deskę z pokrojoną w kostkę kielbasą włożyła do lodówki. Dopiero wtedy usiadła na stołku po drugiej stronie niewielkiego kuchennego stołu. – Bo tak właśnie wyglądasz.

– Słyszałam rozmowę. – Agnieszka nie miała ochoty bawić się w żadne gierki. Miała czas, by przemyśleć sobie wszystko, co usłyszała, i czuła jedynie wściekłość. Jak mógł wysłać za nią pościg? I to jeszcze z tajniakami poprzebieranymi za księży. Też coś! Czy nie miała już prawa do własnego życia?

– Jeśli myślisz, że wyrzucę cię stąd tylko dlatego, że goni za tobą byle wsiurek w koloratce, to się mylisz, złotko – stwierdziła staruszka. – Najwyżej zamknę się na noc w sypialni. Choć nie wyglądasz mi na niezrównoważoną...

– Bo nie jestem – westchnęła Agnieszka. – A to najprawdopodobniej nie był ksiądz, tylko tajniak. Taki policyjny, wie pani, co mam na myśli.

Pani Kazia zmrużyła oczy.

– Nie jestem głupia, dziecko – powiedziała. – Poza tym oglądam czasem telewizję, więc wiem, kto to tajniak. Ale to był prawdziwy ksiądz. Herbaty?

– Tak, poproszę. – Agnieszka poprawiła się na krześle. – Skąd pani wie? Przepraszam, że pytam, ale z rozmowy nie wynikało, żeby go pani znała.

Gospodyni podniosła się z trudem i zapaliła palnik pod czajnikiem.

– Oni wszyscy są tacy sami. Znasz jednego, a jakbyś znała wszystkich – odparła, wyciągając z szafki dwie szklanki i wkładając je w wiklinowe uchwyty. Agnieszka przypomniała sobie, że jej rodzice mieli kiedyś podobne, zanim za namową Kacpra zamienili je na żaroodporne.

Woda musiała się niedawno gotować, bo z czajnika wciąż ulatywały kłęby pary. Pani Kazia zalała herbatę.

– Jak się odwrócisz, to do kalendarza jest przypięte zdjęcie. – Wskazała przeciwną ścianę samym tylko ruchem głowy, bo właśnie stawiała szklanki na stole. – To stare. Ta siksa z kucykiem to ja, a ten obok to ostatni porządny ksiądz, jakiego znam.

Agnieszka odwróciła się i ostrożnie zdjęła fotografię.

Zdjęcie zdążyło już pożółknąć i zmarszczyć się, wciąż jednak było wyraźne i czytelne. Przedstawiało dojrzałego mężczyznę i na oko dwudziestoletnią dziewczynę szczerzącą zęby do obiektywu. W tle rozciągało się niewielkie, okolone drzewami górskie jezioro okupowane przez całą masę turystów.

– Ładne. – Agnieszka odłożyła fotografię na miejsce. – Długo się znaliście?

– Odkąd pamiętam. – Gospodyni wzruszyła ramionami. – Gdy otworzyłam oczy po wypadku, był pierwszą osobą, którą zobaczyłam.

– Wypadku?

– Tak. – Staruszka pokiwała głową. – Ledwo skończyłam dwadzieścia lat, miałam poważny wypadek. Cała moja rodzina zginęła, a ja sama straciłam pamięć. Gdyby nie ksiądz Piotr... Czy ty mnie w ogóle słuchasz, dziecko?

Agnieszka zamrugała gwałtownie, jakby właśnie się przebudziła. Czy to możliwe, że ta kobieta przeżyła dokładnie to samo co Kacper?

Nieprawdopodobne, aby tak niezwykle przecież zbieg okoliczności przydarzył się dwóm osobom! „A może to znak? – usłyszała głos w swojej głowie. – Ostrzeżenie, że za bardzo się pospieszyłaś z wyciąganiem wniosków i ucieczką?”

– Nic ci nie jest, dziecko? – spytała zaniepokojona pani Kazia. – Zbladłaś.

– Nie, nie. – Agnieszka spróbowała się uśmiechnąć. – Tylko ta pani historia... Mój mąż... On przeżył niemal dokładnie to samo. Też stracił pamięć i trafił na księdza, który się nim zajął.

– No to po świecie chodzi dwóch dobrych klechów – skwitowała staruszka. – Ale my tu sobie gadu-gadu o bzdurach, a jest przecież ważniejsza sprawa. Jestem już stara i nie boję się śmierci, a czasem nawet myślę, że jakby mnie kto w nocy zadusił, to może i nawet byłoby dobrze. Nie chcę jednak, żeby mnie diabły prócz smażenia w kotle wytykały palcami, że jak ostatnia głupia dałam się nabrać, i to we własnym domu. Powiesz mi, dlaczego myślisz, że szuka cię policja?

Agnieszka westchnęła.

– Mój mąż jest policjantem – powiedziała po dłuższej chwili. – Uciekłam od niego i teraz obawiam się, że poprosił kumpli, aby mnie znaleźli.

– Jak sprytny, to pewnie tak zrobił – mruknęła pani Kazia. – Co on ci takiego zrobił, że uciekłaś? Bił cię? Pił, latał za panienkami, grał w karty? – wyliczała.

Za każdym razem Agnieszka kręciła głową. W końcu gospodyni skapitulowała.

– Więc albo zrobił coś naprawdę strasznego, albo tobie, wybaczyć starej kobiecie niewyparzony język, naprawdę we łbie się poprzewracało, że

uciekłaś – powiedziała, wstając. – Idź już spać, bo wyglądasz na zmęczoną. A jeśli postanowisz do niego zadzwonić, telefon stoi na szafce.

Wyszła, zostawiając Agnieszkę samą z jej myślami.



Na komendzie koledzy oczywiście nie odpuścili Drelichowi satanistycznej koszulki i wymyślali coraz to lepsze powody, dlaczego ją włożył. Ale Kacper nie zamierzał reagować na nie inaczej niż śmiechem. Bo choć jego kumple byli wulgarni i prostaccy, to jednak ludzie, których znał od lat. Poza tym w całym szaleństwie ostatnich dni komenda dawała mu poczucie normalności. Czy też raczej jej pozorów.

Przeszedł przez korytarz, zapukał do biura Trolewskiego i nie czekając, aż odpowie, złapał za klamkę. Szarpnął, ale drzwi były zamknięte.

– Szukasz starego? – odezwał się ktoś za jego plecami. – Wyszedł dosłownie przed chwilą. Aż dziw, że się nie zderzyliście gdzieś po drodze.

– A nie wiesz czasem, co... – zaczął Kacper, odwracając głowę. Przerwał, cofając się o krok, i odruchowo zatkał nos.

Stojący przed nim mężczyzna, Rafał Troska, najbardziej zasadniczy biurokrata z kadr, wyglądał, jakby właśnie wyciągnięto go z pożaru. Resztki szerniałej skóry zwisały z jego twarzy i rąk jak nadpalone skrawki papieru. Poruszały się lekko, gdy mówił. Odślonięte mięśnie drgały, a ostatnie kępkę włosów tliły się jeszcze, sycząc i skwiercząc.

– Co? – zapytał, patrząc na Drelicha niewidzącymi oczyma, w których już dawno ścięto się białko. – Mam coś na nosie?

„Nie masz pierdolonej twarzy” – chciał powiedzieć Kacper.

Czuł, że wzbiera w nim opętańczy śmiech. Czy już zawsze jego życie ma wyglądać w ten sposób? Ma być skazany na oglądanie ludzi w ostatniej fazie ich ziemskiego życia? A co będzie później? Zacznie czuć ich smród?

Przeprosił Troskę, tłumacząc się niewyspaniem, i ruszył wzdłuż korytarza.

Z naprzeciwka nadchodziła nieznana mu kobieta ubrana w zgrabnie skrojony bordowy kostium. Parsknęła śmiechem, spoglądając na jego koszulkę, a on dostrzegł białe robactwo wyłaniające się zza jej dekoltu. Chyba któraś z larw musiała ją połaskotać, bo podrapała się nad lewą piersią, a wówczas kilka tłustych czerwi przeszło na rękę. Kacper nie chciał na to patrzeć, jednak nie potrafił oderwać oczu.

– Hej, Drelich! – zawołał ktoś. – Żonaty jesteś, daj dziewczynie spokój.

Kobieta odwróciła się i chciała żartem posłać mu buziaka. Wtedy jeden z robaków spełził z jej dłoni wprost między rozchylone wargi.

Ktoś zagwizdał, paru innych zaczęło klaskać, a Kacper poczuł, że robi mu się niedobrze. Przed nim przy dystrybutorze wody dwaj śledczy z sekcji do spraw nieletnich dyskutowali o wczorajszym meczu. Jeden z nich spojrział na Drelicha, błyskając zaróżowioną kością czaszki widoczną przez rozerwany policzek. Ślady na rozszarpanym ramieniu sugerowały, że został zagryziony.

Kacper przeprosił go i podszedł do dystrybutora. Jednym haustem wypił pełny kubek zimnej wody, a potem oparł się o ścianę i zamknął oczy. Miał nadzieję, że to wszystko zaraz przejdzie. Potrzebował tylko dać oczom chwilę odpoczynku. Tym razem odrobinę dłuższą chwilę, bo jego wizje się nasiliły. No ale przecież niedużo dłuższą...

– W porządku, stary? Marnie wyglądasz – usłyszał. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą starca o nienaturalnie żółtej twarzy i zapadniętych policzkach. Ale przynajmniej nie wyglądał, jakby zginął tragicznie.

– Myślę, że tak – odparł Drelich, z całych sił starając się nie patrzeć na boki. Widział już w życiu mnóstwo trupów w różnym stanie, ale żaden z

nich się nie ruszał. – Nie wiesz, gdzie jest Frań... znaczy komendant Trolewski?

Zupełnie jakby któreś z tych słów było magicznym zaklęciem, nagle wszystko znieruchomiało. Ludzie i przedmioty zamarli w bezruchu i wokół zapanowała cisza. Nie było słychać choćby pracy wentylatorów, które w tym miejscu nie milkły nawet w nocy.



Pierwszy z więźów oswobodził się Tomek. Próbując jakoś wypełznąć ze stodoły, natrafił na przerdzewiały gwóźdź. Wzorem westernowych bohaterów przełożył ręce pod nogami, po czym przepiłował więzy. Następnie oswobodził rodziców.

– Brawo, synu. Prawdziwy z ciebie Winnetou – powiedział Tadeusz, klepiąc chłopca po głowie. – Kochanie, nic ci nie jest?

– Trochę się obtarłam i zdrętwiałam – odparła pani Maria, rozmasowując bark. – Ale poza tym wszystko w porządku.

Gospodarz podniósł się niezgrabnie. Powoli ruszył w stronę wrót.

– Muszę zawiadomić policję – rzucił. – I sprawdzę, co to były za strzały.

Pani Maria patrzyła za nim, czując w sercu ukłucie bólu. Wiedziała, że jej mąż obwinia się za to, co zaszło, i była pewna, że choćby nie wiadomo co powiedziała czy zrobiła, ta drzazga będzie w nim tkwić już zawsze. Przeświadczenie, że okazał się zbyt słaby, by obronić własną rodzinę.

„Cóż, moja droga – pomyślała – pewnośc pewnościami, ale i tak zrobisz wszystko, żeby zapomniał”.

Powoli podniosła się na kolana. I wtedy właśnie w piramidzie siana dostrzegła brązową kopertę. Wystawała jedynie do połowy, a w poprzek było na niej napisane imię „Maria”.

Gospodyni sięgnęła po kopertę.

Zaraz pod imieniem znajdowało się kilka pospiesznie zapisanych słów:

Na pewno znasz bajkę o Sinobrodym i jego kluczyku do sekretnych zielonych drzwi. Oto twój kluczyk, droga Mario, a zawartość tej koperty to wszystko, co kryje się za zielonymi drzwiczkami. Jeśli jesteś pewna, że ufasz mężowi, radzę ci, nigdy nie zaglądać do środka.

Z pozdrowieniami, S.

Pani Maria przez chwilę patrzyła na kopertę, po czym schowała ją za pasek i szybkim krokiem wyszła ze stodoły. Nagle bardzo mocno zapragnęła przytulić męża.

Kacper dotknął stojącego przed nim mężczyzny, ale ten nie zareagował. Znów stał się pogodnym, niedogolonym grubasem z sekcji do spraw nieletnich, u jego kumpla też nie było już widać śladów pogryzień.

I wtedy Kacper usłyszał, jak gdzieś zza okna ktoś krzyczy jego nazwisko. Rozpoznał głos Franka i pędem rzucił się ku schodom. Mijał nieruchomych ludzi wygiętych często w tak nienaturalnych pozach, jakby ktoś z palnikiem postanowił przemodelować muzeum figur woskowych.

Potrącony przez Kacpra chłopak stojący przed barczystym mundurowym zakołysał się jak źle umocowany pomnik i runął. Aż zadudniło, gdy uderzył głową o posadzkę. Drelich tymczasem wybiegł już na zewnątrz. Dostrzegł, że oprócz komendy znieruchomiała też cała ulica. Ale tak mu się tylko wydawało, bo na jego widok kilkunastu mężczyzn, dotąd opartych o swoje samochody, odkleiło się od nich i ruszyło w jego stronę. Wszyscy byli ubrani w czarne stroje, każdy miał pod szyją koloratkę, a w klapę marynarki wpięty znaczek Towarzystwa Jezusowego. Poruszali głowami w górę i w dół w rytm szeptanych pod nosem słów, których policjant nie był w stanie usłyszeć.

Na przedzie, krok bliżej Kacpra, stał mężczyzna w nieokreślonym wieku, z twarzą stanowczą, surową i nieruchomą, jakby wykutą z kamienia. Drelich domyślił się, że właśnie ma przed sobą ojca Ignacego – przełożonego domu jezuitów, z którym rozmawiał przez telefon. Rozejrzał się ukradkiem, czy wśród zakonników nie ma tych, którzy zostali wysłani po niego na wieś. Franka dostrzegł bardzo szybko – siedział w swoim samochodzie równie nieruchomy jak reszta świata.

– Narobiłeś nam nie lada kłopotów – powiedział ojciec Ignacy z przyganą w głosie. – Już samo zamknięcie tej dzielnicy i wymazanie jej chwilowo z pamięci ludzi będzie mnie kosztowało godziny, a może nawet dni tłumaczeń. Ale nie mogliśmy pozwolić, byś i tym razem nam się wymknął.

Drelich zerknął na boki, ale rzeczywiście nie widział dla siebie zbyt wielkich szans. Może gdyby był w pełni sił... Westchnął i postąpił krok do przodu.

– Co zrobicie z nim? – zapytał, wskazując głową na Trolewskiego.

– Żadnej krzywdy, jeśli o to pytasz – odparł przełożony zakonników. – Wymażemy mu tylko z głowy ciebie i waszą przyjaźń. Ale nie straci na tym. Okaze się po prostu, że nie ty, a ktoś inny uratuje mu życie na spływie kajakowym. Od tego zaczęła się wasza znajomość, prawda? Ktoś i tak by go uratował, wszak nie miał wtedy zginąć. To nie był jego czas, a twoje talenty, o których wiesz już pewnie niemało, nie działają, niestety, w obie strony. Tylko Bóg daje życie.

– A moja żona? I syn?

– Myślę, że zrobimy podobnie. – Ojciec Ignacy objął Kacpra ramieniem i pchnął w stronę samochodu. – Jak tylko ją znajdziemy, bo obecnie nie wiemy, gdzie jest.

Dusze mają tu większą swobodę, niż naopowiadał ci to pewnie ojciec Jan.

– Nie mówił o was nic złego. – Drelich wiedział, że to już koniec, i spokojnie dał się prowadzić. – Wręcz chwalił za parę rzeczy.

Przełożony uśmiechnął się, przystając przy czarnym BMW. Zabębnił palcami w dach.

– Ufam, że Pan osądzi go łaskawie – powiedział. – Rozumiem, że działał z miłości, a to dobry argument. Choć niewystarczający, by sprzeniewierzać się Bożym decyzjom.

Spojrzał Kacprowi prosto w oczy i przez jedną krótką chwilę policjant poczuł, że anioł naprawdę go żałuje.

Przełożony wyglądał jak ktoś, kto wie, że musi poświęcić jednego chorego, żeby zapobiec epidemii. Ale wiara w słuszność czynu nie zawsze jest w stanie zagłuszyć wyrzuty sumienia. W tej jednej chwili Drelich poczuł do jezuity cień sympatii.

Sekundę później rozległ się huk i twarz zachlapały mu krew oraz mózg zakonnika.

Pozostali księży natychmiast wyprężyli się, odchylając głowy do tyłu jak przesychnięty dreszczem, a wraz z nimi drgnął przebudzony świat. Ludzie zaczęli się poruszać powoli, niczym na zwolnionym filmie. Klakson, który wcześniej ucichł w pół dźwięku, wybrzmiewał teraz, wypełniając ciszę. A chłopak, który stał tuż przed maską pojazdu, przeraźliwie powoli uniósł rękę, żeby pokazać kierowcy wystawiony środkowy palec.

Spomiędzy budynków po przeciwnej stronie ulicy wyłonił się Satyr z pistoletem w dłoni.

– Nieźle ukryli tę dzielnicę, nie ma co – mówił, podchodząc spacerowym krokiem. – Prawie sam się pogubiłem.

Podszedł do zdumionego, ociekającego krwią Kacpra i wcisnął mu do ręki małej kartonik.

– Myślę, że to może ci się przydać. Zatrzymaj na wypadek, jakbyś chciał skorzystać. – Satyr zerknął na jezuitów, którzy powoli odzyskiwali świadomość. – O przyjaciół się nie martw, nie mogą im nic zrobić. Podobnie żonie. Myśl raczej o sobie. Bo u nas chyba ci się nie spodoba. – Wskazał kciukiem w dół, na chodnik, lub raczej znacznie głębiej.

Kacper przypomniał sobie słowa ojca Jana: „Musisz zrobić wszystko, by tam nie trafić”. Skinął lekko głową. Maskę Satyra wykrzywił uśmiech.

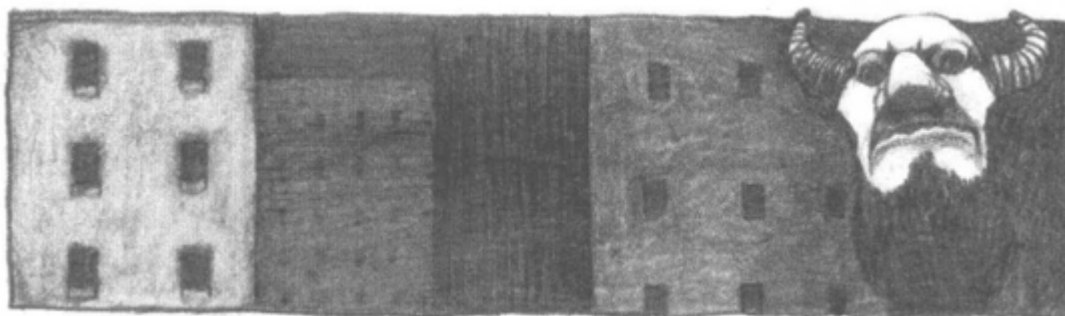
– Więc znikaj stąd, zanim bezgłowy się pozbiera. A ja już popracuję nad tym, żebyś miał chociaż chwilę dla siebie. – Wymierzył w najbliższego z budzących się z transu księży i pociągnął za spust. Jezuitę odrzuciło w tył i upadł na ziemię, krwawiąc obficie. – A przy okazji, ładna koszulka.

Policjant obejrzał się na siedzącego w samochodzie Franka, który był przez te lata jego najlepszym przyjacielem, a pewnie już zapomniał, kto to taki Kacper Drelich. Czy warto żyć, gdy nie ma się już nikogo?

Ale znów przypomniał sobie słowa ojca Jana: „Musisz zrobić wszystko, by tam nie trafić”.

Wcisnął do kieszeni karteczkę od Satyra, odwrócił się i zaczął biec ile sił w nogach.

Świat przyspieszał z każdą chwilą.



ROZDZIAŁ 13

Michał Celiński, znany bardziej jako Gnat albo po prostu SzeŃ, splunął pod nogi i raz jeszcze wyjrzał za róg. Śmierdziała mu ta robota, cuchnęła jak jej zleceniodawca. W pierwszej chwili nie mógł się zdecydować, czy parsknąć śmiechem, czy kazać przebierańcowi wypierdalać do wszystkich diabłów.

Ale potem Lufa powiedział mu, co gość zrobił z Grubym, jedynie machając mu przed nosem ręką, i Gnat, choć nie do końca w to wierzył, pozwolił się facetowi wygadać. A tamten mówił dużo. Używał zbyt wiele słów i kluczył, żeby nie padło żadne nazwisko, ale gdzieś w połowie SzeŃ zorientował się, do czego gość zmierza. Zdjęcie, które facet podstawił mu pod nos, było już tylko kropką nad „i”.

Bez trudu rozpoznał siebie sprzed lat. Te same nieco przydługie czarne włosy z tendencją do skręcania się w loki, ta sama przystojna twarz o ciemnej karnacji i ciało, którego pozazdrościć mu mógł niejeden model. Tyle, że zdjęcie zrobiono, zanim zaczął rządzić w więzieniu. Pochylony nad pryczą, z wypiętym do góry gołym tyłkiem, pewnie nawet nie śmiał o tym

myśleć. Sądząc po jego minie, jedyne, o co wówczas prosił, to żeby stojący nad nim rozradowany grubas z brodą jak muzyk ZZ Top wreszcie skończył i dał mu święty spokój.

Zleceniodawca pozwolił Gnatowi się napatrzeć, a potem przechylił swój koźli łeb. Powiedział, kogo mają odbijać, i obiecał numery jego kont bankowych. Nikt nie odważył się protestować. A już najmniej Gnat, któremu przebieraniec obiecał także prezent w postaci pewnej kliszy.

Tak było jeszcze przed niecałą godziną, a teraz SzeF raz jeszcze sprawdził rozstawienie chłopaków i schował głowę, przywierając całym ciałem do ściany.

Z całej trasy to właśnie miejsce, skupisko robotniczych kamienic o odrapanych elewacjach, bram wilgotnych od moczu i zdemolowanych autobusowych przystanków, było najlepszym miejscem na atak. Gnat dziwił się nawet, dlaczego więźniarka ma jechać właśnie tędy, ale po chwili uznał, że darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy. Godzina, gdy naprawdę niewiele już brakowało do zmroku, też pasowała mu idealnie. Kto wie, może to właśnie będzie ta chwila, gdy ustawi się do końca swych dni.

Sięgnął do pasa, za którym trzymał glocka i kominiarkę. Chłopaki uzbroili się lepiej, ale on tylko kierował akcją. Zresztą nie miał ochoty nikogo zabijać – co innego okpić gliniarzy i odbić przestępcę, ale za zabicie gumiaka inni byli gotowi ścigać go jak wściekłe psy i poczęstować kulą przy „próbie ucieczki”. Wolałby tego uniknąć.

Rozległ się głośny gwizd. Gnat wychylił głowę z bramy i dostrzegł nadjeżdżającą furgonetkę. Błyskawicznie naciągnął kominiarkę, wyszarpnął pistolet. Z bramy kawałek dalej dobiegł go odgłos zapalnego silnika ich małej barykady.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Gdy więźniarka zrównała się z bramą Gnata, z sąsiedniej wyjechał biały furgon z napisem WARZYWA – OWOCE – TANIO. Zanim policja zdążyła zareagować, pojazd o podobnych gabarytach, tyle że należący do pobliskiego salonu meblowego, zajechał im drogę ucieczki. Ze swoich kryjówek wysypali się chłopcy, mierząc do furgonu, i to z takiej broni, jaką konwojenci mogli widzieć co najwyżej na filmach. Do tylnych drzwi pojazdu doskoczyło błyskawicznie dwóch i zamontowali na nich mały ładunek wybuchowy. Dość silny, by utorować drogę, ale by nie zabić siedzących w środku. Przynajmniej taką nadzieję miał Gnat. Do tej pory robili taki numer dwa razy, tyle że z furgonetkami agencji ochrony. No ale wtedy poszło gładko, to czemu teraz miałyby nie wyjść?

Żaden ze strażników nie zgrywał twardziela. Dobrze zdawali sobie sprawę, że droga jest zbyt wąska, żeby wykonać jakikolwiek manewr, a bohaterska śmierć nie była dla nich wystarczającą motywacją. Chwilę później rozległ się wybuch i drzwi więźniarki stały otworem.

Gnat wybiegł z bramy i dopadł furgonu. Zajrzał do środka zza pleców swoich ludzi. Konwojent stał już z rękami w górze, choć nikt mu nawet nie kazał. Wystarczył sam widok mierzących do niego luf. Natomiast zszokowany więzień siedział z szeroko otwartymi oczami, przenosząc wzrok od policjanta do ubranych w kominiarki oswobodzicieli.

– Pan Giezaszczyk? – zapytał Gnat, choć zdążył już rozpoznać twarz widywaną czasami w „Wiadomościach”. Sięgnął do kieszeni i podał mężczyźnie kopertę, którą otrzymał od zleceniodawcy. – Mam panu to przekazać. Od przyjaciela.

Ojciec Jan wszedł do dworcowego kiosku i kupił butelkę wody oraz batonika. Po namyśle podszedł też do półki z książkami. Kiedyś, jeszcze na ziemi, lubił sobie w wolnych chwilach poczytać. Lubił myśleć, że właśnie

książki pokazują, jak wiele mają ze sobą wspólnego ludzie i anioły – i jedni, i drudzy przetwarzają Słowa w rzeczywistość. Poza tym cenił sobie metafory i poczucie humoru kilku autorów.

Teraz podniósł z półki „Miasteczko Salem” Kinga. To z pewnością był autor, którego nikt z żyjących w czyścicu od dawna nie widział. Czasy, gdy tamten dawał się tu przenosić za pomocą używek, minęły lata temu, a od tamtej pory jego sny wypełniały tylko koncepcje następnych powieści. Może dlatego czytało się go tak dobrze?

Jezuita z uśmiechem przewertował książkę w poszukiwaniu sceny, gdy po przegranym pojedynku z wampirem ojciec Callahan opuszcza Salem. Nie pamiętał już, co dokładnie zrobił wtedy tamten kapłan, ale wydawał się jezucie bardzo bliski. Ojciec Jan doskonale wiedział, jak musiał się czuć w tamtej chwili bohater Kinga – w ustach gorzki smak porażki, a w głowie natłok myśli. Wśród nich ta najważniejsza, o sens posługi dla Wszechmogącego, który tak naprawdę wcale nie potrzebował żadnych sług.

– Panie, kupujesz pan czy przyszedłeś sobie poczytać? – rozległ się piskliwy głos sprzedawczyni. Była to postawna kobieta o bulwopatym nosie i z ciemnymi worami, które zwisały poniżej jej głęboko osadzonych oczu. Przez cofnięty podbródek i wydatne czoło podkreślone jeszcze ciasno spiętymi do tyłu włosami wyglądała jak miss neandertalczyków.

Zakonnik wzruszył ramionami. Trochę go zdziwił ten „pan”, ale po chwili zorientował się, że przecież po raz pierwszy od naprawdę dawna miał na sobie zwykłe ubranie. We flanelowej koszuli i dżinsach z całą pewnością nie przypominał księdza.

Podszedł i położył „Miasteczko...” na ladzie.

– Bardzo dobra rzecz – powiedział wesoło. – Czytała pani?

– Nie czytuję takich bzdur – odparła kobieta, przeciągając książkę pod czytnikiem. – Ja wolę coś o życiu.

Ojciec Jan pokiwał głową, podziękował i ruszył w stronę kas biletowych. Nie miał jeszcze pojęcia, gdzie pojedzie i co będzie robił, miał jednak nadzieję, że zajmie wszystkim trochę czasu, zanim wpadną na jego trop.

Po cichu liczył też, że spotka jeszcze Kacpra. Wciąż chciał mu tyle powiedzieć!



Drelich siedział na hotelowym łóżku i bezmyślnie na przemian zamykał i otwierał trzymaną w ręku brzytwę. Dotykał rdzawych miejsc, ale nie wywoływały już obrazów. Nie było to zresztą potrzebne, bo doskonale wszystko pamiętał.

Na pościeli obok niego leżał kartonik, który dostał od Satyra. Była to wizytówka tego właśnie hotelu, na której odręcznym pismem dopisano: „To wszystko, czego chcę: pokój 105, północ”.

„Chcesz zawrzeć pakt z diabłem? – zastanawiał się Kacper. – Parę kropel krwi na pergaminie z kozłej skóry i być może już nigdy nie trafisz do piekła. Kto wie, może zostaniesz na wieki tu, jedyny świadomy, jednooki pośród ślepców, a diabły ochronią cię przed sługami Boga... Tylko za jaką cenę?”

To pytanie nie dawało mu spokoju.

Czy pozwolono by mu wrócić do żony i Gracjana, którego pokochał jak syna, choć już nie na długo, skoro chłopiec zginął na ziemi jako dziecko. Ale co tam, zgodziłby się i z tym, skoro faktycznie Gracjan ma trafić do lepszego świata! A Agnieszka? Widział ją przecież jako staruszkę. To oznaczało, że być może czekało ich długie wspólne życie...

Rozległ się dźwięk telefonu. Drelich podskoczył nerwowo, zaraz jednak wyciągnął komórkę i odebrał.

– Kacper? – rozległ się cichy szept Agnieszki.

– Tak, kochanie, to ja – odparł, czując, że serce zaczyna bić mu szybciej. Chciał zapytać, gdzie ona jest, ale zorientował się, że może na razie lepiej, aby nie wiedział. – Czy wszystko z wami w porządku?

– Widziałam ciało, Kacper – powiedziała Agnieszka i pociągnęła cicho nosem. Odchrząknęła, żeby jej głos brzmiał pewnie. – I oglądałam kasetę. Wiem o wszystkim.

„Nie wiesz nawet połowy”. – Kacper uśmiechnął się. Tak dobrze było znowu słyszeć jej głos, wiedzieć, że nic jej nie jest. Poczł ciepło na policzkach.

– Wiem, że widziałaś. I... właściwie nie do końca umiem ci to wyjaśnić.

– Spróbuj.

Pokręcił głową, nie zdając sobie sprawy, że ona nie może zobaczyć tego gestu.

– Przyjdzie na to czas, kochanie. Obiecuję ci, że gdy się spotkamy, wszystko ci wyjaśnię. – „Na ile to będzie możliwe” – dodał w myślach. – Na razie proszę tylko, pamiętaj, że bardzo cię Kocham.

– Ja... – zaczęła Agnieszka, ale głos jej się załamał i po chwili przerwała połączenie.

Kacper rzucił telefon na pościel obok siebie i wstał. Podszedł do okna. Odsłonił firankę.

Na ulicy mocnym pomarańczowym światłem paliły się już lampy. Hotel był daleko od centrum, więc choć dopiero dochodziła północ, ulice zdążyły już opustoszeć. Czasem tylko przejechał jakiś samochód albo przemknął pojedynczy przechodzień. Drelich pomyślał, że gdyby tutaj aniołowie zatrzymali czas, pewnie nawet by się nie zorientował.

Nie miał zamiaru oglądać kasety od Satyra, choć cały czas miał ją ze sobą. Może powinien ją zniszczyć? Już nie istniało ani tamto życie, ani

kobieta, mimo że podobno bardzo ją kochał. Przez moment zastanawiał się, czy możliwe, aby ona była gdzieś tutaj, ale doszedł do wniosku, że mało go to obchodzi. Teraz miał Agnieszkę i liczyło się tylko to, jak mógł sprawić, by znowu byli razem.

Nagle przed hotelem zahamowała taksówka. Wysiadł z niej mężczyzna w garniturze, drogim, ale z pewnością nie pierwszej świeżości. Rozejrzał się niepewnie i szybkim krokiem wszedł do holu. Kacper rozpoznał tego człowieka – to był Robert Giezaszczyk. Drelich poczuł, że krew zaczyna się w nim burzyć.

Zasłonił z powrotem okno firanką i pewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że mężczyzna przebywa na wolności, skoro dopiero co został aresztowany, a dowody, jak twierdził Franek, były niezbite.

Złapał za klamkę, jednak zamarł, słysząc dzwonek windy na swoim piętrze, a chwilę później kroki na korytarzu. Potem rozległ się szcęk zamka w drzwiach... jego pokoju. Odskoczył do tyłu, odruchowo otworzył brzytwę i ukrył ją za plecami. Czekał.

Przemknęły mu przez głowę słowa jednego z opowiadań Cortazara: *Zgasił światło i z toporem w ręku oczekiwał za drzwiami, liżąc ostrze i myśląc, że Teresa rzeczywiście jest wcieloną punktualnością.*

Czy czytał je w tym, czy poprzednim życiu? Nie pamiętał. Nie miało to znaczenia. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Giezaszczyk. Spojrzał wystraszonym wzrokiem na Kacpra i wyrecytował drżącym lekko głosem: – Dobry wieczór, miałem tu przyjść i powiedzieć: „Dusza za duszę, życie za życie”. – Uśmiechnął się nerwowo. – To jakieś hasło, tak?

Drelich zmrużył oczy i powoli skinął głową. Przypomniał sobie Josephine i to, jak wyglądała, gdy ten mężczyzna z nią skończył. Z

pewnością Kacper nie był jedynym, który zasłużył na piekło. A jeśli to właśnie ma być cena...

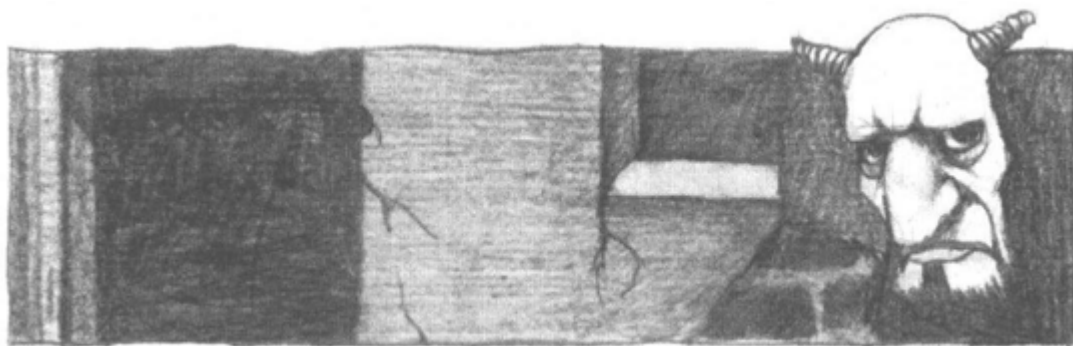
– Tak – powiedział, postępując krok do przodu. – To właśnie jest hasło.

Jego ręka poruszyła się błyskawicznie, uderzając ostrzem brzytwy w gardło Giezaszczyka. Ten był tak zaskoczony, że nawet nie próbował uciekać. Zatoczył się tylko i przyłożył obie dłonie do szyi. Nie miało to jednak znaczenia. Krew wylewała się spomiędzy jego palców jak woda wyszukująca każdej szczeliny w pękającej tamie.

Kacper patrzył, jak mężczyzna pada na kolana, a potem uderza twarzą o podłogę, wciąż charcząc i bulgocząc. Przypominało to głos topielca wołającego o pomoc. Chwilę później znieruchomiał, ale kałuża wokół jego głowy wciąż się powiększała.

Drelich przestąpił ją i szarpnąwszy za zwłoki, wciągnął je głębiej do pokoju. Następnie zamknął drzwi na klucz.

Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić, z każdą chwilą czuł jednak coraz bardziej, że odpływa – oczy zasnuły mu się mgłą, a w uszach zaszumiało, jakby właśnie ktoś w jego głowie spuścił parę z ogromnego kotła. Z trudem doczłapał do łóżka i zwałił się na nie. Zasnął, nim jeszcze jego głowa dotknęła poduszki.



ROZDZIAŁ 14

Obudził się z pierwszym brzaskiem. Każdy skrawek jego ciała zawodził z bólu, a w głowie wciąż tkwiły strzępy koszmarne snu, którego jednak za nic nie mógł sobie przypomnieć. Z całą pewnością była tam piwnica, schody... i mnóstwo krwi zasychającej w promieniach przesączającego się pod drzwiami słońca.

Powoli otworzył oczy, odruchowo przysłaniając je ręką. W ramieniu poczuł taki ból, jakby ktoś wbił mu nóż. Zaciął zęby, gwałtownie wciągając powietrze...

I wtedy właśnie to poczuł. Metaliczny zapach krwi mieszający się z gorzką wonią stopionej wykładziny. A przede wszystkim woń zgnilizny... i zapach mentolowych papierosów.

– Już wiem, dlaczego źli je palą – odezwał się Satyr rozpostarty na fotelu w drugim kącie pokoju. – Bo nikt nie jest w stanie zapomnieć ich cholernego zapachu. Doskonale pasują do koszmarnych wspomnień.

Kacper spróbował wstać, ale był w stanie tylko obrócić się na bok.

– Czego jeszcze chcesz? – zapytał przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Przyszedłem podziękować – odparł Satyr. Zaciągnął się papierosem, po czym strząsnął popiół na podłogę. – A także pomóc ci zgodnie z obietnicą. Chyba że już nie jest ci to potrzebne?

Milcząc, Drelich zerknął na miejsce, gdzie jeszcze w nocy leżały zwłoki Giezaszczyka. Teraz był tam tylko wypalony ślad podobny do policyjnych obrysów. Albo do ludzkich cieni na ścianach po wybuchu bomby atomowej, jakie widział kiedyś na zdjęciach. W tym albo tamtym życiu. Obok na podłodze leżała wciąż otwarta brzytwa.

– Znasz opowieść o Hiobie? – zapytał Satyr, przerywając ciszę. – Tę, w której Bóg założył się z diabłem o duszę śmiertelnika? Oczywiście wygrał, trudno było inaczej. Diabeł zbłądził się, typując najbardziej zakochanego w Bogu człowieka. Liczył, że ten, rozpieszczony dotychczasowymi łaskami, w obliczu nędzy i upadku zezmami się jak nikt. A potem Pan stwierdził, że więcej już zakładów nie będzie... Ugiął się dopiero, gdy diabeł postawił na szali duszę potępieńca. Tyle że tym razem to nie on stawiał warunki.

Papieros kolejny raz powędrował do ust, a zza maski wyłoniły się kłęby wypuszczonego dymu. Kozła głowa wyglądała, jakby płonęła od środka.

– Wiedziałem, że skoro złamałeś się raz, złamiesz się i kolejny – powiedział Satyr wesoło, niemal przyjaźnie. – Że zrobisz wszystko, podpiszesz nawet pakt z diabłem, byle ratować samego siebie. Nie innych, nie szczytne ideały, ale właśnie siebie. Bóg jednak chciał dać ci szansę, nawet tak nietypową jak ta... A może raczej wykorzystał okazję, żeby sprawdzić, jak funkcjonuje cały ten burdel? Taka policyjna prowokacja. I dlatego wpuścił lisa do kurnika. W każdym razie pożyczę sobie trochę na kredyt, bracie.

Kacper, krzywiąc usta w uśmiechu, raz jeszcze spróbował wstać. Tym razem się udało, choć mało przy tym nie zemdlał.

Wziął kilka głębokich oddechów.

– Gratuluję zatem – wydusił z wysiłkiem. – Wygląda na to, że wygrałeś z Bogiem.

Satyr parsknął śmiechem.

– Nie, mój drogi – odparł. – Z nim się nie wygrywa nigdy, bo nigdy tak naprawdę nie wiesz, co chciał osiągnąć. Ale mogę powiedzieć, że tym razem nie przegrałem. Dzięki tobie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Drelich przetarł oczy ręką i splunął na podłogę. Ślina była różowa jak malinowa wata. – A co z obiecaną pomocą? Przestaną mnie ścigać?

– Teraz? Gdy otworzyłeś drogę dla kolejnego diabła? – zdziwił się Satyr. – Wątpię, by kiedykolwiek ci odpuścili.

– Więc jak chcesz mi pomóc?

– To proste. Zadbamy, żebyś nie był ich największym zmartwieniem. – Szatan wzruszył ramionami, jakby zdumiony, że musi tłumaczyć oczywistości. – Potrzebuję tylko zmienić ciało na świeższe, a i mój nowy towarzysz też nie może chodzić po czyścicu taki... nieubrany. Strasznie utrudnia nam robotę to, że gdy zabijasz, znikają też ciała, wiesz? Nie żebym narzekał, ale potem trzeba szukać, kiedy coś się zwolni. Tu nie ma *last minute*, przyjacielu.

Odchylił głowę i parsknął ochryplym, nieprzyjemnym śmiechem.

– Ale potem zaraz bierzemy się do roboty – dodał poważnym tonem. – Oczywiście gdybyś wpuścił jeszcze kilku...

– Nie!

Satyr pokiwał głową.

– Jasne, spokojnie – powiedział, wstając. – Na wszystko przyjdzie czas. A teraz na twoim miejscu zabrałbym się za szukanie rodziny, zanim znajdą

ją tamci. To pozwoli wam spędzić wspólnie jeszcze troszkę czasu. A kto wie, być może znajdziesz sposób, żeby złamać system i ocalić małego?

Cisnął niedopałek na podłogę i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kacper siedział jeszcze chwilę w bezruchu, próbując przeanalizować usłyszane właśnie słowa. I nagle przypomniał sobie, co widział w swoim ostatnim śnie: zmalretowane ciało kilkuletniego chłopca leżące w nienaturalnej pozie na najniższych schodkach. Opuchnięta twarz była buzią małego Gracjana.

Pospiesznie zabrał swoje rzeczy i wyszedł z pokoju. Z tylnej kieszeni wystawała mu rękojeść brzytwy.

Satyr – wyjście

Ministrant wszedł na ambonę i otworzył księgę.

– Czytanie z Księgi Hioba...

Czytał powoli i beznamiętnie, tak jak go uczono. Bo najważniejsza była treść, a nie to, jak się ją intonuje.

Satyr siedział na chórze. Za nim słońce z trudem przebijało przez zakurzony witraż, który akurat odnawiano. Konserwatorzy przychodzili dopiero po porannej mszy, więc był całkiem sam.

Miejsca przed ołtarzem wystarczyłoby na pięćset osób, ale nawet najstarsi księża nie pamiętali, żeby na szóstą rano przyszło więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści.

– *Hiob wstał, rozdarł swe szaty, ogolił głowę, upadł na ziemię, oddał pokłon i rzekł: „Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wrócę, dał i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!”* – czytał niestrudzenie ministrant, mimo że oczy same mu się kleiły i najchętniej trzasnęłyby

lekcjonarzem i poszedł spać. – *W tym wszystkim Hiob nie zgrzeszył i nie przypisał Bogu nieprawości. Oto Słowo Boże.*

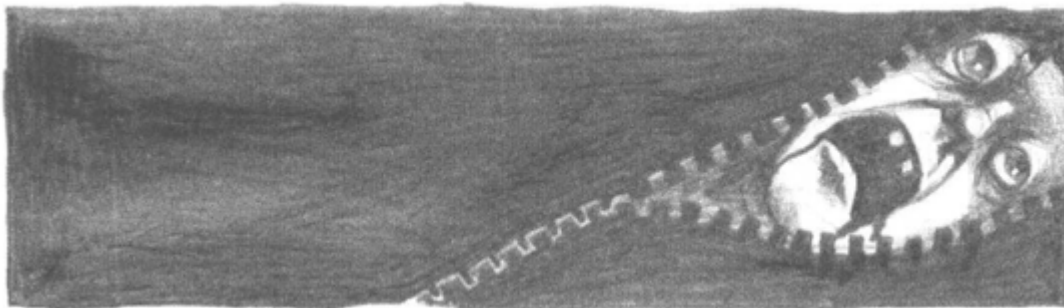
Wierni podziękowali zwyczajową formułą.

– No cóż, stary draniu – powiedział Satyr, patrząc na ołtarz – tamto spaprałem dokumentnie, muszę przyznać.

Bóg nie odpowiedział. Być może wcale już go tam nie było.

Diabeł wstał, gwałtownym ruchem ściągnął z twarzy maskę. Cisnął ją na ziemię i powoli ruszył w stronę wyjścia.

– Dzięki, że grałeś uczciwie... Choć tak naprawdę gra dopiero się rozpoczyna, prawda? – zapytał, a zaraz potem ryknął głośnym śmiechem. Zamknął oczy i kilka sekund później runął bezwładnie na ziemię.



Epilog

Gdy Franek dotarł do kościoła św. Brygidy, kilku policjantów już przesłuchiwało ekipę budowlaną. Komendant wysiadł z wozu i podszedł do jednego z mundurowych.

– Radio trzeszczało – powiedział. – O co chodzi?

– Znalaziono ciało Grzegorza Wiernego, tego co zaginął po masakrze w jego biurze w stolicy – wyjaśnił policjant. – Pamięta pan? To świeża sprawa, sprzed kilku dni.

– Pamiętam – odparł ze znużeniem Trolewski. Przymknął oczy i rozmasował nasadę nosa. Na piętnastą zapowiedzieli się z wewnętrznego w sprawie zbadania ewentualnych uchybień podczas transportu Giezaszczyka. Nie wyglądało to dobrze i ostatnie, czego podinspektor teraz potrzebował, to znany trup. – Ktoś go rozpoznał?

Policjant zdjął czapkę i podrapał się po głowie.

– Miał przy sobie dokumenty. Gdyby nie to, mielibyśmy nielichy problem, bo... Zresztą niech pan sam zobaczy.

Poprowadził komendanta między samochodami do ambulansu z kostnicy i odwracając głowę, rozsunął plastikowy worek.

Franka zemdliło. Przed nim leżało ciało w zaawansowanym stopniu rozkładu.

„No to, podkomisarzu Talar – pomyślał sobie – ładny pan sobie moment wybrał na urlop. Tak zostawić najlepszego kumpla w potrzebie”.

Westchnął ciężko i ruszył w stronę samochodu.

KONIEC